Foto: Archiwum

Nowa Nike

Przerażliwie ujrzałem ją. Jasna,
na płatach łuny nad pożarem trafionego szybu,
gdy rudą przestrzeń pierwszy wybuch
rozwarł i
zatrzasnął
w huraganowym przeciągu czasu,
zgasła —
padła w wojnie o chwałę wydartą umarłym.
Ręce niosące zwycięstwo na grobach się
załamały.
I świat zamknął się za więzienną bramą.
Sam tylko *polotem* przez pióro odciążonych
ramion
zarabiałem na wolność zamiast chleba.
Trudziłem się na darmo.
Nie potrafiłem nakarmić nią skazanego.
Podziękował mi mężnie: przekleństwem,
zrozumiałem: gdy żebrał,
pragnął tyleż dla innych ile żądał od siebie.
Ciało jak łachman lub sztandar legło,
pusta łuska naboju wypadła ze chrzęstem.
Lecz wyprostowałem się pod bombowym
niebem.
Niosąc, jak zewłok, chmurę pękającą od
pocisków
ku — we flagach — płonącemu miastu,
ujrzałem znów: nad brukiem, nisko,
zasypana pierzem uloték
w ogłuszającym błysku
uniosła się przyziemnym lotem,
powstając przeciw wszystkim zwycięzcom!
Jej oddech na falach tłumu — sztandarów nie
napiął:
podarł
i uwolnił zdrętwiałe ręce od drzewc, fałszywych
masztów.
Nike bez broni i godła.

JULIAN PRZYBOŚ ■

(Z tomu „Póki my żyjemy" Lublin 1944, nakładem ZZLP)

Foto: Archiwum

- **Korespondencja z Hiszpanii**
- **O rachunkach za prąd**
- **Jak pokochać pracę?**
- **Stała kolumna Science Fiction**
- **Mechaniczny pies**

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 16 (1269) ROK XXV 23 LIPCA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

Lublin — 1944

Foto: Archiwum

Miejsce, w którym jesteśmy

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nie chodzi mi o geograficzne położenie Polski, ani o jej położenie na politycznej mapie świata. Chodzi mi o nasze miejsce w procesie, jaki się dokonuje obecnie w naszym społeczeństwie. Trudno przecież zaprzeczyć, że w Polsce dokonuje się bardzo skomplikowany, złożony proces przeobrażeń. Zaczął się on znacznie wcześniej niż ujawnił się robotniczym protestem w lipcu i sierpniu 1980 roku i nie skończył się jeszcze. A więc skoro dokonuje się proces społeczny, to musi mieć on swoje przyczyny, swoje źródła, swoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. My, uczestnicy tego procesu społecznego musimy zdawać sobie sprawę ku czemu zmierzamy. Stąd też pytanie o miejsce, w którym jesteśmy. Właśnie teraz, z okazji lipcowej rocznicy.

38 lat temu, 22 lipca 1944 roku ogłoszony został Manifest PKWN. Zapowiadał on *„przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy ras, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, prasy, sumienia"*, ale też zastrzegał, że *„demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogom demokracji"*. Zapowiadał również reformę rolną, *„odbudowę i rozbudowę instytucji Ubezpieczeń Społecznych"* opartych na zasadach samorządności, rozwój oświaty, *„rozładowania nędzy mieszkaniowej"*, stopniową poprawę warunków życia ludzi pracy. Był to pierwszy krok na drodze budowy socjalizmu w Polsce. Entuzjastom wydawało się, że socjalizm ten jest już tuż, tuż, zaraz za horyzontem. Nie zdawano sobie wówczas sprawy, że jest to długi i żmudny proces, że w trakcie jego urzeczywistniania dojść może do poważnych zakłóceń. Po okresie nadzwyczaj sprawnie przeprowadzonej odbudowy zniszczeń wojennych, kiedy budowano założenia planu sześcioletniego, wydawało się, że zbudowanie socjalizmu w Polsce to kwestia zaledwie kilkunastu lat, że tylko zbudujemy huty i fabryki, skolektywizujemy rolnictwo, a zapanuje powszechny dobrobyt. Konfliktów nie zakładano. Proces budowy socjalizmu w Polsce miał się odbywać bez wewnętrznych sprzeczności, wbrew podstawowym założeniom marksizmu, założeniom dialetyki.

Dla ustalenia miejsca, w którym się znajdujemy w dokonującym się procesie przemian społecznych i politycznych niezbędne jest spojrzenie w przeszłość, ustalenie tego, co w naszych minionych działaniach było dobre, a co złe. W przeszłość oglądają się wszyscy, bo jest to dla zrozumienia teraźniejszości i przyszłości niezbędne. Ale w tym patrzeniu w minione można wyróżnić trzy postawy.

Pierwsza — to całkowita negacja wszystkiego, co dokonano w Polsce w minionych 38 latach. Jest to postawa irracjonalna. Bierze się ona z wrogości do socjalizmu. Ale nie tylko. Bierze się ona też z pewnego zagubienia szczególnie młodzieży. W świadomości społecznej funkcjonują bowiem różnice pokoleniowych doświadczeń. Starsze pokolenie proces dokonujących się przemian w Polsce po drugiej wojnie światowej odnosiło do doświadczeń i warunków życia sprzed wojny. Oni widzieli dokonujący się postęp, dokonujące się zmiany, rozbudowę gospodarki polskiej, oświaty, kultury. Demokratyzację wielu dziedzin życia, mimo że była to demokratyzacja ograniczona, dokonująca się nie bez zahamowań i przeszkód. Średnie pokolenie odnosi swe doświadczenia do czasów bezpośrednio po wojnie, bohaterskiego okresu odbudowy kraju, walki z reakcyjnym podziemiem, opozycja legalna, ale też i pewnych wynaturzeń procesu budowy socjalizmu w Polsce. Młodzi — nie mając takich punktów odniesienia — szukają innych porównań. Im wmawiano z uporem, że już doganiamy najlepszych, że jesteśmy 10 potęgą świata, co oczywiście nie miało pokrycia w rzeczywistości. Stąd frustracje i rozczarowania i dążenie do negowania wszystkiego, co zrobiliśmy w Polsce w ciągu minionych 38 lat.

Dziś potrzeba spokojnego, obiektywnego patrzenia na naszą najbliższą przeszłość. Prawda przecież jest taka, że powstały w Polsce nowe gałęzie przemysłu, że zbudowaliśmy poważny

Przegląd prasy

TEN „BEZCZELNY BRUTAL"

— to niestety sam Kazimierz Koźniewski, którego epitetami „bezczelny" i „brutalny" ochrzciła pewna czytelniczka po lekturze jego programowego artykułu „Ociosywanie mgły" opublikowanego w 1 numerze „TU I TERAZ". Autor odpowiada jej w kolejnym, już 7 numerze „TU i TERAZ" — jak ten czas leci — który to numer nosi datę 14 lipca 1982 r.

„W każdym piśmie, każdym i zawsze, istnieje krąg stałych współpracowników — to są gospodarze pisma, i krąg autorów publikujących doraźnie, niekiedy raz w roku, niekiedy rzadziej jeszcze. Pani, która mi nawymyślała od „bezczelnych" i „brutalnych" — dopiero byłaby oburzona, gdybym w odpowiedzi przesłał jej listem poleconym umowę o etatowej lub ryczałtowej pracy w „Tu i Teraz", to znaczy propozycję, aby stała się w piśmie „gospodarzem", a nie „gościem". Przecież ten podział zakłada pluralizm w piśmie, odżegnywuje się od jakiegokolwiek monolityzmu, uniformizmu, właśnie dlatego, że akcentuje, iż nie wszyscy — chodzi o gości — ponoszą równą, jednakową odpowiedzialność za linię pisma i nie wszyscy — jako goście — przez fakt wydrukowania artykułu muszą się z pismem solidaryzować. Nie!

Nasza prasa w latach powojennych niezmiernie skutecznie zacierała swoje wyraźne różnice ideowe. Piszący przyzwyczaili się, ż każdy może pisywać wszędzie — no! niemal wszędzie! — i nikomu nic się nie liczyło, gdy raz opublikował coś w „Polityce", innym razem na przykład w „Nowej Kulturze", „Przeglądzie Kulturalnym" czy nawet w prasie katolickiej. Byli tacy, którzy równocześnie publikowali artykuły w „Tygodniku Powszechnym" i w „Kulturze" i wszędzie chcieli być at home, albo też ściślej: nie chcieli by ktokolwiek ich „szufladkował" politycznie bądź ideowo. Byli ponad i wszędzie. Propozycja jakiegokolwiek podziału — choćby tak formalnego, jak na gospodarzy i gości — bardzo ich denerwuje. Pragną lekkim krokiem przechodzić z salonu do salonu, wszędzie mile witani. Wszędzie coś udający".

Kazimierz Koźniewski oczywiście trafił w sedno, ale boję się, że pozostanie to tylko wołaniem na pustyni. Swego czasu — chyba w pierwszej połowie 1981 roku — coś takiego proponował w „Szpilkach" Jerzy Urban. „Szpilki" — to pismo, tak to niegdyś bywało, satyryczne, można więc było tę propozycję potraktować jako żart. Ale „TU I TERAZ" — to pismo poważne, a mimo to boję się, że niektórzy nadal będą chcieli *„lekkim krokiem przechodzić z salonu do salonu"*, demonstrując swoją... niezależność.

A pisma rzeczywiście powinny czymś się między sobą różnić, mieć swoich wielbicieli, sympatyków, zwolenników, grono współpracowników oraz... wrogów. Tylko, że wrogowie pismo zwalczają, wybrzydzają na nie, plują, ale je czytają. U nas — jak do tej pory — są wrogowie, którzy pism nie czytują i są ponad wszystko. Można i tak. Poczekamy, zobaczymy.

Nie można natomiast czekać z rozwiązywaniem wielu skomplikowanych problemów naszej sytuacji mieszkaniowej. „PRZEGLĄD TECHNICZNY" (nr 4 z 4 lipca 1982 r.) opowiada

O WYNAJMOWANIU SPÓŁDZIELCZYCH MIESZKAŃ

w Warszawie, gdzie w lutym 1982 r. przeprowadzono przegląd. Rozeszła się tam wówczas pogłoska — nie tylko zresztą tam — że kto pierwszy znajdzie i ujawni mieszkaniową machlojkę — jak to stwierdza autor artykułu „Premia za donos?" podpisujący się Lokator — ten *„będzie miał pierwszeństwo w kolejce osób starających się o ów lokal"*. Chętnych więc było sporo i — jak to bywa w takich sytuacjach — znaleźli się i tacy, którzy chcieli odegrać się na znajomych, „przyjaciołach" oraz wrogach. I odgrywali się. Co poza tym dał przegląd? Oto, co pisze na ten temat Lokator:

„Przeglądem objęto ponad trzysta tysięcy mieszkań, na około dwa miliony znajdujących się w gestii spółdzielczości mieszkaniowej. (...) Oto skrót wyników kontroli:

— 5 669 przypadków wynajmowania mieszkań w całości, z tego 2 650 za zgodą spółdzielni.

— 5 840 mieszkań wynajętych w części (na ogół jeden pokój) — w tym niemal połowa za przyzwoleniem spółdzielni.

— 441 małżeństw posiadało (posiada nadal?) po dwa mieszkania, ale 153 małżeństwa natychmiast wyraziły zgodę na zamianę ich dwóch lokali na jeden, byle większy, bo takiego właśnie pragną.

— w 2 050 przypadkach spółdzielnie wszczęły postępowanie o wykreślenie z rejestru członków lub wykreślenie ze spółdzielni.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o „przestępstwa", dokładnie 1,5 promili w stosunku do ogółu mieszkań.

Dla mnie — bardzo mało. Aż podejrzanie mało".

Istotnie mało. Tylko nie wiadomo, czy się z tego powodu cieszyć, czy też podejrzewać, że rezultaty tej kontroli były wynikiem działalności donosicielskiej „przyjaciół", sąsiadów i bezinteresownych zawistnych, że inne przypadki (jeśli tak, to jakie i ile?) pozostały nie wykryte. Gdyby rzeczywiście tak było, to trzeba się zastanowić nad systemem kontroli, ale znów bez skutków ujemnych tego systemu w postaci donosicielstwa, a także nad stworzeniem *„spójnego, klarownego systemu rozdzielnictwa i zamiany mieszkań"*. I wypada też zgodzić się z Lokatorem, że *„premią za donos nie rozwiąże się tego trudnego problemu"*. W ogóle w budowaniu systemów sprawnego działania różnych dziedzin życia społecznego powinno się unikać takich, które sprzyjają rozplenianiu się donosicielstwa. Takie systemy powinny być oparte na sprawnym działaniu kontrolnym i poddawane społecznemu nadzorowi. Wtedy nie trzeba będzie uciekać się do donosów i premiowania donosicielstwa.

Teraz czuję się w obowiązku poinformować Czytelników o tym, jak wygląda

DALSZY CIĄG SPORU O „RZECZYWISTOŚĆ"

W Gdańsku odbyło się spotkanie redakcji „RZECZYWISTOŚCI" z czytelnikami i przy okazji sprawozdania z tego spotkania, które ukazało się w nr 8 z 11 lipca 1982 r. zamieszczono odpowiedź na stawiane zarzuty, że pismo przestało reprezentować linię Stowarzyszenia Klubów Wiedzy Społeczno-Politycznej „Rzeczywistość". Oto ten tekst:

„RZECZYWISTOŚĆ", jako tygodnik wydawany przez jedno z wydawnictw Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej, której podstawowym udziałowcem jest PZPR, jest pismem partyjnym. Jego łamy są szeroko udostępnione dla tych, którzy opowiadają się za ustrojem socjalistycznym w Polsce. Chcemy być płaszczyzną integracji lewicy społecznej w Polsce, konstruktywnie służyć polityce partii. W związku z tym pismo nie może być organem jednej z grup czy orientacji. Nie znaczy to, że tygodnik ma nie analizować działalności różnych ruchów społecznych, relacjonować dyskusji itp."

I to by było na tyle w tej sprawie. Jak będzie coś nowego nie omieszkam przekazać.

Skoro już mowa o zobowiązaniach, to chciałbym opowiedzieć o tym — zgodnie z tym, co obiecałem kiedyś — jak

FELIETONISTKA „ARGUMENTÓW" ODPAROWUJE CIOS.

który zadał jej w „TU I TERAZ" k.s. Anna Błazucka („ARGUMENTY" nr 14) w felietonie „Z Dynamicznej na Rozwojową" naśmiewała się z nazw warszawskich ulic, ubolewając jednocześnie, że nie ma w Warszawie ulicy Karola Marksa, Fryderyka Engelsa i Włodzimierza Lenina. Jej zdaniem owi trzej panowie należą *„do historii ludzkości"* i zasłużyli sobie na ulice w Warszawie. Zdaniem k.s. felietonistka „Argumentów" *„nie ma ucha do nazw"* i jest zbyt pryncypialna.

„Jestem dziwnie pewna — pisze Anna B. — *że prędzej czy później spotkam się z Panem k.s. na ulicy Karola Marksa w Warszawie. Wówczas dostanie Pan ode mnie całusa..."*

A co będzie, jeśli k.s. okaże się.. kobietą?

„Wówczas — powiada krewka felietonistka — *całusa nie będzie, tylko jedno z owych arcyzłośliwych słów, jakie znają tylko kobiety, używając go w wewnętrznych rozmowach między sobą".*

O kobietach pisze też wszędobylskie „VETO". Nie o ich rozmowach, ale o specyficznej... pracy. Jak przystało na tygodnik konsumenta „VETO" (nr 6 z 11 lipca 1982 r.) donosząc o różnych cenach nie omieszkało poinformować o tym,

ILE BIORĄ PROSTYTUTKI?

— jak zaanonsowano reportaż Świadka z nocnego życia stolicy. Reportażu nie mam zamiaru opowiadać. Nie omieszkam jednak panom wybierającym się „na delegację" do Warszawy zwrócić uwagę, że nie ma po co tam jechać. Oto odnośny cytat:

„Stawki pobierane od pojedyńczego klienta wynosiły w roku 1980 w zależności od sezonu od 50 do 250 dolarów amerykańskich. Dzisiaj od 10 tysięcy złotych do 50 dolarów".

Staniało, czy mniej dolarów na rynku?

A paniom, które chciałyby wybrać się na ten „łatwy zarobek" mogę napisać tylko tyle: nawet życie luksusowej kurwy jest ciężkie. Można od rywalek brzytwą po oczach dostać, można lżej oberwać. Rynek jest przepełniony, a klientów mało. „VETO" jednak w obronie klienta nie występuje, nie domaga się obniżki cen za erotyczne usługi, ani też nie pisze o ich jakości.

Inne zmartwienia mają w Sieradzu. Jak wynika z lektury ogłoszeń drobnych w tygodniku „NAD WARTĄ" (nr 22 z 15 lipca 1982 r.)

W SIERADZU NIE BRAKUJE ROZTARGNIONYCH.

Gubią oni przede wszystkim wkładki zaopatrzeniowe, co — jak wiadomo — jest wielkim dopustem bożym, bo trzeba sporo się nachodzić, aby dostać nową. I tak 11 osób ogłasza, że zgubiło jedną wkładkę, 6 — że kilka, dwóm skradziono po wkładce, a jednemu — wyjątkowy gapa — kilka wkładek. Stanowczo mniej gap jest w Skierniewicach, bo tylko jednej osobie skradziono wkładkę — tak wynika z lektury drobnych ogłoszeń w „WIADOMOŚCIACH SKIERNIEWICKICH" (nr 23 z 15 lipca 1982 r.) — 6 osób zgubiło po jednej wkładce, a 3 więcej niż jedną.

Coś się jednak dzieje.

NA RYNEK CZYTELNICZY WRACAJĄ

pisma. Powróciła wrocławska „ODRA". Ukazał się numer 1 — 8 (251 w kolejności) datowany: lipiec — sierpień 1982 r. We wstępie redakcyjnym takie oto stwierdzenie:

„Nie można udawać, że nic się nie stało. Nie mamy też złudzeń, że da się po prostu zignorować fakty osobiście nam niemiłe. Jeżeli jest jakieś wyjście, to droga prowadzi tylko, sądzimy, przez wydobywanie ze strefy milczenia sprzecznych racji, poglądów, zachowań. Świadomi jesteśmy ryzyka i ograniczeń. Ale nie ukrywajmy przed sobą, że milczenie również może stać się przedmiotem manipulacji".

Numer ten przynosi wiersze Tadeusza Różewicza, szkic Jana Szczepańskiego „Alternatywy" oraz szkic Mirosława Ratajczaka „Emigracja wewnętrzna". Cena numeru: 50 zł.

Powróciły też „WIADOMOŚCI PRODUKCYJNE" — czasopismo przeznaczone dla mistrzów i wykwalifikowanych robotników przemysłu lekkiego, które wydają stowarzyszenia włókienników. Pismo chce służyć informacją o myśli technicznej w Polsce i za granicą.

Życzymy powodzenia!

LUCJAN BOGUSZ

KOSZTOWNA WOJNA

Negatywne skutki ekonomiczne wojny prowadzonej przez Izraelczyków w Libanie prowdopodobnie przewyższą najbardziej pesymistyczne przypuszczenia i bardzo nadszarpną kruchą równowagę, w jakiej znajduje się gospodarka izraelską — podkreślają obserwatorzy Tel Awiwu. Już teraz skutki tej wojny przejawiają się w postaci gwałtownego przyspieszenia tempa inflacji, której pełne rozmiary dadzą się ocenić w najbliższych tygodniach. Oprócz tego w pełni sezonu turystycznego panują marazm i pustki w hotelach, nastąpiło znaczne zmniejszenie eksportu oraz znaczny spadek rezerw dewizowych w Banku Centralnym. Przed kilku dniami minister przemysłu i handlu, Gideon Patt uznał, że koszt operacji wojskowych w Libanie wyniósł ponad 1 mld dol., natomiast obserwatorzy oceniają, że dziennie Izrael wydaje na wojnę w Libanie około 100 mln dolarów.

Roczny budżet Izraela wynosi 14 mld dol., z czego 2,195 mld dol. stanowi pomoc gospodarcza USA. Na pomoc tę składają się 785 mln dol. na cele gospodarcze i 1,4 mld dol. pomocy wojskowej. Wystarczy więc, że Izraelczycy będą przebywali w Libanie ok. miesiąca, przy obecnej liczebności zaangażowanych sił, aby kwota ta została całkowicie wyczerpana. Obserwatorzy dodają też, że amerykańska pomoc wojskowa wzrosła do obecnych rozmiarów w wyniku wojny październikowej 1973 roku. Ówczesne, trzytygodniowe walki spowodowały śmiertelne wykrwawienie gospodarki izraelskiej. Do roku 1970 pomoc ta wynosiła zaledwie 70 mln dol. i wzrosła w sposób znaczący w 1972 roku do 470 mln dol., ale stanowiła zarazem czynnik drugorzędny w dochodach skarbu państwa. Jednak od czasu zakończenia wojny październikowej pomoc ta wzrosła pięciokrotnie i wyniosła 2,483 mld dol., a w 1979 r. po zawarciu separatystycznych układów w Camp David, osiągnęła rekordowy poziom 3,2 mld dol.

Izraelski minister finansów, Jorama Aridor, podał też parę cyfr dotyczących kosztów operacji poszczególnych broni, biorąc pod uwagę jednostkę obrachunkową, tzw. godzinę eksploatacji. Wskaźniki te wynoszą 15.400 dol. dla samolotów „F-16", 4 tys. dol. dla samolotu transportowego, 1.800 dol. dla kutra rakietowego, 500 dol. za średni czołg, 1.100 dol. za pocisk kalibru 175 mm i 450 dol. za pocisk działa czołgowego. W wywiadzie dla tv izraelskiej minister przyznał, że „walka z inflacją usunęła się na dalszy plan w obliczu wysiłku finansowego, jakiego wymaga wojna". Wskaźnik kosztów utrzymania, którego wzrost wynosił 2,7 proc. w lipcu ub. roku, wyniesie 10 proc. w lipcu tegoż roku. (AFP)

Pokolenia nie można utracić

Na początek przypominamy, że ostatnie IX posiedzenie plenarne KC PZPR było drugim, po VII Plenum z XI 1972 roku w historii partii poświęconym problematyce młodego pokolenia. Praktyka życia społecznego pokazała, że nie udało się w pełni zrealizować ani uchwał ani programów przyjętych na tamtym listopadowym plenum. Niesprawiedliwie byłoby jednak twierdzić, że od tamtego czasu nic na korzyść młodych w naszym kraju się nie dokonało. Jak to podkreślono w referacie Biura Politycznego, założenia programowe plenum z 1972 roku **„zawierały obietnice oderwane od rzeczywistości społecznej, od realnej gospodarczej perspektywy. Nie mogły więc być, i w poważnym stopniu nie zostały, spełnione".**

Rozbudzone, a nie spełnione nadzieje, zgłoszone oferty bez pokrycia były przesłankami do formułowania tak ostrych i kategorycznych ocen błędów minionej dekady przez młodych. Trudno jednak zaprzeczać prawdzie, że za kryzys dziś i niełatwą przyszłość, niepewność jutra odpowiedzialna jest starsza część społeczeństwa. Młodzi więc posiadają moralne prawo krytykowania pokolenia, które jak żadne poprzednie posiadało niespotykaną dotąd szansę. Za taką postawę młodych, za ich nieufność i krytycyzm — konkludowano w referacie Biura Politycznego — nie wolno się obrażać. **„Strofowanie, narzekanie, podobnie jak schlebianie i kokietowanie, nie są skuteczne ani w pedagogice ani w polityce".**

Z postawy młodzieży, z jej zachowań i poglądów nie można jednak wyciągać pochopnych, nazbyt ogólnych wniosków. Jest czymś zupełnie naturalnym, że wydarzenia od sierpnia 1980 r. musiały odcisnąć się mocnym śladem na świadomości młodych. Zaowocowały najpierw uczuciem zawodu wywołanym ujawnieniem rozmiarów kryzysu, potem buntem i entuzjazmem zrodzonymi na fali ruchu „Solidarności", a na końcu szokiem doznanym po decyzjach 13 grudnia. Nie pozwólmy sobie jednak wmówić, że całe młode pokolenie uciekło w sferę milczenia, przeczekania i kibicowania, że zrezygnowało na zawsze z wpływu na bieg wydarzeń społecznych, na swoją przyszłość. Jest to teza z gruntu fałszywa, lansowana przez tych, którzy uwierzyli w to, że można zatrzymać czas i postęp. **„Pokolenia nie można utracić. Może ono co najwyżej zagubić się samo w apatii, w poczuciu bezradności".** W to ostatnie osobiście nie wierzę. Młodzi, tak jak ich poprzednicy, znajdą dla siebie sens i cel życia, motywację społecznej aktywności. Zaś obowiązkiem starszego pokolenia jest zadbać o to, aby nie zostali sami.

Biuro Polityczne zaprezentowało tezę, iż nie można traktować młodzieży jako grupy jednorodnej, wyodrębnionej z panoramy klasowej, z życia całego społeczeństwa. Wydaje się, że logiczną konsekwencją tej tezy jest stwierdzenie, iż nie uda się pozytywnie rozwiązać wszystkich problemów i dylematów młodego pokolenia bez udzielenia pełnej i prawidłowej odpowiedzi na pytanie o perspektywy wszystkich Polaków i socjalizmu w naszym kraju, o horyzont czasowy przełamania politycznego impasu.

Kryzys nie może trwać wiecznie. Wszystkim nam, a w szczególności młodym winno zależeć, aby jego skutki były przez nas odczuwalne jak najkrócej. Potrzebny jest więc dialog, w którym nie będzie tematów pomijanych i zakazanych oraz porozumienie we wszystkich najważniejszych sprawach, sojusz społeczny zawarty między wszystkimi pokoleniami Polaków.

Warunkiem skutecznego przełamania bariery nieufności w stosunkach między władzą a młodymi jest partnerstwo. Biuro Polityczne zawarło w referacie wygłoszonym przez I sekretarza KC partii zasady, na których winno być ono oparte. Nie wdając się bynajmniej w polemikę z zawartymi tam sformułowaniami, chciałbym jedynie przypomnieć, że aby partnerstwo miało charakter podmiotowy, a więc realny, musi zakładać również współuczestnictwo młodych i to aktywne, w życiu politycznym kraju. Tego rodzaju ambicji młodzi się już nie wyrzekną.

Niepoślednie miejsce zarówno w materiałach Biura Politycznego jak i dyskusji plenarnej zajęły sprawy wychowania młodego pokolenia i szczególnej roli szkoły, której postulowano nadać rangę „najwyższej narodowej instytucji". Już dziś jednak wiadomo, że mimo deklarowanego jeszcze na IX Nadzwyczajnym Zjeździe okazywania oświacie ze strony partii szczególnej troski nie będzie to cel łatwy do osiągnięcia. Wymagać to będzie szczególnej konsekwencji, no i nie ukrywajmy — niemałych środków. A więc tego, o co w sytuacji kryzysowej najtrudniej.

Za szczególnie ważne uznało Biuro Polityczne eliminowanie przeszkód na drodze sprawiedliwego dostępu młodzieży różnych środowisk do szkół wszystkich typów. Jest to postulat aktualny od lat i od lat realizowany połowicznie. A przecież, jak to podkreślono w referacie: **„Powinnością socjalistycznego państwa, jego systemu szkolnego jest stworzenie każdemu dziecku rzeczywiście równych szans".** Zakres spełnienia tego postulatu będzie miernikiem głębokości przemian demokratycznych w naszym kraju.

Dyskusji w kręgach młodzieży w okresie przygotowań do IX Plenum KC PZPR towarzyszyły duże nadzieje na to, że partia określi kompleksowo swój stosunek do ruchu młodzieżowego i skomplikowanej w nim sytuacji. W tym względzie Biuro Polityczne zgłosiło jedynie deklarację gotowości poszukiwania nowych form pracy partii z młodzieżą oraz potwierdziło wolę przestrzegania leninowskiej zasady samodzielności związków młodzieży, opowiadając się równocześnie za nienaruszalną ideowo-polityczną jednością ruchu młodzieżowego. Nie powinno to oznaczać uniformizacji. Równocześnie nie rozstrzyga niczego w zasadzie w sferze organizacyjnych form polskiego ruchu młodzieżowego. Sprawy te pozostają nadal otwarte.

Natomiast z zakresu uprawnień, które winny w niedługim czasie przysługiwać związkom młodzieży wynika, że istnieje realna szansa ich przejścia z modelu organizacji typu zleceniowego na model związków samodzielnych, posiadających ambicje i warunki pełnego wyrażania i reprezentowania interesów i dążeń swoich środowisk. Jest to jednak zaledwie szansa—jak przypominano w dyskusji — szansa, o której głośno było również po VII plenarnym posiedzeniu KC PZPR w 1972 roku.

Pakiet „nowych uprawnień" ma zostać poddany konsultacji z młodzieżą, aby następnie móc przyjąć formę instytucjonalno-prawnych regulacji. Przebieg i wyniki tych konsulacji będą sprawdzianem tego na ile jest już możliwy dialog młodych z władzą oraz na ile deklarowane z obu stron partnerstwo staje się społecznym faktem.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki,** (z-ca sekretarza redakcji), **Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (redaktor techniczny), **Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego) **Igor Sikiryckl** (kier. działu literackiego) **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter)

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438. Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958. Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103, Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1358. F-5.

Pierwsze na wyzwolonych ziemiach Polskich posiedzenie Krajowej Rady Narodowej, Lublin 15 sierpnia 1944 r.

Gdy tworzył się rząd Polski Ludowej

EDWARD OSÓBKA-MORAWSKI

W Polsce okresu międzywojennego nie można było nie zetknąć się z nazwiskiem Wandy Wasilewskiej. W 1934 roku, kiedy ukazała się jej pierwsza powieść „Oblicze dnia", wziąłem do ręki kolejny numer „Wiadomości Literackich" i przeczytałem zamieszczoną obszerną recenzję z tej książki. Zapamiętałem z niej do dzisiaj zdanie mówiące o tym, że „Wasilewska wkroczyła do literatury z okrzykiem walki". To było słuszne stwierdzenie, charakteryzujące jej twórczość i postawę. Później widywałem Wandę Wasilewską na Żoliborzu, na spotkaniach organizowanych przez Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową. W okresie okupacji miałem kontakty z matką Wasilewskiej, również Wandą. Użyczyła ona Komitetowi Centralnemu Polskich Socjalistów swego mieszkania na konspiracyjne posiedzenia.

Osobiście poznałem Wandę Wasilewską w połowie maja 1944 roku, kiedy delegacja Krajowej Rady Narodowej przedostała się przez linię frontu do Moskwy. Mieliśmy za zadanie nawiązać kontakty ze Związkiem Patriotów Polskich i z rządem Związku Radzieckiego.

Dnia 17 maja nasza delegacja spotkała się z przedstawicielami Zarządu Głównego ZPP i Centralnego Biura Komunistów. Spotkanie odbyło się w willi przydzielonej do dyspozycji Wandzie Wasilewskiej jako przewodniczącej ZPP. Tutaj też nasza delegacja mieszkała. Panowała serdeczna atmosfera. W toku prowadzonych rozmów Wasilewska wielokrotnie zabierała głos informując nas o najważniejszych dokonaniach Polaków w ZSRR i żywo interesując się sytuacją w kraju.

W parę dni później nasza delegacja została przyjęta na Kremlu przez przedstawicieli najwyższych władz partyjnych i państwowych Związku Radzieckiego. W rozmowach brała też udział Wasilewska. Zapoznaliśmy rząd Związku Radzieckiego z sytuacją w okupowanej Polsce i rolą Krajowej Rady Narodowej. Przedłożyliśmy prośbę o broń dla Armii Ludowej. Spotkaliśmy się z bardzo życzliwym przyjęciem i ze zrozumieniem dla naszych potrzeb. Józef Stalin zaproponował nam, abyśmy udali się z wizytą do oddziałów naszej armii w ZSRR, a po powrocie mieliśmy kontynuować rozmowy polityczne.

W drodze powrotnej z armii delegacja nasza zatrzymała się 10 czerwca w Kijowie, gdzie została przyjęta przez sekretarza KC KP(b) Ukrainy, Nikitę Chruszczowa. Podczas tego spotkania, w którym również brała udział Wasilewska, omówiliśmy szereg spraw dotyczących dobrosąsiedzkich stosunków między Polską a Ukrainą.

Przebywając w ZSRR bardzo szybko zorientowaliśmy się, jak dużą rolę odegrała Wanda Wasilewska w zorganizowaniu Polonii i utworzeniu Armii Polskiej. Chcąc wyrazić uznanie dla jej zasług postanowiliśmy przyznać jej w imieniu Krajowej Rady Narodowej Krzyż Grunwaldu I klasy. Oczywiście wówczas mogliśmy wręczyć jej tylko zaświadczenie o nadaniu tego wysokiego odznaczenia, ponieważ samego krzyża jeszcze nie mieliśmy. Został on wręczony Wasilewskiej dopiero po wojnie.

Na uroczystym zebraniu Zarządu Głównego ZPP, które odbyło się z udziałem naszej delegacji, przemawiałem do zebranych, ukazując, jak wysoko oceniany jest w kraju czyn Polaków w ZSRR. Powiedziałem wówczas m.in.: „KRN wysłała nas abyśmy wam powiedzieli prawdę o Polsce i dowiedzieli się prawdy o was. Byłem w armii. Z dumą możemy patrzeć na dzieło, któregoście tu dokonali. Prezydium KRN w uznaniu wielkich zasług w organizowaniu Armii Polskiej w ZSRR postanowiło nadać Krzyż Grunwaldu I klasy organizatorce tej armii, obywatelce Wandzie Wasilewskiej, i generałowi Berlingowi".

Pamiętam, że zwracając się do Wasilewskiej powiedziałem: „Obywatelko Wasilewska, walcząca Polska składa wam w ten symboliczny sposób swój hołd".

Po otrzymaniu zaświadczenia o przyznanym odznaczeniu Wasilewska wygłosiła przemówienie, które warto tutaj przytoczyć za sprawozdawcą z „Wolnej Polski". Powiedziała ona, że Krzyż Grunwaldu przyjmuje jako dowód uznania dla wszystkich, gdyż osiągnięcia ZPP są rezultatem wspólnego wysiłku. „Jesteśmy dumni z tego — powiedziała — że dzisiaj, kiedy przychodzi do nas Kraj, możemy sobie powiedzieć: nasz program nie odbiega od programu KRN i nasza armia idzie tą samą drogą, co Armia Ludowa". Wasilewska przypomniała okres, kiedy po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między ZSRR a rządem polskim w Londynie skorzystała z możliwości przemówienia do Polaków przez radio. Zapewniła wówczas rodaków z ZSRR, że o powrocie do kraju nie będzie decydować jakiś papierek, ale walka i praca. „Ten Krzyż Grunwaldu — mówiła Wasilewska — który dziś w imieniu Kraju otrzymuje emigracja polska w ZSRR, jest dla mnie najlepszym dowodem tego, że się nie pomyliłam, że dzisiaj otrzymujemy paszport do Kraju, że będziemy mogli przyjść z podniesionym czołem". Zwracając się do członków naszej delegacji, powiedziała: „Nie zrobiliśmy tyle, co wy, ale jednak kiedy wyście walczyli, myśmy też coś robili. I chciałabym, żeby delegacja KRN zawiozła do kraju ten nasz meldunek, że cały czas staraliśmy się o jedno: być żołnierzami Ojczyzny".

Przytoczyłem tę wypowiedź Wandy Wasilewskiej, gdyż ona najlepiej charakteryzuje jej stosunek do sił krajowych walczących z okupantem hitlerowskim i jej głęboko patriotyczną postawę.

Wobec szybkiego zbliżania się Armii Czerwonej do granic Polski nasza delegacja przy współudziale Związku Patriotów Polskich musiała przystąpić do tworzenia organu rządowego, który mógłby objąć władzę na wyzwolonych terenach.

Tej sprawie poświęcone było m. in. zebranie Prezydium Zarządu Głównego ZPP w dniu 12 lipca z udziałem naszej delegacji, podczas którego omówiliśmy sytuację w armii oraz przedyskutowaliśmy kwestię stosunku Armii Ludowej w kraju do Armii Polskiej w ZSRR. Na posiedzeniu tym wysunięto koncepcję utworzenia Rządu Tymczasowego. W związku z tym w dniu 15 lipca wystosowałem wspólnie z Wasilewską list do przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, marszałka Związku Radzieckiego, Józefa Stalina. W liście tym ja jako przewodniczący delegacji KRN i Wasilewska jako przewodnicząca ZPP pisaliśmy m.in., że sytuacja w pełni dojrzała do utworzenia Rządu Tymczasowego i że dalsza zwłoka w tej sprawie może doprowadzić do poważnej komplikacji. Szeroko uzasadnialiśmy nasze stanowisko w tej kwestii. W końcowej części listu zawarliśmy informację dotyczącą wpływów KRN w kraju, w poszczególnych województwach i poszczególnych organizacjach demokratycznych, ukazywaliśmy siłę Armii Ludowej i Batalionów Chłopskich. List kończyliśmy stwierdzeniem: „Biorąc pod uwagę wszystkie te okoliczności uważamy, że Krajowa Rada Narodowa stanowi dostatecznie szeroką bazę dla utworzenia Rządu Tymczasowego".

W trakcie jednego ze spotkań na Kremlu Stalin rozmawiał z Wasilewską na temat kandydatury na premiera. Jak mnie poinformował Stanisław Szwalbe, który po wojnie jako wiceprzewodniczący KRN kilkakrotnie był w Moskwie i rozmawiał ze Stalinem, Stalin miał sugerować, aby przy wysuwaniu kandydatury na przewodniczącego PKWN uwzględnić następujące kryteria: przynależność kandydata do PPS, stosunkowo młody wiek i pozytywny stosunek do ZSRR. Moją kandydaturę na przewodniczącego PKWN wysunęła Wanda Wasilewska, choć nie była obecna na tym posiedzeniu. Zgłosił moją kandydaturę Andrzej Witos, wiceprzewodniczący ZPP.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że czas nagli, że zbliża się upragniony dzień wyzwolenia kraju. Chcieliśmy się do tego wszyscy odpowiednio przygotować, a przede wszystkim połączyć wysiłki całej lewicy polskiej. Dnia 16 lipca 1944 roku, pod kierownictwem Wandy Wasilewskiej i przy jej aktywnym udziale, odbyło się kolejne pełne posiedzenie Zarządu Głównego ZPP, w którym obok naszej, wcześniej przybyłej delegacji KRN, uczestniczyła również druga trzyosobowa delegacja z kraju, w skład której wchodzili gen. Michał Rola-Żymierski, Jan Czechowski i Stanisław Kotek-Agroszewski. W przemówieniu otwierającym obrady Wasilewska w imieniu ZPP i wszystkich Polaków w ZSRR powitała nas — delegatów z kraju, a zwłaszcza dowódcę AL, generała Michała Rolę-Żymierskiego. Wasilewska mówiła, że nadszedł zupełnie nowy okres w działalności ZPP, okres łączenia wysiłków lewicy w kraju i w ZSRR. Podkreślała ona, że „KRN jest tym, co kraj w czasie ciężkich lat niewoli po drugiej stronie frontu wydał najlepszego" i że ZPP uważa KRN za „prawdziwe przedstawicielstwo narodu polskiego, za ośrodek polskiej walki z Niemcami".

Przemawiając na tym plenum wskazałem na wielki dorobek ZPP w dziedzinie opieki nad Polakami, a zwłaszcza wielkie zasługi w utworzeniu Armii Polskiej w ZSRR. Zwracając się do Wasilewskiej jako przewodniczącej ZPP i do wszystkich zebranych, wyraziłem pogląd, że wraz z nawiązaniem kontaktu przez delegację KRN z ZPP, a następnie porozumieniem się i ustaleniem wspólnego stanowiska nastąpiło wzmocnienie sił obozu demokracji polskiej.

Na plenum przemawiał również generał Rola-Żymierski. Wyraził on pragnienie, ażeby współpraca dwóch sił: kraju i emigracji była już nierozdzielna i zacieśniała się na terenach Polski, doprowadzając do pomyślnych rezultatów.

Nasze przewidywania co do szybkiego tempa rozwoju wydarzeń potwierdziły się. W związku z trudnościami, jakie napotykał rząd Związku Radzieckiego, by uzyskać poparcie mocarstw zachodnich dla naszej inicjatywy utworzenia Rządu Tymczasowego w oparciu o siły lewicy w kraju i w ZSRR, nasza delegacja KRN i przedstawiciele ZPP zostali zaproszeni w dniu 18 lipca na Kreml, gdzie Mołotow w obecności Stalina zakomunikował nam, że sprawa tworzenia komitetu polskiego, który by w zastępstwie rządu objął natychmiast na ziemiach polskich władzę, jest sprawą nie cierpiącą zwłoki. Ustalono też, że na zajęte przez Armię Czerwoną tereny wysłani zostaną delegaci, którzy będą tam organizowali administrację polską.

W tym samym dniu, tj. 18 lipca, członkowie naszej delegacji wzięli udział w posiedzeniu rozszerzonego Prezydium ZG ZPP. Na tym posiedzeniu zapadły ważne decyzje oficjalnego podporządkowania ZPP Krajowej Radzie Narodowej oraz wyłonienia naczelnego dowództwa dla mającego powstać Wojska Polskiego, scalonego z obu armii — Armii Ludowej i Armii Polskiej w ZSRR. Powołując się na sugestie Wasilewskiej i Stalina uzasadniłem potrzebę zaakcentowania w składzie naczelnego dowództwa prymatu kraju. W toku dyskusji wytypowaliśmy delegatów do mającej powstać Delegatury Krajowej Rady Narodowej dla ziem wyzwolonych. Wasilewska miała objąć w Delegaturze funkcję wiceprzewodniczącej.

Od tej pory odbywały się kolejne posiedzenia Delegatury KRN, na których podejmowane były ważne kwestie związane z działalnością w kraju. Po konsultacjach z rządem radzieckim postanowiliśmy przekształcić Delegaturę KRN w Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Ja, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, miałem objąć funkcję przewodniczącego komitetu, a Wanda Wasilewska i Andrzej Witos zostali wiceprzewodniczącymi.

Na odbywających się kolejnych spotkaniach na Kremlu w dniach 21 i 22 lipca ustalono dalsze szczegóły związane z działalnością PKWN. Przyjęto między innymi, że siedzibą PKWN będzie Lublin, natomiast Manifest PKWN ogłoszony będzie w Chełmie — pierwszym większym mieście wyzwolonym.

Dnia 25 lipca odbyło się jeszcze jedno, rozszerzone posiedzenie Prezydium Zarządu Głównego ZPP, w którym uczestniczyli członkowie naszej delegacji. Obok wielu innych spraw zatwierdzono listę 22 osób zaproponowanych spośród działaczy ZPP na członków Krajowej Rady Narodowej. Na liście tej znalazła się również Wanda Wasilewska.

W nocy z 26 na 27 lipca odbyło się na Kremlu podpisanie umowy o administracji na wyzwolonych terenach Polski oraz projekt o granicach. Wydany też został bankiet pożegnalny dla członków PKWN, po czym 27 lipca rano członkowie PKWN wyjechali do wyzwolonego Chełma. Wasilewska pozostała w Moskwie. Przyjeżdżała parokrotnie do Lublina, ale wiedzieliśmy, że podjęła decyzję pozostania na stałe w ZSRR.

Zawsze uważałem, że Wasilewska spełniła swój patriotyczny obowiązek wobec ojczyzny, organizując w latach drugiej wojny światowej Polaków w ZSRR do walki z hitlerowskim okupantem. Wniosła ona poważny wkład w powstanie Polski Ludowej.

Z książki „Wanda Wasilewska we wspomnieniach", wydawnictwa Książka i Wiedza, W-wa 1982.

Miejsce w którym jesteśmy

Dokończenie ze strony 1

potencjał przemysłowy, którego nie potrafimy do końca wykorzystać, a obecnie w dobie kryzysu wykorzystujemy zaledwie w niewielkiej części. Prawda również jest taka, że stworzyliśmy — mimo wielu jeszcze niedoskonałości — system otwartej oświaty, powszechnej służby zdrowia, upowszechniania kultury, działania instytucji naukowych. Prawda jest również i taka, że nie potrafiliśmy uporać się z kwestią mieszkaniową mimo dużej ilości budowanych mieszkań. Dziś 1,9 miliona ludzi posiadających pełny wkład na mieszkanie spółdzielcze oczekuje niecierpliwie na nie, a to nie jest pełen bilans potrzeb mieszkaniowych. Prawda również jest i taka, że wiele dziedzin, które wymieniłem oczekuje reform, ale reformy te byłyby niemożliwe, gdyby nie stworzono dla nich podstaw.

Druga — to idealizowanie okresu powojennego do 1948 roku. Wtedy wszystko było dobre, później wszystko było złe. Tymczasem prawda jest bardziej złożona. Nie wszystko do roku 1948 było dobre i nie wszystko w latach późniejszych było zdecydowanie złe. Czas miniony Polski Ludowej czeka ciągle na spokojne, rzetelne, udokumentowane oceny i analizy. Ale żeby przypomnieć, jak to przed 1948 rokiem bywało zacytuję fragment przemówienia Władysława Gomułki z pierwszej ogólnokrajowej narady PPR, która odbyła się 27 maja 1945 roku:

„Zdarzają się takie fakty, że poszczególne rady zakładowe nie zezwalają na to, by ministerstwo przerzuciło z jednej fabryki do drugiej odpowiednią ilość produktów niezbędnych dla normalnej pracy obu tych zakładów. Wychodzą przy tym z założenia, że to, co jest w fabryce, jest jej własnością i tylko załoga może decydować o tym. Należy stwierdzić, że nie jest to demokracja, lecz anarchia w najgorszym stylu, podważająca istotne podstawy demokracji. Jeżeli w tej ciężkiej sytuacji, w jakiej się znajduje Polska, w trudnym okresie odbywają się zebrania robotników, na których wysuwa się żądania 7-godzinnego dnia pracy i jeśli to zostanie uchwalone przez robotników i nie tylko przez robotników, ale i przez członków naszej partii, nie tylko na zebraniach ogólnych, ale i na zebraniach partyjnych — to nie jest to demokracja, lecz głębokie niezrozumienie okresu, w jakim się znajdujemy, trudności, jakie przeżywamy, jest to najgorzej pojęty, prowadzący do katastrofy anarchizm."

Niewątpliwie warto przyjrzeć się uważnie niektórym pozytywnym doświadczeniom tamtych lat, ale trzeba też pamiętać, że była to inna Polska, inne warunki historyczne, inne potrzeby i możliwości. Dziś musimy szukać odmiennych sposobów działania, tworzyć nowe doświadczenia, szukając jedynie inspiracji w przeszłości, opierając się na zrozumieniu prawidłowości procesu historycznego.

Trzecie — koncentrowanie uwagi jedynie na „polskich kryzysach". Dla pełnego zrozumienia dokonującego się procesu przemian politycznych i społecznych niezbędna jest znajomość mechanizmów rodzących kryzysy, ale dla tego zrozumienia niezbędne jest poznanie również tego, co działo się między kryzysami. Kryzysy bowiem, albo jak to się też nazywa „zakręty", są jedynie objawami nieprawidłowości występujących w procesie historycznym. Zajmowanie się tylko objawami niczego nie rozwiązuje, niczego nie wyjaśnia, jeśli nie pozna się przyczyn.

A przyczyny leżą chyba w tym, że w ciągu tych 38 minionych lat nie doceniano sprzeczności, jakie mogą i występują również w okresie budowy socjalizmu. Jakby zapomniano, że motorem rozwoju wszelkich form życia, również i politycznego i społecznego są sprzeczności wewnętrzne, że każde zjawisko ma swoją przeszłość i przyszłość, że zawarte są w nim elementy stare, przeżyte, a więc obumierające i nowe, a więc rozwijające się. Prawo dialektycznego rozwoju dotyczy też sił wytwórczych i stosunków produkcji. Otóż ogólnie mówiąc przyczyny kryzysu roku 1980 leżały w tym, że nastąpił klasyczny, niemal podręcznikowy, konflikt między siłami wytwórczymi a stosunkami produkcji. Wszystkim negującym dorobek Polski Ludowej choćby tylko w gospodarce i oświacie warto zadać ten temat do przemyślenia. Gdyby nic w tej Polsce nie zrobiono nie doszłoby do tego konfliktu, albo miałby on zupełnie inny obraz.

Dziś musimy ze szczególną uwagą analizować występujące sprzeczności w procesie rozwoju naszego społeczeństwa, a przede wszystkim tę główną sprzeczność, bo przecież nie została ona rozwiązana i bez jej rozwiązania wyjście z kryzysu jest niemożliwe. Jesteśmy zatem w miejscu, które można byłoby określić jako rozpoznanie złożoności procesu dokonujących się przemian i określenie kierunku działania.

Jest to kierunek konsekwentnej demokratyzacji życia w kraju. Nie zrobi się jednak tego w ciągu dwóch, trzech miesięcy, w ciągu dwóch, trzech lat nawet. Jest i będzie to proces długotrwały, skomplikowany, dokonujący się nie bez przeszkód i zahamowań. Jeśli bowiem chcemy, a przecież chcemy, dokonać postępu w gospodarce, poprawić warunki życia, to trzeba bezwzględnie odwołać się do inicjatywy, pomysłowości i zaangażowania ludzi tam, gdzie pracują i działają. Nie można tego załatwić centralnym sterowaniem, dyrygowaniem i administrowaniem. Dla zdecydowanej większości Polaków — co by tam wewnętrzna i zewnętrzna opozycja nie mówiła — socjalistyczna przyszłość Polski jest niekwestionowana i jedynie możliwa. Ale socjalizm dla nich łączy się z ich udziałem w decydowaniu i ich odpowiedzialnością za realizację tych decyzji. Jest to więc droga rozwijania i umacniania samorządu jako szkoły socjalistycznej demokracji.

Tu rodzi się wszakże podstawowa trudność i sprzeczność, którą trzeba będzie rozwiązać, bo od tego zależeć będzie przyszłość Polski. Jak pogodzić powszechne dążenie do samorządności przy jednoczesnym umacnianiu silnego, zdolnego do sprawnego działania państwa? I pytanie następne: jak w nowych warunkach realizować kierowniczą rolę partii? Nie może być bowiem rozwoju socjalizmu bez skutecznego wypełniania kierowniczej roli partii. Sposób praktycznego szukania odpowiedzi na to pytanie zawarty jest w Uchwale IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR:

„Wszyscy członkowie partii, działający w ogniwach władzy i administracji państwowej, samorządu i organizacji społecznych, są współodpowiedzialni za realizację programu partii, za zdobywanie dla niego społecznego poparcia."

Zdobywanie poparcia dla programu partii, dla działania rządu ma dziś szczególne znaczenie, choć to znaczenie nie wygasa nigdy. Silna bowiem władza państwowa, a ta jest nam potrzebna dla zrealizowania szerokiego zestawu reform, musi mieć oparcie w społeczeństwie i wyrażać tego społeczeństwa dążenia i aspiracje. Rozwiązywanie zatem sprzeczności między dążeniem społecznym do samorządności a dążeniem organów władzy państwowej do sprawnego działania musi iść w kierunku godzenia tych dążeń, szukania zbieżności między nimi, bo tylko to może dać postęp, a już w żadnym wypadku dominacja któregoś z nich.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Foto: Mirosław Zajdler

Kawałek ziemi dla każdego?

JACEK BINKOWSKI

Jest w naszym miejskim województwie łódzkim ponad piętnaście tysięcy działek. Zakładając, że każda działka zajmuje przeciętnie 0,04 hektara łatwo obliczyć, że ponad 750 hektarów łódzkiej ziemi obsadzone jest marchewką, rzodkiewką, truskawkami i innymi dobrami.

Zapotrzebowanie na własny kawałek ziemi uprawnej ciągle rośnie. Sekretarz Wojewódzkiego Zarządu Ogródkami Działkowymi — Eugeniusz Modrzewski wyraźnie unika prasy:

— Proszę pana, o działkach nie należy dzisiaj pisać. Będziemy mieli tylko kłopoty. Gdy w gazecie ukazuje się jakiś anons dotyczący ogródków działkowych, jakaś wzmianka, jesteśmy natychmiast zalewani stertami podań. Podań, które z obiektywnych przyczyn długo jeszcze nie będą załatwione pozytywnie.

Prezes WZODz. — Adam Bielecki jest większym pesymistą:

— W Łodzi nigdy nie zaspokoimy potrzeb amatorów działek. Nigdy nie dojdzie do takiej sytuacji, żeby wszyscy zainteresowani byli zadowoleni.

Nic dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że obecnie na własny skrawek ziemi oczekuje 53 tysiące chętnych. Jest więc potrzebnych 2800 ha do zagospodarowania. Co prawda Urząd Miasta podjął decyzję o oddaniu do końca pięciolatki 2000 ha pod rozbudowę działek, niemniej jednak chętnych stale przybywa. Zarząd Ogródków, jak zwierzył się sekretarz E. Modrzewski nie przyjmuje już podań od indywidualnych petentów. Tylko zakłady pracy, renciści, emeryci i przedstawiciele wolnych zawodów mogą się w ten sposób ubiegać o przydział. Pozostali mogą ubiegać się o działki tylko przez macierzyste zakłady pracy.

Ostatnio zakłady we własnym zakresie przygotowują ogrody działkowe z funduszów socjalnych. Z kolei sami działkowicze własnymi siłami grodzą tereny, robią drogi, zakładają wodę. Jeden hektar działki kosztuje dzisiaj dwa i pół miliona złotych łącznie z terenem, dokumentacją, uzbrojeniem, reaktywacją gleby, ogrodzeniem.

Szał działkowy trwa, osiąga swoje apogeum. Co bardziej cierpliwi składają podania i wytrwale czekają na swój przydział. Inni — na własną rękę tworzą pseudo-ogródki. „Dobierają" się do każdego nie wykorzystanego skrawka ziemi.

Przybywa działek dzikich. Obsadzone są poletka obok torów kolejowych, na nie zagospodarowanych placach, przed blokami.

— To dobrze, że ludzie tak bardzo pragną działki, ale jeżeli chodzi o te dzikie, to mój stosunek jest zdecydowanie negatywny — mówi prezs WZODz. — Adam Bielecki — Ludzie często bez pomyślunku, tak na hura zaczynają kopać ziemię i sadzić rośliny. Czasami jest to bardzo nieestetyczne.

Konkretnej recepty jednak prezes nie ma, rozkłada bezradnie ręce.

W Łodzi jest 128 terenów z ogródkami działkowymi. W rozbiciu na dzielnice i osiedla wygląda to bardziej przejrzyście.

Na Widzewie-Wschodzie jak na razie nie ma ani jednej działki, na Dąbrowie około pięćset, Teofilów ma dwa ogrody, co daje łącznie 600 działek. Retkinia z kolei 530 i drugi — ogród w budowie. Potrzeby tej dzielnicy jak do tej pory: sześć tysięcy, chętnych ciągle przybywa.

Najlepiej rzecz wygląda na Bałutach — przeszło trzy tysiące. Na osiedlu Radogoszcz buduje się ogród na 24 hektary. W pierwszym etapie odda się działkowiczom pod uprawę tylko dziesięć.

— To kropla w morzu — mówi prezes Adam Bielecki. — Na takiej chociażby Retkini to i sto hektarów będzie mało. Pięćset działek na taką dzielnicę?

— Nie będziemy nic załatwiać na telefon — mówi dalej — żadnych obiecanek, że będzie coraz lepiej. Bo to jest tak: podajemy anons do prasy, przyjmujemy podania, a w rezultacie Urząd Miasta nie wyraża zgody. Będzie na papierze zezwolenie na budowę, że otrzymamy tyle i tyle działek, będzie oficjalny podpis — wtedy będziemy z ludźmi rozmawiać konkretnie.

Prezes widzi zaniedbanie w terenach zielonych spowodowane złą nimi gospodarką. No bo stawia się takie kolosy jak Central, Balaton.

— Na całym świecie — mówi prezes — buduje się „w górę" — wieżowce, buduje się drogi przelotowe poza miastem. Wtedy więcej miejsca na zieleń w samym mieście, ludzie byliby zdrowsi.

Dzisiaj każdy chce mieć działkę, własne pole uprawne, własny „sklepik warzywny", własne „pole wypoczynkowe". Niedawny jeszcze synonim rencisty przeradza się w ogólnospołeczne zjawisko. Wiadomo, że własna działka przynosi dochód, podnosi rodzinny budżet, daje satysfakcję, stwarza możliwość relaksu, oderwania się od szarej codzienności.

Starszy pan z „dzikiej działki" na Retkini wiezie wodę z pobliskiego stawu.

— Ja, proszę pana przepracowałem już dwadzieścia pięć lat. Ślusarz byłem, ciężka praca. Teraz na emeryturze nudno trochę człowiekowi. Ja tutaj, na tej działeczce cały czas wolny poświęcam, ta działka to właściwie wszystko, co mi jeszcze w życiu zostało. Na stare lata miło popatrzeć, jak własne rośnie.

Pani Stanisława Legutowska też jest na emeryturze, działkę uprawia od 4 lat. Przedtem nie było czasu, pracowała jako szwaczka, później dom, rodzina. Teraz, kiedy nie pracuje może sobie pozwolić na pracę na działce. Sprawia jej to przyjemność, nudę zabija.

Tyle emeryci. Problem starych ludzi znany jest od dawna. Okres emerytury — trudny okres, tym bardziej jak człowiek ma jeszcze sporo energii. Wtedy uprawa działki sens życia przywraca.

— Cieszy dzisiaj — mówi prezes WZODz., Adam Bielecki — cieszy dzisiaj, że obecnie na działce pracują wszyscy. Widzę jak uprawiają swój zagonek również młodzi ludzie, całe rodziny, począwszy od małego dziecka, poprzez młodzież do dziadków. Kiedyś spotykało się przy altance tylko emerytów. Uprawa działki przynosi korzyści ekonomiczne, społeczne, zdrowotne, wychowawcze. Trzeba ten trend rozwijać.

Młody działkowicz jest bardziej konkretny:

— Proste wyliczenie: dziennie zbieram trzy kilogramy truskawek po osiemdziesiąt złotych, włoszczyznę za kilkanaście złotych, dalej szczaw, koper, kapustę. Daje to tak średnio tysiąc złotych miesięcznie. Pan zna ceny na rynku, jakie to wszystko „tanie"? Parę złotych zaoszczędzone z miesięcznej pensji też dzisiaj coś znaczy, trzeba się ratować.

Zygmunt K. nie rozpatruje uprawy działki tylko w sferze materialnej. Sprawia mu to przyjemność, takie uprawianie. Gdyby miał większe możliwości kupiłby małe gospodarstwo gdzieś pod Łodzią. Bardzo kocha ziemię, ma do tego żyłkę. Wie dokładnie, co, kiedy najlepiej siać, co najczęściej podlewać, jakie stosować nawozy. Ma sporo praktyki.

Jeszcze inni na działce po prostu odpoczywają. Leon Lis pracuje w biurze. Po takiej siedzącej ośmiogodzinnej pracy uprawianie działki jest dla niego relaksem.

— Od czterech lat mam to własne poletko. Codziennie przynajmniej trzy godziny tutaj pracuję: podlewam, chwasty wyrywam. Odpoczywam na działce. Zimą, kiedy nie ma żadnych prac nie mogę się doczekać kiedy będzie wiosna, żeby zacząć już pracować. Przyjeżdżamy z żoną na niedzielę, na wszystkie wolne dni, nawet syn, chociaż studiuje na Politechnice, w wolnych chwilach lubi wpaść na działkę. W tym roku cały urlop tutaj spędzimy z żoną. Teraz takie trudności z wczasami, takie wczasy drogie. Uważam, że ludzie powinni wykorzystywać każdy skrawek wolnej ziemi. W kryzysie, kiedy są kłopoty z żywnością jest pożądane zajmo anie się takim „minirolnictwem". Wystarczy dla własnych potrzeb — to już dużo w skali kraju. No i wszyscy będziemy zdrowsi....

Schyla się ku ziemi, częstuje truskawką.

— Najlepsza, bo własna!

Jak widać, motywy posiadania działki są bardzo różne. Jedni po prostu chcą mieć własne warzywa, nie wydawać niepotrzebnie pieniędzy, inni z nudów, jeszcze inni dla relaksu. Prezes Zarządu Ogródków dopatruje się nawet względów wychowawczych.

Fakt jest faktem, ludzie chcą mieć działkę. Przyszła moda na własny skrawek ziemi, a może konieczność?

W każdym bądź razie zjawisko bardzo społecznie pożyteczne. Szkoda tylko, że nie wszyscy mogą ot tak, po prostu poprosić o działkę i zaraz potem ją uprawiać. 53 tysiące nie zrealizowanych podań i przynajmniej następnych 100 tysięcy jeszcze nie zdecydowanych, to liczby mało optymistyczne. Może miasto jednak wygospodaruje jeszcze trochę terenów?

Nie samą sałatą i rzodkiewką

RYSZARD BINKOWSKI

Województwo miejskie łódzkie zajmuje 0,5 proc. obszaru kraju, posiada 101 tys. ha użytków rolnych, z których co roku w ostatnich siedmiu latach ubywało na cele nierolnicze ponad 0,5 tys. ha. Doczekaliśmy się więc sytuacji, kiedy na jednego mieszkańca województwa przypada 9 arów gruntu. A tymczasem wielkość niezbędna do wyżywienia człowieka, określona przez FAO, wynosi 0,5 — 2,0 ha, w zależności od klasy ziemi, rodzaju upraw i poziomu agrotechniki. Jeśli do tego dodać, że w województwie miejskim gleby są słabe, że 10 tys. gospodarstw zajmuje powierzchnię niższą od 0,5 ha, i że znaczną większość użytkowników stanowią dwuzawodowcy, to jasno z tego wynika, iż nie jesteśmy w stanie sami się wyżywić. Z jednym wszakże wyjątkiem — jesteśmy eksporterem przyspieszonych upraw spod folii. No, ale milionowa aglomeracja nie może się żywić na co dzień sałatą i rzodkiewką.

Rzecz jasna, nie jest dziś najszczęśliwszy okres do rozważań na temat przyłączenia do Łodzi miejscowości ściśle związanych z nią pod względem gospodarczym, historycznym, geograficznym, choć sprawa nie traci na aktualności, ponieważ w reformie gospodarczej nie sposób zmieniać reformy administracyjnej sprzed lat. Ale w reformie gospodarczej wojewodowie stali się bardziej samodzielni, mają pod sobą całe rolnictwo, toteż należy przypuszczać, iż będą się przede wszystkim starać o zaspokojenie potrzeb żywnościowych na własnym terenie. Dlatego też trzeba robić wszystko, aby wyciągnąć jak najwięcej z tego kawałka ziemi, jaki posiadamy. Jednakże sprawy zaplecza żywnościowego dla Łodzi nie wolno puszczać w niepamięć i wrócić do niej w stosownej chwili.

Jesteśmy już po sianokosach, bielejące rzepaki i jęczmień ozimy każą myśleć o małych żniwach, a tuż za nimi będą żniwa duże, właściwe, i drugi pokos siana.

Czy uda nam się zebrać więcej i na czas, czy potrafimy to wszystko dobrze zagospodarować? Czy w ogóle w łódzkim rolnictwie idzie na lepsze? I tak, i nie. Jest, na przykład, więcej maszyn, szczególnie ciągników, ale z kolei województwo miejskie otrzymało o 13 kg NPK mniej na jeden hektar, niż w roku ubiegłym, a powinno dostać o 13 kg więcej. Już teraz rolnicy martwią się — skąd wziąć nawozy pod siewy jesienne?

Wróćmy jednak do teraźniejszości. Pocieszającym jest fakt, że maleje nieco rozdrobnienie, że w takich gminach, jak Głowno, Brójce, Parzęczew i Rzgów rośnie średnia powierzchnia gospodarstw indywidualnych. Zmniejszyły się zasoby PFZ, od 1976 roku do czerwca 1982 roku sprzedano rolnikom 940 ha. To dobrze, że chłopi są zainteresowani nabywaniem gruntów i powiększaniem gospodarstw. Ale żeby ta ziemia była naprawdę szanowana, musi mieć odpowiednią cenę, zbliżoną do wolnorynkowej. Dlatego też naczelnicy gmin mają prawo sami decydować o wysokości ceny sprzedawanych gruntów, w zależności od ich klasy. Ponadto niski podatek gruntowy nie zachęca do rzetelnej uprawy działek. Udowodniły to ostatnie kontrole wojska i NIK. W maleńkim województwie znaleziono jeszcze 70 ha odłogów oraz 530 ha ziemi zagospodarowanej źle, nieracjonalnie. Trzeba więc stworzyć naturalne stymulatory, które zdopingują właścicieli do należytego użytkowania gruntów.

A co jeszcze „boli" łódzkie rolnictwo? Ano to, że mimo ostatnich trzyletnich intensywnych prac, zbudowano dotąd na wsi 140 km wodociągów, a potrzeba 634 km. Pod tym względem jesteśmy na 35 miejscu w kraju, gdyż z wodociągów korzysta zaledwie 7 proc. gospodarstw chłopskich. Druga z bolączek to melioracje, na które czeka ponad połowa pól w województwie.

Są poważne kłopoty z inwestycjami dla rolnictwa, ponieważ przedsiębiorstwa stały się samofinansujące i liczą każdą złotówkę, dotyczy to w szczególności melioracji i budownictwa mieszkaniowego w PGR. Należy zbudować mleczarnię przerabiającą 300 tys. litrów mleka na dobę oraz odbudować spalony młyn w Pabianicach. Nie ma jednak funduszów i jeśli rząd nie pomoże, to władze łódzkie nie poradzą sobie z tym problemem.

Szczupłe zasoby paszowe nie pozwalają na wielki rozwój hodowli. Fermy drobiarskie już stoją. Tam, gdzie jest ziemia, próbuje się hodować świnie. W innych pustych kurnikach będzie się przechowywać ziemniaki, warzywa, albo nawet magazynować zboże. Ano, tak, budowa przechowalni ziemniaków ciągnie się od kilku lat, a zaawansowana jest w 30 procentach. I tu zaczyna się sprawa hodowli trzody. Wprawdzie nie zapowiada się ogólnie drastyczny spadek produkcji zwierzęcej, ale fakt, że w II kwartale zmalało krycie loch, świadczy, iż będzie chyba mniej wieprzowiny. Oczywiście, z braku pasz treściwych. Byłby jeszcze ratunek w ziemniakach, których w województwie miejskim można zebrać 250 tys. ton. Z tego 40 tys. ton idzie do konsumpcji, reszta zaś na hodowlę. Ale ponieważ nie ma przechowalni, w kopcach prawie jedna trzecia może się zmarnować.

Na wsi pojaśniało „czarnym". Jest węgiel, składy są pełne i chłopi nawet przebierają w tym węglu, grymaszą. Więc może znieść reglamentację? Owszem, to by przeszło, ale tylko wówczas, gdyby wszyscy płacili wyższą cenę. Bo gospodarstwa państwowe i spółdzielcze płacą za węgiel drożej niż chłopi.

W tak ogólnie zarysowanej sytuacji województwo miejskie łódzkie staje do kolejnych żniw. Żeby sobie wzajemnie nie przeszkadzać, nie utworzono ani wojewódzkiego sztabu żniwnego, ani sztabów gminnych. I słusznie, niech każdy się martwi o swoje. SKR martwią się, że z braku części zamiennych nie będą miały sprawnych maszyn. Ale jest reforma, trzeba walczyć o swoje. Czy kombajny eskaerowskie będą stać? Na to wygląda, zamówienia bowiem są niskie, gdyż odstrasza cena — 3300 zł za godzinę. Ale z drugiej strony, jeśli kosiarz weźmie 2 tys. zł za dniówkę, to kombajn już nie jest taki drogi. Wiele zresztą zależy od pogody i od ilości rąk do pracy na wsi.

Rolnictwo jest jedno, więc naczelnik gminy odmierza każdemu po kawałku sznurka do snopowiązałek i pras zbierających słomę. Jak zabraknie sznurka, w pole ruszą kosiarki konne. No i kosy. Z tym, że kos jest mało, ale za to pod dostatkiem osełek.

Jak nie posmarujesz, nie pojedziesz. A w Łódzkiem właśnie ten problem, zgoła prozaiczny, staje się ważny: brakuje smarów do maszyn. Rolnicy patrzą jednak z nadzieją na zakłady pracy podejmujące produkcję dla rolnictwa. Trzeba jednak stwierdzić z przykrością, że często się zawodzą. Bo w gruncie rzeczy nastąpiła tutaj pewna poprawa, ale jednocześnie pojawia się na rynku wiele maszyn szalenie drogich, a przy tym z wadami konstrukcyjnymi, nieprzydatnych. Jak się w czymś takim coś bez przerwy urywa, to rolnik powinien otrzymywać gratisowo spawarkę i elektrody.

Okazuje się, że w czasie żniw najbliżej rolnika znajduje się rzemieślnik. Na łódzkiej wsi jest 200 warsztatów pracujących bezpośrednio dla rolnictwa. Ci właśnie rzemieślnicy dyżurują całą dobę, dorabiają części i naprawiają maszyny nie tylko w warsztacie, ale przede wszystkim na polu.

A co z handlem i zaopatrzeniem wiejskich sklepów? Z tym różnie bywa, choć ogólnie widać pewną poprawę. Rolnicy przyjęli z zadowoleniem przydział dwóch kilogramów wędlin na żniwa. Gorzej, że wędliny są, powiedzmy, półtrwałe, więc lepsze byłyby chyba konserwy.

Jak co roku pomyślano o pomocy dla rolników starszych, samotnych. Jak co roku młodzieżowcy przystępują do akcji „Każdy kłos na wagę złota". I jeśli w czasie żniw nastąpi zdrowa rywalizacja między ZSMP i ZMW, to z tej walki o wpływy wyjdzie chyba niezły pożytek i chleba zbierzemy pod dostatkiem. Byle tylko dopisała pogoda.

Jak pokochać pracę?

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Czy w ogóle trzeba ją kochać? Może wystarczy ją tylko polubić? W każdym razie stosunek do pracy nie może być obojętny, niechętny, a nawet wrogi. Jak to zmienić? Jedno niewątpliwie jest pewne — nie osiągnie się tego hasłami, nawoływaniem i apelami. Gdzieś w przeszłości został popełniony błąd. Ale gdzie i kiedy? Bez wątpienia wcześniej nim powstało przekonanie: *„czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy"*. Wówczas już lekceważący stosunek do pracy był faktem. Ale, dlaczego tak się stało? Pytań jest wiele. Spróbujmy zatem znaleźć na nie choć częściowe odpowiedzi, zastanowić się, co zrobić, aby praca przynosiła zadowolenie, aby nie była ciężarem, nielubianym obowiązkiem? Bez tego bowiem trudno nam będzie wyjść z kryzysu.

Pisanie dziś o pracy ma w sobie coś z kaskaderstwa, jest to dobrowolne narażanie się ludziom. Ludzie nie lubią, kiedy im się uświadamia konieczność pracy. Dziś każdy chciałby, aby dawano mu dużo pieniędzy za minimum wysiłku. Ale przypomnijmy: punkt 4 Artykułu 19 Konstytucji PRL głosi, że *„Polska Rzeczpospolita Ludowa coraz pełniej wprowadza w życie zasadę: „od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy"*. To raz. Dwa — to fragment z postanowień IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR: *„Podstawowym źródłem dochodów obywatela jest praca, która jest nie tylko prawem, ale i powinnością. Od wydajności i jakości pracy zależeć powinien poziom wynagrodzenia"*. Takie są obowiązujące założenia i kierunki działania. Ale — powtarzam — apelami i nawoływaniem tego się nie osiągnie.

Filozofowie, a później socjologowie od dawna zastanawiali się nad miejscem pracy w życiu człowieka. Twierdzą oni, i nie bez racji, że gdyby nie praca nie byłoby człowieka, nie byłoby cywilizacji, nie byłoby kultury, nie byłoby postępu. Ale na początku

PRACA BYŁA KARĄ

za grzech pierworodny. Powiedział Bóg do Adama:

„...przeklęta będzie ziemia dla ciebie, w pracy z niej pożywać będziesz po wszystkie dni żywota twego.

A ona ciernie i oset rodzić będzie tobie; i będziesz pożywał ziela polnego.

W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba..."

I zaczął człowiek żyć z pracy swojej. Ale też szybko nauczył się wyzyskiwać pracę drugiego. Już w społeczeństwach starożytnych dokonał się podział na tych, którzy pracowali i na tych, którzy korzystali z owoców pracy innych. Ten podział, ciągnący się przez wieki, wywarł ogromny wpływ na stosunek do pracy. Florian Znaniecki w książce „Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości" pisze:

„...klasy wyzyskujące i nadporządkowane gardziły pracą tylko dlatego, że była cechą klas wyzyskiwanych i podporządkowanych. To zaś, że ludzie pracujący sami od wieków uważali pracę za zło konieczne, za przekleństwo rodzaju ludzkiego, jak w legendzie biblijnej, tłumaczono w dawnych czasach niedoskonałością natury ludzkiej, w nowszej literaturze, zwłaszcza socjalistycznej, tym, że ich pracę wyzyskiwano, że z wytworów jej część znaczną pod przymusem oddawać musieli wyzyskiwaczom.

Nie przeczymy, że te czynniki klasowe odegrały znaczną rolę w utrwaleniu negatywnej postawy względem pracy, i w klasach nadporządkowanych, i w podporządkowanej masie pracowników".

Czy ten stosunek do pracy utrwalany przez wieki nie pozostawił śladu w świadomości nas współczesnych? Mówi się, że przysłowia są mądrością narodu. Popatrzmy więc, co na temat pracy mówią polskie przysłowia:

„Bóg na to dał ręce, aby na chleb robić, a na to dał serce, aby drugich lubić". (XIX wiek.)

„Choćbyś przeszedł wszystek świat, wszędy robić musisz". (XVII wiek.)

„Człowiek musi robić, bo gęba chce jeść". (XVI wiek.)

„Człek zdechnie, a robota zostanie". (XIX wiek.)

Wielkiej ochoty do pracy w tym jakoś nie widać, ale przysłowia z XX wieku wyrażają jeszcze większą niechęć do pracy:

„Rób a rób, a zarobisz na grób".

„Każdy robi, jak może, panie dyrektorze".

„Od roboty konie zdychają, a od leżenia boki bolą".

Ale kronikarze zanotowali też powiedzenie o robocie szybkiej, a niedbałej: *„Aby Polska nie zginęła"*.

Gdzieś jednak w naszej świadomości kołacze przekonanie, że *„bez pracy nie ma kołaczy"*, że jednak przecież tylko pracą można dojść do czegoś, chociaż i z drugiej strony kołacze w nas przekonanie, żeby jak najmniejszym wysiłkiem zarobić jak najwięcej. Proszę spróbować skrytykować jakąś grupę zawodową za złą jakość pracy, za złą organizację pracy, za minimalne jej wyniki. Natychmiast posypią się protesty, bo my, a może to z całym powodzeniem dotyczyć: kolejarzy, drogowców, pracowników służby zdrowia, nauczycieli, kierowców, włókniarzy i tak dalej, pracujemy ciężko, co jest bez wątpienia prawdą, a „wy się nas czepiacie", co już jest przesadą, bowiem krytyka ma na ogół na celu wykazanie braków w jakości czy organizacji pracy, których usunięcie powinno leżeć zarówno w interesie tej grupy pracowników, jak i tych, którzy z ich pracy korzystają. A przyczyna takiego stanu rzeczy bierze się stąd, jak to stwierdził cytowany już Florian Znaniecki, że *„praca sama w sobie przedstawia się jako niepożądana, choć wyniki jej są pożądane"*. Książkę swoją Florian Znaniecki opublikował w 1934 roku, jej powojenne wydanie ukazało się w Polsce w 1974 roku. Stwierdzony wówczas niechętny stosunek do pracy nie zmienił się w zasadzie do dziś, a nawet został pogłębiony.

W czasie dyskusji nad Deklaracją programowo-ideową PZPR z inicjatywy wydziału nauki i oświaty KŁ PZPR, przeprowadzono badania socjologiczne nad cechami członka partii, a więc niejako wzorcowymi.

JAKIE DZIŚ CECHY SĄ WAŻNE?

Wyniki tych badań były publikowane w „Odgłosach", tym nie mniej warto do nich wrócić. Badano nauczycieli i robotników. Na pytanie o gradację cech charakteryzujących dziś członka partii odpowiadający na ankietę nauczyciele, pracowitość postawili na równi z prawością, a tak sądzi 45 procent uczestników ankiety, i pracowitość znalazła się u nauczycieli na trzecim miejscu, po uczciwości i patriotyzmie. Natomiast 57,4 procent wypowiadających się robotników pracowitość postawiło na czwartym miejscu, po uczciwości, prawości, odwadze w zwalczaniu zła. Warto też zastanowić się nad tym, na którym miejscu w obu ankietach znalazło się zdyscyplinowanie — tak przecież ważne u dobrego pracownika. Otóż nauczyciele postawili je na piątym miejscu, a robotnicy... na ósmym. Można powiedzieć, że taka gradacja cech wzorcowych jest wynikiem sytuacji kryzysowej, kiedy panuje również kryzys moralny, i stąd tak silne akcentowanie uczciwości i prawości. Ale równocześnie ludzie, którzy wychowują młodzież, jak też ludzie, od których pracy zależy powodzenie w wychodzeniu z kryzysu muszą być świadomi modelu docelowego, gradacji cech współczesnego Polaka, które dopomogą mu w przezwyciężeniu trudności. Obok uczciwości niezbędna jest też pracowitość.

Wiem o tym doskonale, że czynnikiem decydującym jest również system motywacyjny płac. Pisałem zresztą o tym w „Odgłosach". Płaca musi zależyć od pracy. To jasne. Czyni się pierwsze kroki w tej dziedzinie. Tu mogę powołać się na przykłady ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex", czy ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex". Ale to jest tylko jedno z koniecznych działań. Obok motywacji ekonomicznych muszą też istnieć motywacje innego rodzaju, powiedzmy ogólnie — pozamaterialne.

NIE SAMYMI HASŁAMI

osiągnie się dobre wyniki pracy i nie samymi hasłami można ludzi zachęcić do dobrej pracy. Niedawno widziałem hasło: *„Twoja praca dla Polski"*. Ogólnie hasło to jest słuszne, ale jest ono wysoce abstrakcyjne. Włodzimierz Lenin w artykule z 1917 roku „W sprawie haseł" zwracał uwagę:

„Nazbyt często zdarzało się, że kiedy historia dokonywa nagłego zwrotu, nawet czołowe partie przez dłuższy lub krótszy okres czasu nie mogą przyzwyczaić się do nowej sytuacji, powtarzają hasła, które były słuszne wczoraj, ale które straciły wszelki sens dzisiaj, straciły sens „nagłe", równie nagłe, jak „nagły" był gwałtowny zwrot historii".

Co prawda trudno mówić że hasła: *„Twoja praca dla Polski"*, albo *„Polak potrafi"* straciły swój uniwersalny sens, ale dziś nie oddziaływują w taki sposób jak by oczekiwali twórcy tych haseł, już choćby z tego powodu, że są to hasła nadużywane w poprzednim — tak krytykowanym — okresie. Ale Włodzimierz Lenin w tymże artykule zwraca również uwagę, że *„zastępowanie rzeczy konkretnych przez abstrakcyjne — to jeden z głównych grzechów, jeden z najniebezpieczniejszych grzechów w rewolucji"*. W propagandzie również.

Zastanówmy się bowiem, co to znaczy owo cytowane hasło w naszym świecie zatomizowania i daleko posuniętego podziału pracy, kiedy robotnik wykonuje tylko jakąś część finalnego produktu, kiedy często nie ma obrazu całości i nie bardzo nawet wie, jaki jest jego udział w całości. Co dla niego znaczy, że jego praca ma znaczenie dla Polski, że jest nam wszystkim potrzebna? Nic w gruncie rzeczy nie znaczy. On — oczywiście — kocha Polskę, ale tej miłości do ojczyzny nie wiąże z wynikami swej pracy. Są to dla niego sprawy rozdzielne. Być może silniej do niego przemawiałoby hasło wykazujące, że bez jego udziału nie uda się wyprodukować lodówki, parasola, tkaniny, szafy grającej, szafy sterowniczej, transformatora i tak dalej. Być może wtedy poczułby się ważny, bo pokazano by mu jego miejsce w ogólnym wysiłku, odwoływano by się do jego dumy robotniczej, do chęci każdego z nas, aby być pożytecznym, potrzebnym i spełniać jakąś rolę w społecznym i politycznym życiu. Każdy przecież chce, aby coś od niego zależało, a jeśli wie, że nic nie zależy, że inni wszystko za niego robią, to ma to wszystko w... nosie. *„Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy"*. Tylko że dziś nie są to już dwa tysiące złotych, ale znacznie więcej.

— Panie, po co ja się będę wysilał, kiedy to i tak idzie na marne! — słyszało się już i takie wypowiedzi.

Czyż „pracą wychowawczą" w negatywnym tego znaczeniu nie jest wszelki brak poszanowania dla wysiłku innego człowieka, kiedy już z góry wiadomo, że jego praca nikomu się nie przyda, bo jest błąd w założeniu, bo markuje się tylko wyniki, bo robi się na efekt aby przypochlebić się zwierzchności. Czyż tak negatywną pracą wychowawczą nie były wszelkie przygotowania do różnych wizyt gospodarskich kiedy efekt miał być jednorazowy, a ludzie przy tym zatrudnieni wiedzieli, że ich praca jest marnowaniem ich wysiłku, czasu, pieniędzy i materiałów. Czyż wreszcie wszelkie marnotrawstwo, niegospodarność, brak poszanowania wspólnej własności nie rodzą lekceważenia do własnej pracy.

I tu chyba

DOCHODZIMY DO SEDNA RZECZY

Człowiek współczesny musi pracować.

„Wytwarzanie użyteczności dla innych — pisze Florian Znaniecki — *stało się po prostu środkiem niezbędnym do zadawalania własnych potrzeb podmiotu i w znacznym stopniu wykonywane jest pod presją i kontrolą społeczną, której skuteczność także opiera się na potrzebach biologicznych".*

Byłoby jednak głębokim uproszczeniem, gdybyśmy poprzestali na tym stwierdzeniu. Człowiek musi pracować, ale chce, aby jego praca nie była tylko koniecznością, ale przynosiła mu też zadowolenie. Chce nie tylko przetwarzać, ale wnosić nowe wartości, *„Praca* — powiada F. Znaniecki — *produkuje użyteczności subiektywne"*. Natomiast *„twórczość produkuje dzieła obiektywne"*. Ale też *„robotnicy wyżej uzdolnieni usiłują wnieść do swej pracy jakieś minimum dążności twórczych i wydobyć z niej choć trochę zadowolenia"*. Kiedy F. Znaniecki pisał swoją książkę panowały *„warunki społeczne, uniemożliwiające wyzwolenie twórczego działania"*, dziś — wydawałoby się — warunki te już nie istnieją. Wobec tego, skąd ten negatywny, lekceważący, a niekiedy wręcz nienawistny stosunek do pracy? Z popełnionych błędów. Oczywiście. Ale musimy też mieć ich świadomość i szukać sposobów ich naprawienia. Czy taką świadomość już mamy? Wątpię. Ostatnio zbyt wiele uwagi przykładamy tylko do zbudowania materialnego systemu zainteresowania pracą. To bez wątpienia jest niezbędne. Ale również nie wystarczające.

W dwutygodniku Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury „Twórczość Robotników" (nr 1) Michał Krajewski (dla młodych niezbędna informacja: *„murarz, twórca słynnych trójek murarskich"*) napisał:

W ustroju socjalistycznym ludzie mają szansę zdążać całą mocą do wyzwolenia od najcięższej pracy, do wyzwolenia się z jej nadmiernego fizycznego trudu, do jak najbardziej skróconego czasu pracy jako społecznej konieczności. Mają szansę przerzucenia własnego wysiłku na siły przyrody, na mechanizację, na automatykę — stosując coraz doskonalsze mechanizmy i maszyny, odkrywając coraz obfitsze źródła energii w przyrodzie, nie w swoim organiźmie, nie w swoich kościach i mięśniach".

A więc nie tylko praca, ale i twórczość. Wzajemne się jej splecenie, uzależnienie. Sama szansa jest jednak niczym, jeśli nie powstaną warunki dla jej wykorzystania. I socjalistyczne przedsiębiorstwo, właśnie zreformowane, samodzielne, samorządne i samofinansujące się, takie warunki powinno stwarzać. Liczyć się bowiem powinien nie tylko zysk, ale sposób dochodzenia do tego zysku, a więc inicjatywa, pomysłowość, twórczy wkład w pracę, wynalazczość, racjonalizacja pracy i organizacji pracy. Właśnie samorząd, jeśli poczuje się gospodarzem, a nie przeciwnikiem administracji gospodarczej może odegrać tu ważną rolę.

Jestem daleki od przeceniania roli samorządu i widzenia w nim uniwersalnego lekarstwa na wszystko. Ale uważam, że samorząd w obywatelskiej edukacji załogi może i powinien odegrać poważną rolę. Wspólnie z organizacją partyjną, choć zadania są i będą podzielone. Nie wszyscy bowiem mogą twórczo wzbogacać swoje czynności zawodowe. Uniemożliwia to podział pracy. Ale jeśli samorząd i organizacja partyjna stworzą w fabryce takie warunki, że głos każdego będzie się liczył, że każdy będzie się mógł wypowiedzieć, a to, co powie wzięte będzie pod uwagę, wtedy zmniejszy się zdecydowanie owo paraliżujące poczucie zbędności, roli kółka w mechanicznym molochu produkcji, które musi się kręcić, ale nie ma ani świadomości swego znaczenia, ani świadomości pożytku z owego kręcenia się wynikającego. A przecież każdy z nas ma coś do powiedzenia i chciałby, aby inni o tym wiedzieli i nad tym zastanowili się. Od święta mówi się, że mamy mądrą klasę robotniczą, a na co dzień nie zawsze potrafimy stwarzać warunki do korzystania z tej mądrości. I to nie w państwie, ale konkretnie — w zakładzie pracy.

Powtórzę pytanie tytułowe: Jak pokochać pracę? I zadam inne pytanie: czy można pokochać pracę? No, powiedzmy, ją polubić? Na to pytanie uważam, że odpowiedź jest pozytywna. Nie tylko można, ale trzeba. A odpowiedź na pytanie: jak? — należy już nie tylko do mnie. Do nas wszystkich po trosze.

Trzy sposoby na to, jak nie zapłacić wysokiego rachunku za światło i gaz

TERESA JERZYKOWSKA

Nowe, wyższe ceny energii elektrycznej i gazu obowiązują od lutego 1982 r. Wprowadzono je równocześnie z generalną podwyżką cen wielu artykułów, w tym wszystkich produktów spożywczych. W przypadku tych ostatnich już w ciągu kilku dni każdy z nas na własnej skórze odczuł, jak przykra była ta operacja. Obecnie, w pewnym stopniu przyzwyczailiśmy się już do wzrostu kosztów utrzymania. Coraz lepiej uczymy się takiego gospodarowania funduszami, aby wystarczyło do następnego miesiąca, staramy się kupować tyle, aby nic z drogich produktów nie trzeba było wyrzucać. Słowem, z konieczności pogłębiamy umiejętność racjonalnego gospodarowania i oszczędzania. Przez jakiś czas nie odnosiło się to do energii elektrycznej i gazu.

Podwyżki cen energii nie były odczuwalne, bowiem nie zmieniła się kwota, jaką musieliśmy co dwa miesiące wpłacać. Był to rachunek za energię zużytą w roku ubiegłym, oczywiście według starych, obowiązujących wówczas cen. Dla wielu ludzi problem pojawił się dopiero teraz, wraz z nową książeczką. Nie dość bowiem, że trzykrotnie wzrosła kwota opłat, to jeszcze wraz z pierwszą ratą trzeba zapłacić wyrównanie za okres od lutego do chwili obecnej. Są to niejednokrotnie sumy dość wysokie, **od kilkuset do kilku tysięcy złotych.** Dla wielu osób taki jednorazowy wydatek jest sprawą trudną, tym bardziej, że pokryć go trzeba z bieżących dochodów, bowiem wzrost kosztów utrzymania przeważnie pochłonął już niewielkie oszczędności. Stąd często reakcja na otrzymany rachunek z Zakładu Energetycznego jest zaskoczenie i reklamacje, bo „na pewno zaszła pomyłka". Niektórzy starają się o rozłożenie sumy na raty. Pomyłki zdarzają się także i w tej instytucji. Jest ich jednak bardzo niewiele, a spory rachunek uregulować trzeba. W jeszcze trudniejszej sytuacji znajdują się te osoby, którym termin wpłacenia ostatniej raty ze starej książeczki upływa pod koniec bieżącego lub w pierwszym miesiącu przyszłego roku. Zużyją oni bowiem więcej gazu i prądu, a tym samym kwota, jaką będą musieli zapłacić z tytułu wyrównania różnic cen, będzie wyższa. Co robić, aby wydatek ten nie uszczuplił w sposób drastyczny bieżącego budżetu? Sytuacja wcale nie jest bez wyjścia. Sposobów jest kilka.

PIERWSZY: odkładać każdego miesiąca pewną ilość pieniędzy, np. równą wysokości aktualnych opłat, do specjalnej, ukrytej w szafie koperty z napisem „prąd". W praktyce metoda taka jest trudna do realizacji. Często bowiem, nie zawsze z koniecznej potrzeby, sięgniemy tam, obiecując sobie że w następnym miesiącu zwrócimy taką „pożyczkę" i w rezultacie, gdy przyjdzie rachunek, w kopercie będzie suma pozwalająca na kupno lizaka.

SPOSÓB DRUGI, który już dawno proponował swym klientom Zakład Energetyczny: **w dowolnych terminach wpłacać na konto ZE jakieś kwoty w wysokości, na którą pozwala aktualny stan domowych finansów, na poczet przyszłego rachunku.** Operacja niezbyt skomplikowana, wystarczy iść na pocztę i wypełnić przekaz. Z możliwości tej **nie skorzystał prawie nikt.** Narzekającym obecnie na wysokość rachunku chciałoby się powiedzieć: „nie chcieliście, to macie". Propozycja jest nadal aktualna. Każdy może wpłacić, posługując się zwykłym przekazem, zaliczkę zmniejszającą późniejszy rachunek. Numer konta wydrukowany jest w książeczce opłat, termin i wysokość sumy — dowolne. Może zdarzyć się, że powstanie w ten sposób nadpłata, ale zostanie ona odliczona z opłat roku przyszłego. Pieniądze w żadnym razie nie przepadną.

I wreszcie **SPOSÓB TRZECI,** także zaproponowany przez ZE — rachunki wyrównawcze. Wielu odbiorców, którym jeszcze nie wymieniono książeczek, otrzymało dodatkowe rachunki, na których, obok sumy, wydrukowano również termin, w jakim należy ją zapłacić. Ci do których takie rachunki jeszcze nie dotarły, otrzymają je wkrótce, najpóźniej do 15 sierpnia. Po dokonaniu rozliczenia wpłacona w ten sposób suma zostanie odjęta od kwoty wyrównania. Prawdopodobnie nie pokryje jej w całości, ale zmniejszy jednorazowy wydatek w sposób istotny.

Zastanawiając się: wpłacać na dodatkowe rachunki, czy też nie, warto wziąć pod uwagę fakt, że **nie przewiduje się możliwości rozłożenia wyrównania na raty.** Nie pomogą żadne podania, natomiast wobec tych, którzy nie zapłacą stosowane będą zgodnie z przepisami, sankcje, aż do wyłączenia energii. Jedynie w szczególnych przypadkach losowych ludzie będą mieli możliwość przesunięcia terminu wpłacenia, czy też ubiegania się o rozłożenie sumy na raty. Sprawy takie miały miejsce również przed podwyżką cen, były jednak nieliczne, zawsze rozpatrywane indywidualnie i nic się w tym zakresie nie zmieni. Na żadne względy czy ulgi nie mogą natomiast liczyć osoby, które z propozycji ZE nie skorzystały i nie płaciły rachunków wyrównawczych.

Aby oszczędzić sobie trudu wędrowania z reklamacją i poszukiwania błędu w rachunku, warto wiedzieć, ile w przybliżeniu przyjdzie nam zapłacić. Ceny wzrosły trzykrotnie — **z 60 groszy do 1.80 zł za jedną kilowatogodzinę.** Dla ułatwienia wyliczeń posłużę się przykładem, przyjmując nie zmieniony sposób zużycia. Jeżeli do tej pory opłata co dwa miesiące wynosiła 300 zł, a stara książeczka kończy się w grudniu, to w przyszłym roku płacić będziemy, także co dwa miesiące 900 zł, a wyrównanie 3.300 zł. (Dotychczasowa opłata miesięczna — 150 zł. Od lutego do grudnia — 11 miesięcy. Różnice wynikające ze wzrostu cen — 300 zł miesięcznie). Tak więc, wraz z otrzymaniem nowej książeczki w styczniu lub lutym przyszłego roku, przykładowy odbiorca będzie musiał zapłacić 4.200 (wyrównanie plus pierwsza rata nowego rachunku). Kwota to niebagatelna, ale można ją zmniejszyć, korzystając z omówionych wyżej propozycji ZE. Pozostaną jedynie opłaty bieżące, także znacznie wyższe, niż dotychczasowe. Aby zmniejszyć je w przyszłości, pozostaje jedyne wyjście — oszczędzać.

Oczywiście nie zamierzam nikogo namawiać do spędzania wieczorów przy oliwkowym kaganku, ani też do rezygnacji z lodówki, ale pewne oszczędności można poczynić zupełnie bezboleśnie. Warto na przykład zrezygnować z praktyki włączania telewizora natychmiast po przyjściu do domu, i wyłączania dopiero wtedy, gdy grają hymn. Warto również pamiętać o gaszeniu wszystkich świateł w pomieszczeniach, w których aktualnie nikt nie przebywa. Pozornie są to drobiazgi, w rezultacie jednak przyczyniają się do zmniejszenia zużycia energii, a tym samym i opłat.

Znaleźć w życiu swoją fibulę

Nazywam się Jerzy Gałczyński, mieszkam w Tomaszowie Mazowieckim. A to jest moja córka Ula, ma 10 lat.

Ula? Urszula?

— Nie! Ula — Fibula!

— ??

— O, to cała historia. Ożeniłem się późno. Miałem, jak Chrystus, 33 lata. Bardzo długo szukałem żony. To tak, jak w archeologii, czasem szukasz latami, nim znajdziesz swój skarb. Ale ja znalazłem. Skarb jest teraz w pracy, to nie może Go pani poznać. Po trzynastu latach małżeństwa urodziło nam się dziecko, córeczka. To było takie wielkie szczęście, takie wielkie.

To było w 1972 roku, byłem wtedy na obozie archeologicznym, kopaliśmy w Mieszynie, rzymskie cmentarzysko.

Znalazłem wówczas swoją pierwszą fibulę. Fibula to taka spinka, agrafa do zapinania opończy. Cenna rzecz i rzadko się trafia. Fibulę znalazłem dziewiątego, a trzynastego urodziła się córeczka.

Zaraz poleciłem, żeby ją zarejestrować jako FIBULĘ, ale ci humoryści z urzędu powiedzieli, że takiego imienia nie ma w rejestrze. No to co z tego, że nie ma. Ale imię piękne i zbiałem, żeby nosiła je na pamiątkę i na szczęście, żeby jej się w życiu dobrze działo. Pierwsze dziecko! Jedyne! po trzynastu latach, a ci urzędnicy niczego nie rozumieli. W końcu zapisałem dziewuszkę jako Teresa—Anna, ale i tak wołamy na nią Ula-Fibula.

JOLANTA WROŃSKA

— A gdyby był syn? Jakby Pan go nazwał?

— Imacz albo Umba. Imacz to jest rączka, uchwyt tarczy po jej wewnętrznej stronie. Umba to część zewnętrzna tarczy, często zdobiona. No, czy nie piękne imiona?

— Jest Pan strażakiem z zawodu, więc skąd się wzięła archeologia?

— Byłem strażakiem. Od 1 stycznia tego roku jestem już na rencie. Ale nie mam jeszcze wieku emerytalnego, mam 56 lat, tylko wykończyły mnie te dzwonki alarmowe w straży. Na dźwięk alarmu podskakiwałem pod sufit. Nerwy już nie te i zdrowie czasem zawodzi, zresztą niech teraz młodsi popracują. Ja mam za sobą trzydzieści lat pracy w straży pożarnej, a w ogóle, to czterdzieści lat pracowałem, od 1942 roku. Miałem 16 lat jak zaczynałem. Tylko, że na początku byłem spawaczem, a nie strażakiem.

— Nie nudno Panu na rencie? Po tylu latach aktywności?

— Nudno? Skądże! Przecież widzi pani jak wygląda ten dom. Toż to istna graciarnia, dalej zbieram swoje cudeńka, uzupełniam, rzeźbię, czasem maluję. W piwnicy zrobiłem sobie pracownię. Tam trzymam większe rzeźby, tam mam swój warsztat, bo te klitki w blokach na nic nie starczają. No i oczywiście dalej jeżdżę na wykopaliska, w tym roku też pojadę.

— Czego Pan nie kolekcjonuje? Bo na razie widzę tu wszystko, co tylko się da zbierać.

— Nie wiem już sam. Czasem wydaje mi się, że muszę spróbować wszystkiego, nawet pudełek od zapałek. O, tu widzi pani, to sprzęt strażacki, te hełmy są z czasów zaraz po I wojnie, a to jest kolekcja guzików. Różne są, wojskowe, strażackie, polskie i zagraniczne, z mundurów legionowych i spod Cassino. Mam trochę monet i medali, parę żelazek z duszą, no sama pani widzi, że powoli tonę w tych zbiorach. Zawsze tak było, od kiedy byłem całkiem smarkatym chłopakiem. Jeszcze przed wojną zacząłem gromadzić wszystko, co było dziełem rąk ludzi. Lubię przedmioty, w których jest myśl, czyjś wysiłek. No i tak zostało do dziś. Te przedwojenne skarby przepadły w czasie wojny, ale zaraz po powrocie do kraju zacząłem od nowa.

— Gdzie Pana los zaniósł w czasie wojny?

— Gdzie diabeł mówi dobranoc. Zaczęło się od tego, że w 1942 roku ojciec wysłał mnie na terminatora do warsztatu. Miałem wtenczas 16 lat. Przy ul. Głównej w Tomaszowie były zakłady, to się nazywała „Męka Chłopska" albo „Samopomoc Chłopska", już nie pamiętam, ale remontowano tam maszyny rolnicze. Przyjmowali mnie do pracy ślusarza, o, proszę popatrzeć to jest moja arbeitskarte i umowa o naukę po polsku i po niemiecku. Potem wszystkich chłopaków z mojej firmy Niemcy zgrupowali w LHD, to coś w rodzaju Obrony Cywilnej. W czasie nalotów ochranialiśmy różne ważne dla Niemców budynki. W tym czasie SS-mani rozstrzeliwali w mieście bardzo dużo ludzi. Polaków. Żydów przeważnie pod browarem. Kiedyś przyszli Niemcy i pod lufami zaprowadzili nas na plac gdzie rozstrzeliwali i kazali nam uprzątać zwłoki. Mieliśmy odwiązywać ciała od palików i układać na takim wózku dwukołowym, chyba z naszego getta tomaszowskiego. Wziąłem jednego niby zabitego za nogę, a ten się poruszył. Wzdrygnąłem się ze strachu i w tym momencie doskoczył do mnie jeden z tych, co rozstrzeliwali i już mi przykłada lufę do głowy, chce strzelać... Uratował mnie Niemiec, który dowodził tą obroną cywilną, ale jak wróciłem po tym wszystkim do domu, okazało się, że zupełnie osiwiałem, mama mnie nie poznała.

Ciężko było w Tomaszowie, tylu ludzi zabili, tylu wywieźli. W końcu i całą młodzież zagnali do kopania umocnień ziemnych. Kopaliśmy rowy przeciwczołgowe, szerokie na siedem metrów. Po jakimś czasie, Niemcy zgromadzili w Tomaszowie kupę ludzi, przeważnie młodych, załadowali nas do bydlęcych wagonów i powieźli na roboty. Jeszcze zdążyłem zobaczyć Matkę, Ojca już wcześniej wywieźli do Austrii, razem z bratem Drugi brat walczył u majora Hubala, i potem został w lesie.

Chyba ze dwa tygodnie tak jechaliśmy, aż nas wyładowali w miejscowości Możejki na Łotwie. Jadąc przez Prusy Wschodnie, widzieliśmy dużo pociągów niemieckich wracających z frontu wschodniego. Radość brała patrzeć na tych rannych, na ten ich sprzęt potrzaskany. To były piękne pociągi. Nam w tym transporcie, aż serce rosło, że jednak fryce dostają lanie w Rosji.

Na Łotwie też kopaliśmy rowy na pozycjach niemieckich, czasem widzieliśmy piękne potyczki Niemców z Rosjanami, w czasie radzieckich nalotów trzeba się było kłaść na dnie rowów, bo gęsto fruwały odłamki. Pamiętam, to już był 44 rok, a my, młodzi byliśmy wiecznie głodni. Robota była bardzo ciężka, człowiek łatwo się kończył. Pomagali nam miejscowi, czasem podrzucili coś do jedzenia.

Jak już front był blisko, to znowu załadowali nas w transport, część pojechała na Królewiec, a część i ja z nimi, do Lipawy (to jest drugi port na Łotwie, po Rydze). Tam już była prawdziwa wojna, Rosjanie często bombardowali z samolotów, można było oberwać, ale człowiek się cieszył jak dziecko, dla nas to było święto. To był znak, że już niedługo. Ale było jeszcze bardzo długo. Nasz transport, dojeżdżając do Lipawy, został zbombardowany. To było straszne, wszystko się paliło, wybuchała amunicja, w dodatku była noc, no Sodoma i Gomora. Uciekaliśmy, byle dalej od torów, aż trafiliśmy, w gromadce swojaków, na jakiś bunkier, gdzie też się ludzie schronili. Trafił tam też zestrzelony lotnik ruski. Ledwośmy się z nim na migi dogadali. Zabłądził w tym rozgardiaszu przy nalocie, bał się trafić na Niemców. Prosił o chleb, głodny był, chciał dostać jakieś cywilne łachy, żeby się do swoich przedrzeć. Nigdy już potem go nie spotkałem, może doszedł szczęśliwie?...

Po nalocie zebrali nas Niemcy w grupy i pognali za miasto. Bardzo było zburzone, paliło się. A my znowu trafiliśmy na wieś, znowu kopaliśmy rowy. Tam dosięgnął nas radziecki nalot. Z mojej gromadki (trzymaliśmy się razem, było nas dziewięcioro z Tomaszowa, tylko jeden chłopak z płockiego) zginęły dwie młode dziewczyny. To był paskudny przypadek. Ulokował nas u siebie jeden Łotysz. Miał już w chałupie z tuzin ludzi, ale nas przyjął. Wieczorami siadywaliśmy przy dużym stole w izbie, ot, tak na pogaduszki. Tego wieczora wcześniej wstaliśmy od stołu, bo szykowało się oprawianie zabitej krowy. Zapamiętałem ten stół. Cała izba zburzona, stół poryty jak pługiem odłamkami. Gdybyśmy tam dalej siedzieli, nikt nie zostałby żywy.

Wreszcie Niemcy pognali nas do portu w Lipawie, gdzie mieliśmy robić nowe nabrzeża. Ciężka harówa była. Pracowało z nami wielu jeńców radzieckich. Żal było patrzeć na tych ludzi. Strasznie byli wychudzeni, obdarci, często ranni. Pracowali jak niewolnicy, bez pożywienia. Niemcy ich strasznie bili, za byle co rozstrzeliwali, no serce się krajało.

Pod koniec 1944 roku do portu wpłynął wielki statek cały załadowany bombami. Niemcy chcieli zaminować miasto i port, i jak wejdą Rosjanie — wysadzić. Chcieli zastawić na nich pułapkę. Ale Ruscy dowiedzieli się o tym i razu pewnego, do portu przyjechała wysoka kontrola administracji wojskowej, niemieckiej, oczywiście. Komisja obejrzała cały port, także ten trefny statek z bombami, gdzie właśnie jeńcy rosyjscy prowadzili wyładunek. Komisja pojechała, a za trochę... cały statek wyleciał w powietrze. Dopiero potem się okazało, że ta wysoka komisja, to byli żołnierze radzieccy, przebrani za Niemców. W tym rozwalonym statku zginęło bardzo dużo robotników, tych jeńców też. No, ale co innego mogli Rosjanie zrobić? Musieli poświęcić swoich, żeby uratować miasto i port. Przecież po wojnie będą tam mieszkać ludzie, a tak nie zostałby kamień na kamieniu. Widok był okropny, tyle krwi, zabitych... Czasem po nocach śnią mi się tamte obrazy i budzę się spocony.

Po wybuchu tego statku znowu nas przeniesiono poza miasto. Pracowaliśmy w tartaku, tam obchodziliśmy Boże Narodzenie i Nowy Rok 1945 roku. Codziennie oglądaliśmy naloty na Lipawę, liczyliśmy dni do końca, do wolności... ale jeszcze było daleko, jeszcze tylu ludzi nie doczekało. W rejonie Lipawy i Królewca i dalej na południe Niemcy się bardzo długo bronili, to był ten sławny kocioł sambijski Poddali się dopiero 9 maja, kiedy skapitulował Berlin. Dopiero wtedy skończyła się poniewierka, ale jeszcze nie wojna. Przez jakiś czas przebywaliśmy w obozie przejściowym, wszyscy ludzie, z całej chyba Europy.

Czekaliśmy na koniec Konferencji Poczdamskiej i dopiero na początku sierpnia Rosjanie załadowali nas w transporty, każdy do swojego kraju. My jechaliśmy przez Wilno, bardzo wtedy spalone, tłukliśmy się chyba ze dwa tygodnie, bo tory były pozrywane. W końcu jednak, po trzech latach wywózki i po sześciu latach wojny, wróciłem do domu, do Tomaszowa. Miałem wtenczas 19 lat i trzeba się było brać za pracę i za naukę.

— A do straży pożarnej jak Pan trafił?

— Najpierw pracowałem jako spawacz. Wieczorowo uczyłem się w liceum ogólnokształcącym, nie mogłem przecież przerwać pracy, no bo kto by mi dał jeść? Rodzice pomóc nie mogli, biednie było, ojciec też był zwykłym robotnikiem, zarobki niskie, sama pani wie, jak to było zaraz po wojnie. Maturę zdałem w 1952 roku i złożyłem papiery do Łodzi, do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Chciałem rysować, malować, rzeźbić, ale lekarz mnie odrzucił. Cały organizm był wycieńczony, raz — wojną, głodem ciężką pracą Potem, gdy już po wojnie pracowałem też było ciężko. Do roboty szło się na siódmą rano, od trzeciej po południu zaczynała się nauka w liceum, no, a lekcje to się odrabiało po nocach i tak na okrągło przez cztery lata.

W dodatku wpływ siarczku w warsztatach, było ciągłe zagrożenie zdrowia, to jest I kategoria zatrudnienia.

Miałem 26 lat i nie mogłem się uczyć, bo organizm wysiadał. Lekarz poradził mi, żebym prędko zmienił pracę, najlepiej do straży pożarnej, bo na powietrzu. Trudno, jak trzeba, to trzeba i z pomocą brata (był kierowcą w straży), trafiłem tam i ja.

I tak przeleciało trzydzieści lat pracy. Zrobiłem wszystkie kursy specjalistyczne, ale że nie byłem partyjny, to, pani wie, wtedy mogli awansować tylko partyjni, więc po 30 latach pracy — odszedłem na rentę jako starszy ogniomistrz.

— A archeologia?

— Właściwie to ona była cały czas, tylko gdzieś w środku. Przecież ja dalej zbierałem rozmaite cudeńka, guziki, znaczki, ordery, monety, więc właściwie to nie wiem kto do kogo przyszedł, ona do mnie czy ja do niej?

Zresztą i akcje strażackie pozwalały mi buszować po strychach. Ludzie trzymali tam przeróżne rzeczy. Miał to zabrać ogień, lepiej żebym to zabezpieczył, przecież to historia. Czasem trafiały się prawdziwe eksponaty, a to stare kołowrotki, motowidła, maglownice, cielice, a to żarna albo moździerze czy żelazka, no rozmaitości.

Kiedyś miałem przyjemność z żarnami. Wielkie toto, ciężkie, ale warte zachodu. Znalazłem też przepiękny samowar tulski. Ogromny, chyba z półtora metra i miał tłoczenia na mosiądzu. To było w Jadwigowie. Zabrałem te żarna i samowar na rower i jazda do Tomaszowa do muzeum. Uszarpałem się strasznie, ale wreszcie zataszczyłem. A tam, ci humoryści.. takie kółka — mówią — po co to? Chyba weźmie je pan sobie do roweru panie Gałczyński... Ale samowar wzięli, humoryści jedni....

I tak ciągałem to wszystko com znalazł po ludziach i co już u mnie w domu się nie mieściło do muzeum. U nas w Tomaszowie jest Towarzystwo Przyjaciół Muzeum, w 1927 roku założone. W dawnym pałcu Ostrowskich się mieści. Zaraz po wojnie biednie tam było, co nie zniszczone, to Niemiec wywiózł. Pomyślałem sobie, że Tomaszów musi mieć porządne muzeum, no i znosiłem eksponaty. Z czasem, jak się człowiek trochę w tym otrzaskał, to już wiedział, co jest co warte. Trochę się czytało, trochę od ludzi dowiedziało. Jeździłem po kolegach ze straży, po wsiach, czasem całą noc się wlokło, bo na jednym rowerze szable, bagnety, jakieś naczynia, kołowrotki i inne cuda. Ale powoli muzeum zebrało piękną ekspozycję etnograficzną Ziemi Tomaszowskiej.

Wtedy do naszego muzeum przyszedł pracować Marcin Gąsior, archeolog z zawodu i humorysta z przekonania. Miał dryg do roboty, ściągał naukowców, organizował wystawy, ale najbardziej to on miał rękę do młodzieży. Potrafił skupić wokół muzeum grupkę młodych, umiał ich przytrzymać, zaciekawić. Zaczął z nimi rozmawiać o archeologii, o historii, no i w końcu narodził się pomysł, żeby zorganizować letnie obozy archeologiczne. Co się mają młodziaki nudzić na koloniach, kiedy tu się czegoś nauczą, a przy tym ile jest zabawy! A że ja już byłem w komitywie z szefem (szef. to oczywiście pan Gąsior), więc zabrali mnie ze sobą. I zostałem do dziś. Zaczęliśmy od poszukiwania śladów kultury wczesnopomorskiej na Ziemi Tomaszowskiej. Pierwsze wykopaliska prowadziliśmy we wsi Smardzewice. Najpierw, rzecz jasna, były to *wstępne przymiarki, fachowo to się nazywa „powierzchowna penetracja archeologiczna".*

To były piękne czasy, kiedy tylu młodziaków z nami pracowało. Każdy obóz pamiętało się latami. Wielu ludzi z tej grupy zaraziło się na całe życie archeologią albo historią i dziś pracują w tych zawodach, a jeśli nie, to i tak został im fioł.

— Jest Pan uważany za szczęściarza. Mówią, że jak Pan chce, to Pan znajdzie. Naukowcy pracujący na wykopaliskach uważają Pana za „dobre mzimu" i biją się, żeby Pan z nimi pracował. Prawda to?

— Fakt. Szczęście mam, ale chyba dlatego, że ja to po prostu lubię. Pracowałem z profesorami Jażdżewskim, Kostrzewskim, Nadolskim, także byłem na wykopkach u prof. Góry. Ze szczęściem to różnie jest. Raz już wszyscy potracili nadzieję na znalezienie czegoś. Szef chodził z nosem na kwintę, ale ja się zawziąłem. Znajdę — mówię — choćbym tu miał rok szukać. Szef nie wierzył, ale nic. Poszedłem ze szpilą (to taka tyczka ostro zakończona, do nakłuwania gruntu) poszedłem i... znalazłem wczesnopomorski grób w obudowie kamiennej. Rarytas!

A raz też się uparłem i poszedłem szukać. Ciemno już było, ale ja koniecznie chciałem nacoś trafić. Kłuję więc tą szpilą i kłuję, nagle czuję coś twardego. Szefie!! — drę się — znalazłem!! I dziobię szpilą mocniej. Wszyscy się zlecieli a ja z tej emocji nawet nie poczułem bólu. Patrzę ja — a to twarde, co je dziabnąłem — to jest moja własna stopa. Na szczęście nic groźnego, ale śmiał się ze mnie cały obóz. Ja też się śmiałem z nimi.

— Pamięta Pan swoje najcenniejsze znalezisko?

— Proszę pani, w archeologii nie o to chodzi, żeby znaleźć złoto faraonów. Tu się liczy sama radość szukania, odkrywania tego, co kryje ziemia. Tu się liczy każdy kamień, każda skorupa, nawet śmieć. Pani wie, jakie było moje szczęście kiedy udało mi się znaleźć toporek kamienny w obsadzie z epoki neolitu? To był prawdziwy skarb.

— Czy pańska rodzina to spokojnie znosiła, że Pana nosiło? Co na to żona, w końcu w domu też są obowiązki?

— Wie pani, po jednym moim numerze, dali mi spokój, a żona chyba razem ze mną polubiła wykopki. Wyszedłem ja kiedyś z domu na działkę. Zabrałem ze sobą co tam potrzebne i poszedłem. Po drodze pomyślałem sobie, żeby może wyskoczyć na chwilę do archeologów. Kopali wtedy niedaleko Tomaszowa, to — myślę sobie — zajrzę tam na moment, zobaczę jak im idzie robota i wracam. Jak do nich zajrzałem, to... wróciłem do domu z tej „działki" po dwóch tygodniach. Wtedy rodzina już wiedziała, że na mnie nie ma siły.

— Niech mi Pan powie, co trzeba zrobić, żeby znaleźć swoją fibulę?

— Ludzi trzeba kochać i przyrodę. I cieszyć się życiem.

Zielone ludziki?

„Żadne państwo — stwierdza Paul Wilhelm Kolb, przewodniczący Urzędu do Spraw Obrony Cywilnej w RFN — nie ma prawa niszczyć kulturalnych dóbr innych narodów ani ich sobie przywłaszczać". Zasada ta nie była w przeszłości, podczas zmagań wojennych, przestrzegana. Przeciwnie — oskarża Szef Obrony Cywilnej — dziedzictwo duchowe narodów było zawsze narażone na nie dające się wycenić, nie powetowane straty. A przecież nawet w epoce atomu ochrona dóbr kulturalnych nie będzie utopią, jeśli już w czasie pokoju podejmie się odpowiednie działania. W Republice Federalnej Niemiec działania takie podjęto pod koniec lat sześćdziesiątych. Wówczas to Urząd Obrony Cywilnej zakupił pod Freiburgiem nieczynną kopalnię rudy cynkowej i kosztem niespełna miliona marek polecił wybetonować korytarze na głębokości 450 m.

W byłej kopalni „Barbara", blisko wsi Oberried, gdzie w pierwszej połowie bieżącego stulecia wydobywano rudę, są i będą w przyszłości przechowywane skarby narodu w postaci małych, kolorowych obrazków, zaplombowanych, zabezpieczonych przed promieniowaniem.

Wszystko to, co archiwiści Federacji i poszczególnych krajów niemieckich uznają za wartość godną przekazania potomnym, przenoszą fotografowie na taśmę mikrofilmową 35 mm, „nieperforowaną, panchromatyczną, produkowaną na bazie poliestrów". 250 milionów takich zdjęć małoobrazkowych, w pomniejszeniu 16 — 20-krotnym czytelnych nawet gołym okiem, już sporządzono

Dzień i noc fotografuje się wszystko, co kiedyś może zaświadczyć przed potomnymi czy nawet przed przybyszami z innych planet o duchowym bogactwie niemczyzny: plany katedry kolońskiej i tekst pokoju westfalskiego; dokumenty koronacyjne Ottona Wielkiego i „Złotą Bullę" z 1356 r.; rękopisy poetów i filozofów i akty personalne z epoki *Bismarcka.*

W klimatyzowanych komorach, o stałej względnej wilgotności powietrza leżą stalowe puszki o wysokości 65 cm i wadze 50 kg, a każda zawiera 15 rolek taśmy po 750 m filmu. Specjalne urządzenia utrzymują stałą temperaturę 12 st. C. Ciekawe przy tym, że nie ma w magazynie urządzeń, które pozwoliłyby zdobywcom lub spadkobiercom odczytać złożne tu taśmy.

Cały obiekt pod Freiburgiem jest objęty prowadzonym przez UNESCO w Paryżu, międzynarodowym Rejestrem Dóbr Kulturalnych pod Szczególną Opieką; w związku z tym wejścia do kopalni oznaczono wyraźnymi symbolami Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Wszystkie te przygotowania bazują na haskiej „Konwencji w sprawie ochrony dóbr kulturalnych podczas konfliktu zbrojnego" z roku 1954. Zgodnie z tą konwencją, „Wysokie Układające się Strony zobowiązują się już w czasie pokoju zabezpieczyć znajdujące się na ich terytoriach dobra kulturalne przeciwko dającym się przewidzieć zagrożeniom podczas zmagań wojennych."

Podziemny schron koło Freiburga jest bezpieczny, „dopóki broń jądrowa nie wybuchnie bezpośrednio przed wejściem do kopalni". Mieszkańcy okolic wykpiwają po trosze całą imprezę. Tak na przykład ogrodnik Martin Hofflin z Denzlingen koło Freiburga prowadzi obszerną korespondencję z władzami w Bonn, ponieważ uważa samego siebie za „godne ochrony dobro kulturalne" i żąda oznakowania go symbolami UNESCO. „Proszę o powiadomienie o powyższym sygnatariuszy konwencji i podanie mojego adresu do międzynarodowego rejestru". Ponieważ ogrodnik nie chce czekać, aż rząd federalny podejmie odpowiednią akcję, postanowił z całą grupą swych sympatyków natychmiast podjąć produkcję odpowiednich znaczków. Pewna spółdzielnia inwalidów we Freiburgu już produkuje plakietki ONZ i sprzedaje je po 2 marki za sztukę.

Nawet główny archiwista wojskowy, Kilian, który opiekuje się kopalnią „Barbara", uważa akcję obywatela Hofflina za „nie tak śmieszną". „Kiedy myślę o dyskusji nad bombą neutronową — mówi Kilian — zapytuję się mimo woli: kto właściwie będzie otwierał nasze puszki z taśmami? Może zielone ludziki?"

(„Der Spiegel")
Opr. W. KRZEMIŃSKI

PROSTO Z KINA

Propozycje na lato

Kolejka — widok zwykły w naszych czasach. Tak, ale kolejka przed kinem, dziś w dobie całkowitej repertuarowej posuchy, stanowi zjawisko nieprawdopodobne, a jednak możliwe. Placyk, pasaż między domami towarowymi Centrum a kinem Relax trudny jest od kilku dni (zwłaszcza w godzinach rannych) do sforsowania. Sporej fizycznej krzepy trzeba, żeby przebić się przez to ludzkie mrowie cierpliwie, z nadzieją oczekujące na otwarcie wrót kina. Po co kolejka ta stoi? Po bilety na film z Hongkongu! „Wejście smoka" Roberta Clouze — atrakcyjny widowiskowy „film karate" — robi w Warszawie furorę. Kiedy trafi do naszego miasta (a trafi na pewno — wykonano bowiem astronomiczną liczbę 70 kopii) stanie się niewątpliwie „przebojem filmowym lata 82".

Skracając sobie czas oczekiwania, przyjrzyjmy się, co też mają do zaproponowania swoim bywalcom łódzkie kina na letnie przed- i popołudnia — zwłaszcza te po Mundialu, kiedy człowiek chciałby trochę od piłki odetchnąć, uciekając w inną sferę masowej rozrywki. W Bałtyku wieczorem Coppola, a rano dla dzieci klasyk nad klasykami — Sienkiewicz w filmowej wersji panów: Forda i Hoffmana czyli „Krzyżacy", „Pan Wołodyjowski" i „Potop".

Zajrzyjmy do Iluzjonu (nie dorównuje on jeszcze warszawskiemu, ale najważniejsze, że w ogóle jest). Dla młodzieży w wieku od 12 do 100 lat filmy „płaszcza i szpady" — przyciągające tytuły, znane nazwiska. „Znak Zorro", „Morski jastrząb" z Errolem Flynnem w roli głównej czy „Angelika i sułtan" — jeden z całej serii obrazów prezentujących awanturnicze dzieje pięknej markizy. Dzieciom koniecznie pragnie się zaszczepić przywiązanie, miłość do zwierząt: kochajcie swego delfinka („Mój przyjaciel delfin"), kochajcie swego konika („Wspaniały Red").

Dla znawców (?) w czytelni KMPiK „Skarb w Sierra Madre" Johna Hustona z Humphrey'em Bogartem oraz prelekcja: „Wielcy twórcy filmowi" poświęcona twórczości Michaela Carne, Franka Capry i Charlie Chaplina.

A gdzie indziej? Znane, lubiane, oglądane po raz 3, 4, 5 (ile można?!!!) filmy: „Taksówkarz", „Hair", „Port lotniczy — 77", „Obcy — 8 pasażer Nostromo". Zaraz, zaraz jest nowość — kanadyjski film grozy „Zemsta po latach".

Przez siedem tłustych lat byliśmy rozpieszczani, prawie co miesiąc, nowym tytułem filmu, mającego wywołać w nas, no jeśli nie strach, to przynajmniej dreszczyk emocji. Wciśnięci z przerażenia w kinowy fotel patrzyliśmy na kolejne wcielenia Drakuli, Frankensteina czy King Konga. Z obawą myśleliśmy o kąpieli w naszym rodzimym Bałtyku, mając w pamięci, bynajmniej nie zbójecką działalność zakładów przemysłowych, a potężne kły rekina ludojada ze „Szczęk" Spielberga. Przezornie wybieraliśmy w obcym mieście małe hoteliki (nie, wcale nie ze względu na brak forsy) przejęci do głębi (ba, zasugerowani) bezsilnością ludzi zamkniętych w „Płonącym wieżowcu". Wakacje woleliśmy spędzać na Mazurach, niż np. w Jugosławii, wiedząc, że tam możemy natrafić na znane nam z ekranu „Trzęsienie ziemi"

„Zemsta po latach" nie ma z tymi superprodukcjami wiele wspólnego. Nawiązuje bowiem do klasycznych filmów grozy, korzysta ze znanych motywów i rekwizytów. Potężny wiktoriański dom z wieloma pokojami i zapomnianymi zakamarkami, a w nim samotny człowiek, próbujący wyjaśnić tajemniczą, ponurą historię sprzed lat, zmuszony do aktywności przez, nie mogącego spać spokojnie, ducha. Wrażliwy kompozytor (gra go George C. Scott) zainspirowany zostaje do działania przez irracjonalne zjawiska, którymi, jak z rękawa sypie niesforny duch: ogłuszające walenie rozlegające się w całym domu o 6 rano, niespodziewanie otwierające się i zamykające drzwi, wybite okienko w tajemniczym pokoju, kompozycja ułożona przez naszego muzyka, która zostaje niespodziewanie wiernie „odtworzona" (?) przez pozytywkę sprzed pół wieku, inwalidzki wózek pojawiający się nagle na schodach, turlająca się po tychże schodach dziecinna piłeczka wyciągnięta (czyją ręką?) z przepastnego kufra, a wreszcie niesamowity seans spirytystyczny. Niestety klasyczny schemat zostaje naruszony, nie wystarcza scenarzyście i reżyserowi. Obok grozy pojawia się sensacja — dochodzi do odsłonięcia brudnych kulisów wielkiej polityki.

W sumie, po tak wiele obiecującym początku, następuje rozczarowanie. Nic więc dziwnego, że po wyjściu z kina można było usłyszeć złośliwe uwagi w rodzaju: „Tak to jest, jak się ma za duży nadmetraż" O filmie zresztą szybko się zapomina, oglądając o dziesiątej wieczorem na zaciemnionej Piotrkowskiej rodzimy horror na żywo. Snujące się, a raczej zataczające postacie bojowo nastawionych do rzeczywistości pijaków, histeryczne zawodzenie tzw. panienek, milicyjne radiowozy stojące przy co bardziej niebezpiecznych bramach, przemykające na sygnale karetki pogotowia — oto pierwsze widoczne skutki ograniczonego zniesienia reglamentacji alkoholu.

PAWEŁ STRZELECKI

Rzecz nie tylko o długich włosach

ADAM BART

Świat jest jednak mały. Film produkcji amerykańskiej, reżyser z pochodzenia Czech, zaś bohater — medium, za pośrednictwem którego widz poznaje przedstawiony w filmie świat nosi swojsko w naszym kraju brzmiące nazwisko: Bukowski... I nosi je nieprzypadkowo, zdaje się być wcieleniem pewnego stereotypu Polska, przynajmniej wielu elementów jednego z takich stereotypów. Stereotyp jak stereotyp, jest spłaszczeniem, uproszczeniem, nie zna subtelnych rozważań, ma jednak to do siebie że jest dość powszechny, względnie trwały i być może to, że tkwi w nim trochę prawdy.

Bukowski pochodzi z prowincji — ze wsi u nas byśmy powiedzieli — (prowincja amerykańska jest również prowincją), wspaniale jeździ konno, jest szarmancki dla kobiet, zakochuje się romantycznie, służbę wojskową poczytuje za święty obowiązek każdego młodego człowieka w stosunku do Ojczyzny... wybrawszy się do Nowego Jorku uważa za największe atrakcje tego miasta, które obowiązkowo należy zobaczyć, Statuę Wolności i Empire State Building (zupełnie identycznie mniemaliby zapewne turyści przybyli z Polski), jest trochę wstydliwy (w koedukacyjnym towarzystwie idąc kąpać się nocą w jeziorze kalesonek nie zdejmuje jak pozostali kąpiący się)... krawat i białą koszulę uznaje za strój elegancki, wie że bez zaproszenia nie należy przychodzić na przyjęcie... Bukowski zdaje sobie również sprawę, że młody mężczyzna powinien ożenić się i założyć rodzinę (ślub koniecznie kościelny), posiada temperament, fantazję (ale pewnych granic przyzwoitości nie jest skory przekraczać), jest otwarty, mówi wprost co myśli, ma rozwinięte poczucie prywatnej własności, co bynajmniej nie oznacza aby był sknerą, wprost przeciwnie — stać go na gest... W ogóle jest to młody, fajny, sympatyczny chłopak, o którym u nas niechybnie by powiedziano, że jest „dobrze ułożony". Claude Bukowski wydaje się być ucieleśnieniem wielu tradycyjnych w kulturze wartości, tradycyjnego stylu życia i myślenia. Nie ma to w filmie Formana pejoratywnego wydźwięku. Bukowski jest taki jaki jest, bo został tak wychowany, jest w tym naturalny, jest sobą.

Ten sympatyczny, skromny młodzieniec o schludnie-krótko ostrzyżonych włosach i jasnym spojrzeniu przypadkowo zawiera znajomość z grupą młodych ludzi (białych i czarnych), którzy posiadają poglądy, wygląd i styl życia akurat przeciwne do naszego przybysza z prowincji.

Mają oni długie włosy, uchylają się z premedytacją od służby wojskowej (palą karty mobilizacyjne), uprawiają wolną miłość, zażywają narkotyków, nie pracują, nie uczą się żyjąc nie wiadomo za co (i najczęściej nie wiadomo z kim), za to wciąż tańczą i śpiewają.

Sodomia, fellatio, masochizm, pederastia, masturbacja, narkotyki — dlaczegóż by nie?... co kto woli... nie wierzysz, że może być to przyjemne — spróbuj razem z nami. Oto po krótce treść słów jednej z pieśni. Zlikwidować w sobie wszystkie obyczajowe zahamowania, wszelkie poczucie obowiązku, unicestwić konwenanse na rzecz dążenia do zaspokojenia siebie, do przeżycia każdej chwili jak najprzyjemniej, bycia nieograniczenie wolnym, spontanicznym, bycia zawsze sobą, żyjąc w niezinstytucjonalizowanym świecie, w którym nie ma przymusu, w którym nie trzeba walczyć z kimkolwiek o cokolwiek — wystarczy poprosić, gdzie każdy jest przyjacielem i gdzie nikt nikomu nie wyrządza krzywdy.

Taki oto program życiowy realizuje na marginesie amerykańskiego społeczeństwa grupa hipisów z którymi spotyka się Bukowski.

Dla Bukowskiego ten hipisowski świat zdaje się być snem, skrzącym się kolorami, roztańczonym, rozbrzmiewającym muzyką. Bukowski wciąż przciera oczy — to jawa, czy sen? czy wizja narkotyczna?

W świecie tym, jak w śnie rządzi zasada przyjemności. Twórca psychoanalizy — Zygmunt Freud twierdził, że każdy sen jest spełnieniem jakiegoś pragnienia śniącego, że marzenie senne jest wizją wypływającą przede wszystkim z ludzkiej podświadomości — id, będącej siedliskiem wszystkich najbardziej pierwotnych instynktów.

Forman, podobnie jak Bukowski (a za tym pośrednictwem i widz) balansuje między fascynacją hipisowskim światem a poczuciem dystansu doń, wypływającym z poczucia istnienia również innej zasady — zasady rzeczywistości, która rządzi życiem człowieka na jawie.

Nieprzypadkowo — można przypuszczać — reżyser umieszcza tę część akcji filmu, w której nasz bohater o polsko brzmiącym nazwisku poznaje hipisowski świat w okresie ciepłego, pogodnego lata, a może wiosny. Zaś czas, w którym Bukowski odbywa służbę wojskowa, a w hipisowskiej grupie pojawiają się pierwsze pęknięcia jest czasem zimy... W zimowej scenerii rozgrywa się epizod akcji, z którego dowiadujemy się, że Murzyn- hipis został ojcem, matka zaś dziecka usiłuje go od grupy hipisowskiej odłączyć, gdyż dziecko potrzebuje rodziny, ojca. Gdy ojciec w ostatnich słowach odmawia w imię swej nieskrępowanej wolności, spontaniczności, szczęścia — płacze zarówno matka jak i śliczne, czekoladowe maleństwo... została im wyrządzona krzywda, odczuwają ból... A przecież wyrządzanie krzywdy komukolwiek, zadawanie bólu nie leżało w intencjach członków hipisowskiej komuny. Widać by nie wyrządzać zła nie można kierować się jedynie zasadą przyjemności i nieograniczonej własnej wolności.

Zima, wiosna — to senne symbole czytelne chyba dla każdego. Wiosna to beztroska młodość, zima zaś symbolizuje drugą, dorosłą część życia. W snach zima bywa często znakiem starości i śmierci... I w tym filmie zima jest zwiastunem czyjejś śmierci... Po wiośnie zawsze następuje zima, po marzeniu sennym przebudzenie, po wyjściu z kina...

Nie można powiedzieć, aby Forman był bezkrytycznym gloryfikatorem ruchu młodzieżowej kontestacji. Dla Bukowskiego hipisi ze swoim stylem życia wydają się być śmieszni i vice versa, — on dla nich. Reżyser nie daje do zrozumienia, że staje po którejkolwiek ze stron.

Jest jednak coś, co pozwala obu stronom — mimo różnic — porozumieć się, więcej — zaprzyjaźnić. To coś to bycie otwartym, mówienie szczerze to co się myśli, bycie sobą w połączeniu z tolerancją dla cudzej odmienności, z szacunkiem dla drugiego człowieka, pragnieniem niewyrządzania komukolwiek krzywdy. Te właśnie wartości zdaje się reżyser Miloš Forman cenić najwyżej. Z nich właśnie wypływa protest przeciwko wojnie i przemocy, który urasta do rangi chyba głównego przesłania filmu, na zakończenie którego reżyser roztacza przed oczami widza widok nieprzebranych tłumów uczestniczących w pokojowej manifestacji...

Zresztą może nie dla odczytania jakiegokolwiek przesłania chodzi się do kina. Zapewne dla większości widzów największymi atutami (atutami bezspornymi rzeczywiście) będą muzyka rock, atrakcyjne zdjęcia, efektowne sceny taneczne (w których granice między realnym życiem a życiem stylizowanym — tańcem są niezwykle płynne, podobnie jak w pamiętnym filmie West Side Story), spora doza humoru, tudzież różnej maści smaczki erotyczne (czarni chłopcy dla białych chłopców i białych dziewcząt, biali chłopcy dla czarnych dziewcząt i chłopców, białe dziewczęta dla białych chłopców itd...).

Słowem jeszcze raz potwierdza swą słuszność stare określenie Hollywoodu — „Fabryka Snów". Forman nie usiłuje jednak (na szczęście) wmówić widzowi, że sen jest czymś więcej niż snem, że jest rzeczywistością...

HAIR — produkcja: USA, reżyseria: Milos' Forman.

Kronika kulturalna

18 lipca w Szczecinie, w salach szczecińskiego Zamku Książąt Pomorskich otwarto ekspozycję *XI Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego*. Wcześniej jury ogłosiło nagrody. „Grand Prix" przyznano łódzkiemu malarzowi *Wiesławowi Garbolińskiemu*. Nagrodę im. Ziemowita Szumana otrzymał *Władysław Jackiewicz* z Gdańska. Ponadto jury przyznało nagrody dla siedmiu innych twórców, których prace zostały zakwalifikowane do udziału w Festiwalu. Są to: *Marek Cierniewski* z Poznania, *Tadeusz Eysmont* ze Szczecina, *Erna Rosenstein* z Warszawy, *Bohdan Walknowski* ze Szczecina, *Zbigniew Nitek* z Łodzi i *Winicjusz Borkowski* z Zamościa.

Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego należy do grupy największych imprez malarskich w naszym kraju. Odbywa się co dwa lata na przemian z prezentacją malarzy krajów socjalistycznych.

Do udziału w tegorocznym Festiwalu zakwalifikowanych zostało 98 obrazów 51 twórców z całej Polski.

---

12 sierpnia rozpoczną się *Koszalińskie Spotkania Filmowe „Młodzi i film"*. W tym roku będą to już dziesiąte, jubileuszowe Spotkania.

Najważniejszą częścią imprezy będzie międzynarodowy konkurs filmów o tematyce młodzieżowej. Filmy rodzime wystartują ponadto w konkursach na najlepsze debiuty roku, które przeprowadzone zostaną w trzech kategoriach: obrazów kinowych, filmów średniometrażowych i krótkometrażowych. Tradycyjne nagrody „Jantary" przyzna laureatom jury nieprofesjonalne, wybierane jak zawsze w Koszalinie spośród uczestników seminariów organizowanych podczas spotkań.

Przewidziano także wiele imprez towarzyszących. Odbędzie się m. in. pokaz filmów młodego kina radzieckiego i spotkanie z reprezentantami tej kinematografii. Prof. Bogdan Suchodolski wygłosi wykłady poświęcone współczesnej kulturze, a Teresa Krzemień poprowadzi dyskusję na temat „Co jest, a co nie jest sztuką w aktorstwie". W dyskusji wezmą też udział laureaci plebiscytów aktorskich z lat ubiegłych. Uczestnicy koszalińskiej imprezy spotkają się z twórcami i krytykami, odbędą się dyskusje pod hasłem „Szczerość za szczerość".

Ogłoszony zostanie również konkurs na scenariusz filmu fabularnego o tematyce młodzieżowej.

Jesienią ukaże się pierwszy numer nowego miesięcznika społeczno-kulturalnego pt. *„Inspiracje"*. Miesięcznik ten powstaje w miejsce dotychczas wydawanych czasopism „Nasz Klub" oraz „Kultura i Ty". Pismo adresowane jest do organizatorów życia społeczno-kulturalnego w mieście i na wsi, działaczy organizacji młodzieżowych, towarzystw społeczno-kulturalnych, pracowników upowszechniania kultury oraz instruktorów amatorskiego ruchu artystycznego.

W ośrodku Propagandy Sztuki w Parku im. H. Sienkiewicza czynna jest wystawa prac *Aleksandra Raka*. Ten wielce zasłużony dla polskiej kultury artysta i pedagog tworzy bardzo specyficzne i różnorodne zarówno w formie jak i treści dzieła. Niewątpliwy wpływ na charakter jego twórczości miało niezwykle bogate i skomplikowane życie artysty. Urodził się w 1899 roku w Odessie. Mieszkał do 18 roku życia w Kijowie. Uczył się w Warszawie, skończył Akademię Sztuk Pięknych. Uczyli go tacy znani mistrzowie jak Konrad Tichny, Mieczysław i Miłosz Kotarbińscy, Tadeusz Pruszkowski i Władysław Skoczylas. Po wojnie, po stracie żony, domu i dorobku artystycznego przeniósł się wraz z dziećmi do Gliwic. Był założycielem nowo powstałej po wojnie Państwowej Szkoły Sztuk Plastycznych w Katowicach (przekształconej później w oddział krakowskiej ASP). W 1954 roku został mianowany profesorem nadzwyczajnym na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zmarł 29 lipca 1978 roku w Warszawie. Niżej prezentujemy jedną z prac Andrzeja Raka z interesującej łódzkiej wystawy jego twórczości.

Foto: Czesława Kłose

Lidka

Swoją „Biografię z komentarzem", pod takim właśnie tytułem, chciała napisać sama. Jeszcze niedawno, gdy po przebytych świeżo operacjach wracała do zdrowia próbując z właściwą sobie pasją i energią przyspieszyć i zintensyfikować proces rekonwalescencji, informowała mnie o swoich planach. Rozmawiałyśmy o nich w jej pięknym domu, za którego oknami okwitał właśnie sad.

Była pełna wewnętrznego żaru. Tym żarem przesycone było wszystko co robiła. Nie znosiła rzeczy letnich i nijakich: przeciętnych sztuk, „poprawnych" inscenizacji, kompromisowych rozwiązań artystycznych. Pełna zrozumienia dla ludzkich słabości była twarda, nieustępliwa i zupełnie nietolerancyjna wobec przeciętności w sztuce. Wszystkie decyzje podejmowała z głębokim namysłem, niczym wytrawny szachista rozważała wcześniej wszelkie ewentualności, co na każdą z nich pozwalało jej przygotować się dokładnie, jak tylko to możliwe. Całe jej artystyczne życie było konsekwentną realizacją szczegółowo opracowanych planów. Te zaś rodziły się z pragnień tak silnych, że jeśli jej wydawały się możliwe do zaspokojenia, to takimi właśnie być musiały, bo dla niej nie było rzeczy niemożliwych.

Intensywność artystycznego przeżycia podejmowanych przez nią problemów, do których teatralnej prezentacji ich wielkością i wagą czuła się sprowokowana, intensywność graniczącą z uniesieniem w przedziwny sposób nie zacierała klarowności interpretacji tych największych, najważniejszych problemów, jakie podejmowała w swojej twórczości aktorskiej i reżyserskiej. Nigdy nie podejmowała tematów, które wcześniej nie objawiły się jej jako swoiste wyzwanie do walki bądź to z poprzednimi ich interpretacjami, bądź też o utwierdzenie i umocnienie prawd niepodważalnych i oczywistych. Mimo swych niespożytych zaiste sił i równie niespożytej energii twórczej nie czuła się prowokowana do walki z miernotą artystyczną. Tę — co było świadomie obranym na ową przeciętność w sztuce jej własnym sposobem — po prostu ignorowała. Nie miały do niej dostępu żadne bylejakości. Niepokorna wobec wszelkich presji, ignorowała przeciętność tak bardzo jak tylko można ignorować cokolwiek. Czyniła to w sposób dla przeciętności bolesny, a dla przeciętnych czasem wręcz obraźliwy. Dla małych spraw i ludzi, których według własnych kryteriów uznała za niewielkich duchem nie znajdowała miejsca i czasu ani w swoim życiu, ani w swej twórczości.

Ta bardzo drobna, wręcz filigranowa i zdawałoby się krucha osoba w swojej bezkompromisowości artystycznej była tak twarda, że jej nieprzejednanie budziło czasem zdumienie nawet najbardziej oddanych jej przyjaciół. Ale tym, niczego nie wyjaśniając, odpowiadała jedynie bardzo krótko: „mam bardzo wiele — życie i zespół umiejętności zawodowych, ale przecież jedno życie to w gruncie rzeczy bardzo mało, muszę gospodarować nim rozsądnie, tę drogę trzeba przejechać na pełnym gazie i z dobrą orientacją w terenie".

Nie sięgała po mierne książki, nie chciała tracić czasu na oglądanie marnych filmów, nie rozmawiała z ludźmi, z którymi rozmowa wydawała jej się stratą czasu, w konsekwentnie realizowanej własnej wizji teatru nawet nie próbowała szukać miejsca dla małego realizmu, nieważnych spraw i tematów. Pociągały ją rzeczy i tematy największe, problemy uniwersalne i ponadczasowe. Pasjonowali ją bohaterowie, którzy swoim scenicznym życiem egzemplifikowali i personifikowali owe najważniejsze dla człowieka i świata problemy. W dramatach antycznych, dziełach Szekspira, Tołstoja, Dostojewskiego, Brechta i innych wielkich twórców literatury i teatru szukała potwierdzenia słuszności własnych przemyśleń i refleksji. Reżyserowała te sztuki, jakby po to jedynie, by autorytetem ich twórców wesprzeć i udokumentować słuszność własnej analizy problemów, których rozważanie winno być jej zdaniem nigdy nie dającym się zakończyć zadaniem intelektualnym i emocjonalnym.

W ten sposób, z takich motywacji twórczych „Medea" była jej „Medeą", Lady Makbet — jej głosem o tej postaci i wokół problemu, przygotowane przez nią spektakle „Matki Courage", „Anny Kareniny", „Zmartwychwstania", „Tragedii optymistycznej", „Na dnie", „Nie-Boskiej komedii", „Wesela", „Wizyty starszej pani" i wielu, wielu innych były jej refleksją wokół tych samych spraw, które w tekstach tych poruszyli ich autorzy. Tak narodziło się we współczesnym teatrze polskim jedno z tych zjawisk, które zyskało miano teatrów reżysera. Tak narodził się teatr Lidii Zamkow.

Swój wieloletni związek z teatrem rozpoczęła od krótkiego flirtu z Terpsychorą. Jej bujnemu temperamentowi artystycznemu sam ruch nie mógł jednak wystarczyć, nie spełniał pragnień intelektualnych, nie pozwalał na pełną wypowiedź sceniczną. Zapragnęła więc mówić i została aktorką, a potem — jak sama kiedyś to określiła — „zachciało jej się" myśleć, więc postanowiła zostać reżyserem. Studia aktorskie ukończyła w Łodzi. Egzamin aktorski zdała w naszym mieście w 1946 roku. Wcześniej jednak, jeszcze w czasie okupacji, wraz z Janem Świderskim założyła konspiracyjną scenę polską we Lwowie. Tuż po wojnie znalazła się w Lublinie i organizowanym tam Teatrze Wojska Polskiego, którego założycielem był Władysław Krasnowiecki. W słynnym dziś „Weselu" przygotowanym przez ten zespół zagrała Isię. Reżyserię studiowała pod kierunkiem Leona Schillera, którego osobowość odcisnęła się trwałym piętnem na jej osobowości twórczej. Jej dyplomowym przedstawieniem była „Omyłka" Bolesława Prusa. Premiera tego spektaklu odbyła się w naszym mieście w lutym 1948 roku. Wtedy nie została w Łodzi. Pracowała w kilku miastach; w Warszawie, w Krakowie, Gdańsku i Katowicach realizowała spektakle które na stałe wpisały się do historii teatru polskiego.

Dała się poznać jako twórca odważny, dynamiczny, niekonwencjonalny i oryginalny. Jej prowokacyjne założenia interpretacyjne nierzadko bulwersowały publiczność i krytykę, nigdy jednak nie pozostawiły nikogo obojętnym. Echa burzy, jaka rozpętała się po jej krakowskiej inscenizacji „Wesela" dziś jeszcze słychać tu i ówdzie, była wszakże ta inscenizacja jedną z najbardziej przekornych, a może nawet najbardziej okrutną interpretacją „narodowej świętości". Ale to jeszcze trzeba wiedzieć koniecznie, że dla niej w sztuce świętości żadnych nie było. Jedyną stanowiła artystyczna wartość dzieła, bo nawet z filozoficznym przesłaniem, z ideową myślą wielu utworów polemizowała ostro, proponując w zamian swoje własne widzenie interesujących ją kwestii.

„Zmartwychwstanie", „Lot nad kukułczym gniazdem" i „Biedermanna i podpalaczy" — trzy ostatnie swoje przedstawienia teatralne zrealizowała na scenie łódzkiego Teatru Powszechnego. Bardzo udana adaptacja powieści Tołstoja, nieskazitelny kształt tego przedspektaklu na długo pozostaną w pamięci łódzkich widzów. Widzowie w całym kraju oklaskiwali znakomicie opracowany i zrealizowany przez nią aktorsko monodram pt. „Urodziłam się jak wróbel" (rzecz o Edith Piaf). W listopadzie ubiegłego roku prezentowała w Łodzi inny monodram zatytułowany „Interesy mojego syna" będący dramatyczną opowieścią matki Juliusza Cezara. Wszyscy pamiętamy jej świetną adaptację i fascynujące wykonanie „Pamiętnika z Powstania Warszawskiego" Mirona Białoszewskiego.

Dwa lata temu, w pełni sił twórczych, podjęła — jak zwykle nieodwołalną, decyzję o zakończeniu działalności reżyserskiej. Jedni wręcz nie chcieli, a drudzy nie mogli zrozumieć powodów tej decyzji. Inni, znając je i rozumiejąc, nie zawsze potrafili równie przekonywująco, choć niesłychanie lapidarnie wyjaśnić przyczyny tej decyzji, u której podłoża leżała wielka tragedia osobista wybitnej artystki. Jednemu tylko dziełu, dziełu swemu największemu poświęciła się nadal jak zwykle bez reszty: własnemu synowi. Poza nim nie miała już nikogo, a on, Piotr, był zawsze najważniejszy.

Lidka — bo lata serdecznej przyjaźni sprawiły, że nie umiem już nawet myśleć o niej inaczej jak tylko tym imieniem, w którym dla jej przyjaciół zawarło się wszystko — była wielkim człowiekiem i wielką artystką, wybitną aktorką i reżyserką, najlepszą towarzyszką życia wybranego niegdyś przez siebie człowieka i najczulszą matką. Była wspaniałym przyjacielem i — co przyznają jej antagoniści — fascynującym przeciwnikiem.

Lidia Zamkow zmarła 19 czerwca 1982 w Warszawie. Z głębokim żalem żegnaliśmy Ją w piękne słoneczne popołudnie. Kultura polska poniosła niepowetowaną stratę.

EWA PANKIEWICZ

Bernard Sztajnert

Ci ludzie miną przeminą ich pieśni
Drzewa obłoki i dziewczęta młode
Dla nowych czasów budują urodę
Dla nowych czasów bez ich sierpni wrześni
Które już widzi zmartwychwstania wodę
Lejąc na uczniów prorok udręczony
Nowego życia szukając jak żony
I w piekłowzięty przemija dlatego
Że wielu broniąc był zgubą jednego
Poetą tylko minie rymowładny
Moc nie mający jak też wiersz bezradny

Wrzesień 1980

Gdy już opuszczę chmury i kamienie
I nieskończone drzewa rozśpiewane
Przyjdą poeci piszący uczenie
I mnie śpiącego obudzą nad ranem
Do nowych świtów i charyzmatycznych
Rządów nad światem w porywie lirycznych
Kształtów myślenia nad otwartym światem
Gdy śmierć nie będzie już głównym tematem
Dla wydeptanych dróg psychotronicznych

Gwale

Oto jest osiem gwali
Osiem linijek bez treści
Jak gwał w gwału się spali
Gdy gwał się w gwału nie mieści
I ja nie w sobie się palę
I świat się pali nie we mnie
Kto nie jest kto nie jest gwałem
By płonąć tak niekczemnie

On już nie będzie ziemi deptał stopą
Wszedł do światłości długim korytarzem
Umarł nad Polską umarł nad Europą
On już nie będzie ziemi deptał stopą
Poznał w światłości swą świetlistą matkę
I długo słuchał jej świetlistych racji
Gdy już narzędzia włożyli w szufladkę
Po nieudanej reanimacji

Na kurhanie czajka ginie
Biały koń dziś padł pod panem
Ej ty ojcze atamanie
Zostań bytu atamanem
Ratuj ratuj nas od zgonu
Zmieniaj znaki elektronów
Nieśmiertelność okaż trawie
Niech po śmierci żyje prawie
Niechaj nawet ten co kona
Wypełni się i dokona

Janusz Szymański-Glanc

Szkice Błażejewskiego

Ostatnia książka* wieloletniego współpracownika „Odgłosów" adiunkta na Uniwersytecie Łódzkim Tadeusza Błażejewskiego wymaga oddzielnej rekomendacji. I to nie tylko ze względu na kumoterstwo. Choć przecie każdemu miło gdy nasi górą. Jeszcze milej robi się na duszy, gdy czyni się coś nie tylko z nakazu moralnego, regionalnego etc. Tak się rzecz ma z „Retortą Fausta". Osobliwa to książka. Na jej zawartość złożyły się szkice literackie o twórczości współczesnych prozaików polskich — Leopolda Buczkowskiego, Leona Bomolickiego, Wandy Karczewskiej, Andrzeja Kuśniewicza, Bernarda Sztajnerta, Władysława Terleckiego i Piotra Wojciechowskiego.

Błażejewski w słowie wstępnym wyjaśnił jaka zależność istnieje między efektownym i przewrotnym tytułem a zawartością książki. Twierdzi on, że postawa faustowska cechuje człowieka myślącego, człowieka poszukującego — aktywnego intelektualnie i życiowo. Motyw człowieka nie cofającego się przed niczym, żądnego uzyskania wyczerpujących wiadomości o świecie i doznania radości życia rozwinął się i zrobił karierę jeszcze w czasach, gdy wiedza kojarzyła się z czarną magią, astrologią czy alchemią. Stąd też Faust właśnie jest patronem

ZDZISŁAW KŁAPCIŃSKI

wszelkich eksperymentów poznawczych. Błażejewskiego nie interesują utwory bezpośrednio wykorzystujące wątek faustowski, nie zajmuje się jego kolejnymi realizacjami.

Autor „Retorty Fausta" przyznaje, że dobór prezentowanych sylwetek jest subiektywny i niekompletny. Trudno się z tym nie zgodzić. Szkoda jednak, że nie wymienia tych mniej go interesujących. Wówczas moglibyśmy się posprzeczać czy zaprezentowany wybór jest reprezentatywny. A tak można tylko zgodzić się, iż istotnie podanym kryteriom twórczość bohaterów szkiców odpowiada. Zastanawia jednak tytuł zbioru. Może należało go uczynić mniej wystrzałowym, symbolicznym, a bardziej dokładnym, np. „Z retorty Fausta"? Nie jest to oczywiście sprawa najważniejsza, ale jak mawiali starzy z drobiazgów życie składa się.

Trudno ustosunkować się aż do siedmiu szkiców. Szczegółowe ich rozpatrywanie jest bezsensowne, ponieważ zabrałoby więcej miejsca niż one same. Ograniczę się więc do uwag ogólnych. Autor Retorty omawiając sylwetki poszczególnych pisarzy i ich twórczość raz jeszcze potwierdził swe duże znawstwo przedmiotu, częściowo tylko uwidocznione w załączonych przypisach. W swym postępowaniu analitycznym jest jednak nie tylko historykiem literatury, ale może przede wszystkim krytykiem. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że zmierzając do określenia istoty pisarstwa Wandy Karczewskiej czy Bernarda Sztajnerta postępuje własną drogą. Godne zauważenia jest dążenie Błażejewskiego do syntetyzowania. Wychodząc od konkretnej myśli lub utworu ujawnia ich odniesienia w bardziej ogólnym systemie wartości (vide: szkic o Kuśniewiczu). Odnajduje istotę pisarstwa omawianego autora.

Książka potwierdza deklarację — credo Błażejewskiego, iż literaturę traktuje jako zjawisko artystyczne wynikające tyleż z indywidualnych uwarunkowań twórców, co i z uwikłań społecznych i politycznych. Refleksje rzuca autor Retorty tak szczodrze, że nawet niezbyt wnikliwi aspiranci polonistyki mogliby znaleźć tu kilkanaście inspiracji do swoich prac naukowych. Wywody Błażejewskiego przekonywające, rozważne są podane tonem spokojnym, ale częstokroć bardzo efektownie. Szkice pisane są przystępnie. Z całą pewnością mogą swą rolę wprowadzenia w literaturę pełnić nawet na zajęciach fakultatywnych w liceach.

„Retorta Fausta" daje nowe syntetyczne ujęcie twórczości kilku pisarzy. Obraz ten uchwycony jest jakby w locie, w trakcie tworzenia. Atmosfera towarzyszenia, współistnienia czyni go bardziej ważkim dla rozwoju kultury. Zasługą Błażejewskiego jest to, że się od tej odpowiedzialności współtworzenia nie uchylił.

Na koniec kilka uwag niesympatycznych. Do książki dołączona jest errata zatytułowana „ważniejsze pomyłki druku". Niestety, istotnie wyszczególnione są tam tylko ważniejsze pomyłki. Po drugie. Niniejsza recenzja ukazuje się niemal z półrocznym opóźnieniem. Nikt więc nie powinien nas posądzić o kumoterstwo — po prostu czekała na swą kolej w rządku najsympatyczniejszym dla swoich. Szczerze mówiąc, dziś dużo szczęścia muszę życzyć tym naszym Czytelnikom którzy by chcieli ją nabyć. Zastanawiam się czy wydawca nie powinien pomyśleć o wznowieniu. Nakład pięć tysięcy okazał się stanowczo zbyt mały. „Retorta Fausta" złożona była do druku na początku 1979 roku. Może autor ma jakieś uzupełnienia, może zechciałby dołączyć nowe szkice. Błagam niech to myślenie nie trwa latami.

* Tadeusz Błażejewski: Retorta Fausta. Szkice literackie. Wydawnictwo Łódzkie. Łódź 1981 ss. 131, cena 25 zł.

Przeboje, przeboje czyli co mi się śni?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Dzisiaj czas, śledząc dalej żywot piosenki, przejść do jednego z najistotniejszych problemów współczesnej muzyki rozrywkowej. Jak pisałem, przebój to słowo magiczne. Choć magiczne jest raczej znaczenie tego terminu; to, co kryje się także pod innymi synonimami, takimi jak choćby: szlagier (z języka niemieckiego) czy hit (pochodzenia angielskiego). I mimo, iż w naszym języku używamy tych wyrazów nie tylko wymiennie, ale staramy się by ich stosowanie było jak najbardziej adekwatne do kontekstu wypowiedzi (np. szlagier kojarzy się z powszechnością utworu, a hit z jego obecnością na szczytach notowań), to jednak są to określenia bliskoznaczne. A właściwie żaden z nich nie precyzuje jasno w czym rzecz. W tym wypadku nawet etymologiczne rozważania mogłyby nas wprowadzić na fałszywe tory.

Spróbujmy zatem zastanowić się, co rozumiemy pod słowem „przebój", które jest chyba ze wspomnianych wyżej najbardziej rozpowszechnione. Wiadomo, że chodzi tutaj o piosenkę (choć może to być też utwór instrumentalny, a poza tym od pewnego czasu określenie to przenika do innych dziedzin życia) posiadającą pewien, stosunkowo szeroki, krąg odbiorców wyznaczany częstokroć przynależnością do takich czy innych grup wiekowych lub też środowisk społecznych. Nie ulega wątpliwości, iż przebój jest w tej sytuacji utworem z pewnym stażem, jeśli chodzi o docieranie do i odbiór przez słuchacza. Kłopoty natomiast zaczynają się w momencie, kiedy pokusimy się o sensowne zdefiniowanie tego terminu.

Przede wszystkim należałoby ustalić do jakiej grupy utworów określenie to ma się odnosić. Możliwości jest sporo. Czy mają to być właśnie takie piosenki? Są piosenki nucone przez wszystkich, łatwo podchwytywane nawet po jednorazowym usłyszeniu, od razu wpadające w ucho, najczęściej z prostym refrenem. Mają one w niektórych sytucjach zdolność szybkiego przenikania w społeczeństwo a dalej kolportowanie ich przebiega już niejako w naturalny sposób, choćby nawet kompozytor i autor wcześniej wcale tego nie zakładali. Fakt, że pisanie piosenek jest już w swym założeniu działaniem komercyjnym, ale tylko w takim samym stopniu jak każda inna praca zarobkowa wyłączając małopłatną i społeczną. I dlatego uważam, że nie należy utożsamiać utworu piosenkowego błyskawicznie zyskującego popularność i sympatię słuchaczy z piosenką typowo komercyjną: to, że utwór się podoba nie znaczy od razu, iż jedynym kierunkowskazem twórców była chęć przypodobania się gustom słuchaczy bez jakichkolwiek innych ambicji. Po prostu zdarza się, że i kompozytorowi, i autorowi tekstu piosenki coś się nie bardzo uda, a jednak zostaje podchwycone przez publiczność w dobrym rozumieniu tego słowa. Znam przypadek — sprzed kilkunastu zresztą lat — jak znany polski kompozytor (nazwiska, wybacz czytelniku, nie będę podawał, bo nie mam na to zgody a bohater anegdoty przebywa za granicą) wyłączał radio, gdyż nie mógł słuchać nadawanej kilka razy dziennie własnej piosenki, która nie była jego zdaniem zbyt udana, napisał ją ad hoc, a przyjęła się — on się tego przeboju wstydził. Muszę powiedzieć, że w połowie lat siedemdziesiątych napisane przeze mnie w spółce z Magdaleną Mikulin teksty piosenek dla grupy „Happy End" kierowanej przez Zbigniewa Nowaka nie były osiągnięciami najwyższego literackiego lotu, a jednak „Szczęśliwy finał", a później „Taki jest świat" zostały zaakceptowane. Z jednej strony było mi przyjemnie, gdy podczas wakacji w 1976 roku spacerowicze na nadbałtyckiej plaży nucili sobie „Piękny jest świat, taki piękny jest świat...", z drugiej jednak ileż to razy musiałem się tłumaczyć, że dopiero po wysłuchaniu na radiowej antenie nagrania „Szczęśliwego finału" dowiedziałem się o wprowadzonej przez kompozytora zmianie w tekście w wyniku której powstał m. in. następujący dwuwiersz: „Happy end, happy, happy, dobrze jest — będzie lepiej".

Nie ma pewności, czy można do kategorii przeboju muzyki rozrywkowej zaliczyć piosenki lubiane i chętnie słuchane, które jednak mają dość ograniczoną siłę przebicia. Słuchacze pamiętają je, z przyjemnością do nich wracają, często kojarzą także z wykonawcą, a jednak nie jest to, jak mawiał jeden z moich kolegów „przebój całą gębą". Kiedy poda się na przykład tytuł takiej piosenki — nikt nie wie z miejsca o jaki utwór chodzi, dopiero, gdy z głośnika usłyszy pierwsze takty mówi: „Ach, to? Oczywiście znam, bardzo to lubię". Są to niejednokrotnie bardzo wartościowe piosenki, które jednak znajdują się w drugiej linii oddziaływania na słuchacza.

Jeszcze poważniej komplikuje się sprawa definicji słowa „przebój" wówczas, gdy weźmiemy w naszych rozważaniach pod uwagę także tzw. piosenki ambitne (przytoczenie przeze mnie tutaj tej niezwykle umownej, nieadekwatnej nazwy świadczy raz jeszcze o ogromnych niedostatkach w zakresie nomenklatury odnoszącej się do muzyki rozrywkowej). Można wyliczyć od ręki kilkadziesiąt śpiewanych utworów rozrywkowych z ostatnich lat nie nadających się do nucenia utworów trudnych w treści i percepcji, a równocześnie cieszących się uznaniem i popularnością, powszechnie znanych, o które w listach do redakcji muzycznych Polskiego Radia proszą jego stali słuchacze.

Nie bez znaczenia jest tutaj kwestia odpowiedniego doboru wykonawcy, o czym już zresztą wspominałem przed paroma tygodniami. Można mówić o pewnym sprzężeniu zwrotnym w korelacji wykonawca — piosenka czy gwiazda — przebój: piosenkarz i utwór wzajemnie się lansują. Lecz sprawa będzie dyskusyjna, gdy spojrzymy na nią z perspektywy przeciętnego słuchacza radiowego programu: odnoszę wrażenie, że przynajmniej w naszych polskich realiach szybciej mierna piosenka zdobędzie popularność w interpretacji markowego wykonawcy niż ciekawy utwór zyska ją śpiewany nawet dobrze przez mało znanego wykonawcę.

Użyłem tutaj kilkakrotnie słowa „popularność" i jest to niewątpliwie jeden z podstawowych wynaczników przeboju. Wspomniałem też o programie radiowym. Dlaczego? Właśnie radio obok innych środków masowego przekazu z telewizją na czele, ma największe możliwości kreowania nowej piosenki na przebój. Jest to w dzisiejszej dobie najważniejszy instrument w lansowaniu utworu muzyki rozrywkowej, a równocześnie jeden z warunków autentycznej „szlagierowości" — bez radia wypłynięcie piosenki czy jej wykonawcy na szerokie wody popularności jest raczej niemożliwe. Na potwierdzenie tej tezy przedstawić można dowód nie wprost: ile na radiowej antenie gościło w ciągu ostatnich dziesięciu lat „przebojów nie chcianych", piosenek których nie lubili słuchacze lub które nie dorostały poziomem artystycznym do lansowania. Myślę, że takich pozycji było co najmniej kilkadziesiąt, co wyszło na szkodę samej „branży", bo musząc słuchać prezentowanych z uporem i na siłę wmawianych przez redaktorów utworów, nasz słuchacz odwracał się od rodzimej piosenki szukając w obcojęzycznych wzorach czegoś dla siebie odpowiedniego. Stąd też — poza kilkoma naprawdę nielicznymi wyjątkami — autentycznych hitów z owych fabrykowanych przez niektórych redaktorów list przebojów nie było od dłuższego czasu.

Zdarza się nieraz, że piosenka zostaje spopularyzowana w wyniku pewnych okoliczności. Pisałem ostatnio o piosenkach „z okazji", która daje im rację bytu na antenie. Czasem utwór posiada takie cechy, że — można powiedzieć — automatycznie bywa wykorzystywany z dużą częstotliwością. Tak jest — na przykład — z niektórymi piosenkami nieśmiertelnie powtarzającymi się w koncertach życzeń; po prostu odpowiadają one swoją treścią i charakterem do tej audycji. Ja osobiście też mam na swoim koncie piosenkę, którą radiosłuchacze mają już prawo być znużeni, ale nie ja ponoszę winę na jej częstą — zwłaszcza w tym kwartale — obecność na antenie. Dwa lata wstecz napisałem tekst zatytułowany „Kochać operę" specjalnie dla Kazimierza Kowalskiego, bo ma on wydźwięk autobiograficzny w takim wykonaniu a teraz już drugi wakacyjny sezon słyszę raz po raz w audycji „Lato z radiem" basowy zaśpiew: „I jak tu nie kochać opery...", bowiem zrobiono z tej piosenki sygnał kącika operowego prowadzonego przez tego wykonawcę.

Mówiąc o przebojach muzyki rozrywkowej należałoby podjąć jeszcze jeden temat. To sprawa pewnego dosyć sztucznego dodatkowego podziału — trzeba przeprowadzić rozróżnienie pod kątem przenaczenia i warunków odbioru piosenki. Niejednokrotnie mówi się o tym, że co innego przebój do słuchania (w którym np. słuchacz chciałby rozumieć tekst), a co innego — do tańca (gdzie główną rolę odgrywa rytm). Ten podział można dość długo kontynuować.

Ale przecież ciągle trudno odpowiedzieć autorytatywnie na pytanie: od czego zależy przebojowość piosenki? Ja przynajmniej nie podejmuję się takiej odpowiedzi udzielić. W świetle tego, co zostało do tej pory powiedziane, nie może być wątpliwości, jak złożona to sprawa — elementów wyznaczających przebój jest wiele, a z kolei nawet przy ich jednoczesnym współistnieniu potrzebny bywa jeszcze jakiś traf, iskra, która sprawi, że wczorajsza piosenka jutro staje się hitem. Być może ktoś wolałby, gdyby wreszcie udało się wyprowadzić jakiś ścisły, matematyczny wzór na piosenkę przebojową, ale wówczas cała sprawa straciłaby swój urok, gdyż ryzyko ponoszone przez twórców ograniczałoby się do mniej lub bardziej udanego rozwiązywania zadania przy pomocy podstawionego wzoru.

Trochę zabrnąłem tutaj w sferę teorii, ale postaram się z niej wydostać w sposób najprostszy: przejdę do sprawy dochodowości przeboju. Oczywiście, przebój przynosi twórcom (a na dobrą sprawę i pozostałym osobom związanym z jego przygotowaniem) określone profity. Ale — zwłaszcza na naszym podwórku — dysproporcje pomiędzy wyobrażeniami o tych dochodach a realnymi wpływami z tego tytułu są znaczne. Wszystkiemu winne są tzw. evergreeny czyli z angielskiego — „zawsze zielone"; tym mianem określa się na Zachodzie największe przeboje, te, które zachowują swoją aktualność, i nawet ponownie nagrane, przypomniane po latach zyskują dawną lub jeszcze większą popularność. Kolportowane są wieści z Zachodu według których napisanie jednego „wiecznie zielonego przeboju" ustawia bytowo jego twórcę niemal dożywotnio. Ale nie można transplantować tego na polski grunt z tego powodu, że nasze rodzime szlagiery (poza jednym czy dwoma i to sprzed wojny) nie stają się światowymi przebojami, nie przenikają do innych krajów, a jeśli nawet to z reguły na małą skalę. Dlatego też dementować trzeba wiadomości o krociowych zyskach autorów i kompozytorów, których piosenki przez kilka lub kilkanaście tygodni utrzymują się na listach przebojów Polskiego Radia. Brak im mianowicie poparcia w innych środkach lansowania utworu przyczyniających się do tego, by stał się on przebojem, a równocześnie mógł wzbogacić twórców: prezentacji telewizyjnych, teledysków, singli dyskotekowych i płyt długogrających, koncertów promocyjnych, całej kampani reklamowej... I w wyniku tego nawet jeśli uda się napisać coś, co śpiewa cała Polska — zysk dla nas nie jest duży gdy chodzi o finanse. A tymczasem wydatki będące kosztami własnymi związanymi z wykonywaniem naszego zawodu zawsze były wysokie, a obecnie wzrosły wręcz niepomiernie. Myślę, że temat ten dla laika może okazać się ciekawy, toteż powrócę do sprawy niebawem.

NA MARGINESACH WIELKIEJ SZTUKI

Jednoosobowe ugrupowanie

Trudno pisać o czymś, co przestało istnieć. A tak właściwie rzecz się ma ze scenografiami Władysława Daszewskiego.

Ci, którzy nie mieli szczęścia (?), możliwości (?) oglądania spektakli teatralnych z jego dekoracjami i kostiumami — a takich przecież jest i będzie coraz więcej — mają dwie możliwości poznania i oceny twórczości Daszewskiego. Po pierwsze: mogą „na słowo" uwierzyć tym, co widzieli i opisali, byli to zresztą głównie recenzenci teatralni — co tu ukrywać — na ogół scenografię poddający dość powierzchownej analizie, żeby nie powiedzieć — jedynie opisowi mało przydatnemu przy ocenie walorów plastycznych. Druga możliwość: przyjąć to, co pozostało z prac tego scenografa, a więc szkice, projekty, dokumentację fotograficzną — wszystko nader skromne — i potraktować jako swoisty dorobek plastyczny, i tylko od tej statycznej strony poddający się w miarę rzeczowym klasyfikacjom.

Nie ukrywam, że bliższa jest mi ta druga metoda. Choć niektórzy mogą twierdzić, że jest to spojrzenie daleko niepełne, moim zdaniem, jest bardziej uczciwe. Nie odwołuje się do tego, czego już nie ma, nie bazuje na subiektywizmie wspomnień; pozwala również dostrzec te wartości, których współcześni mu nie zauważali, a które dziś dla praktyków jak i teoretyków sztuk plastycznych, a sztuki scenograficznej w szczególności, mogą mieć znaczenie.

Wystawa prac Władysława Daszewskiego zorganizowana pod wspólnymi auspicjami Ministerstwa Kultury i Sztuki, Muzeum Historii Miasta Łodzi i Centralnego Biura Wystaw Artystycznych jest — mam nadzieję — początkiem, niejako wstępem do gruntowniejszego opracowania na temat jego dorobku plastycznego, zwłaszcza scenograficznego. Jedenaście lat po śmierci tego wybitnego artysty jest chyba najwyższy czas, aby o tym poważnie pomyśleć. Daszewski jak do tej pory bowiem nie miał szczęścia do głębszych omówień swojej twórczości.

Nie związany z ugrupowaniami plastycznej awangardy dwudziestolecia międzywojennego, a właśnie w pierwszej połowie lat trzydziestych jego sposób scenicznego myślenia był już skrystalizowany, pomijany jest dosyć sumiennie we wszelkich opracowaniach tej awangardy dotyczących. Jednocześnie nie dając specjalnych powodów swoją twórczością do przypisywania mu obciążeń nurtem tzw. narodowym i estetyzującym, z tej również strony był niejako nie dostrzegany.

Całym zdaje się „pechem" Daszewskiego jest, iż — jak napisał J. Kosiński (cyt. za katalogiem wystawy) — „(...) taka stylistyka nie tylko u nas, ale i w skali ogólnoeuropejskiej poza Daszewskim nie występowała i pod tym względem jest on bardzo samorodny (...)."

Trzy cechy, Kosiński również je akcentuje, są wyróżnikami twórczości Daszewskiego — architektonizacja formy, skrót myślowy i żart plastyczny nie stroniący od literackich skojarzeń. Każdą z tych cech da się wyprowadzić z określonych źródeł. W traktowaniu formy dekoracji dostrzegalne są wyraźne związki z rosyjskim konstruktywizmem, chociaż Daszewski w swoim rozwoju tą właśnie drogą nie poszedł; charakterystyczne dla niego stosowanie skrótów i zbitek pojęciowych najlepiej chyba oddaje — chociaż w ogóle do scenografii się nie odnosi — krótki fragment z Numeru 2 „Biletynu grupy a. r." (cyt. za: Jan Brzękowski „Wyobraźnia wyzwolona" Wyd. Lit. Kraków 1976 r., str. 119—120): „Poezja jest to mowa wiązana, czyli mowa zwięzła. Maksimum treści w minimum słów — oto zadanie poety. Aby ten cel osiągnąć, poeta posługuje się skrótami. (...) *Istota poezji nie tkwi więc w słowach, ale w wiązaniach słów. (...)*". (podkr. K.N.) W tym rozumieniu Daszewski był właśnie poetą scenografii, można powiedzieć, że w sposobie myślenia bliski był awangardzie poetyckiej; zaś owa skłonność do żartu ocierającego się często o satyrę czy groteskę najczęściej jest wyprowadzana z jego działalności jako karykaturzysty i rysownika, zwłaszcza z okresu współpracy z Lechoniem i Tuwimem w „Cyruliku Warszawskim". To jednak do końca skłonności do satyry nie wyjaśnia. Trzeba tu chyba sięgnąć do politycznych poglądów artysty, zdecydowanie lewicowych, co u ludzi sztuki okresu międzywojennego było niemal równoznaczne z nowatorstwem formalnym; oraz do wywodzącego się z tych poglądów rozumienia funkcji sztuki jako jednego z elementów walki. Uprawianie satyry, żartu rysunkowego czy szerzej — plastycznego w ogóle, było jedynie pochodną tych poglądów odpowiadającą twórczym predyspozycjom Daszewskiego.

Wymienione przeze mnie cechy scenograficznej twórczości tego artysty są bardzo dobrze ilustrowane zachowanym i pokazanym na wystawie materiałem dokumentacyjnym. Wystarczy wymienić fotogramy ze spektaklu „Wojna wojnie' A. Nowaczyńskiego w reżyserii L. Schillera w Teatrze Polskim w Warszawie w 1927 roku (scenograficzny debiut Daszewskiego), również z schillerowskiej „Zbrodni i kary" z 1934 roku, „Klubu Pickwicka" w reżyserii A. Węgierki z 1936, jak i sporo innych.

Prace Daszewskiego oglądałam w warszawskiej „Zachęcie". W stosunku do prezentacji łódzkiej, przewidzianej na październik, piszę więc ze sporym wyprzedzeniem, głównie z myślą o tych, którzy w wakacyjnych miesiącach zamierzają zahaczyć o stolicę.

Zaś co do Łodzi, szkoda że jeszcze te parę miesięcy trzeba czekać. Daszewski przez kilka powojennych lat — jak zresztą wielu twórców — związany był dość mocno z Łodzią (Teatr Wojska Polskiego, Teatr Kameralny Domu Żołnierza). Niektórzy zachowali żywe wspomnienia tego okresu i wystawa będzie doskonałą okazją do weryfikacji tych wspomnień, ich zobiektyzowania. Młodsza generacja miłośników sztuki scenograficznej po raz pierwszy dorobek Daszewskiego zobaczy w tak pełnym wymiarze.

Ubolewając, że trzeba było dziesięciu lat, aby po raz pierwszy po jedynej w 1972 roku wystawie (znacznie skromniejszej) dorobku artysty, przypomnieć jego twórczość ponownie, mam nadzieję, że tym razem nie skończy się na wystawie. Ogromna praca jakiej dokonała Łucja Kossakowska — komisarz wystawy — powinna wreszcie zaowocować monografią twórczości Daszewskiego. Był to bowiem plastyk jedyny w swoim rodzaju. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, iż był sam dla siebie artystycznym ugrupowaniem nieobojętnym dla rozwoju polskiej scenografii jak zresztą plastyki w ogóle.

Starannie opracowany i zredagowany przez Barbarę Mitschein i Elwinę Sarosiek katalog jest wprawdzie trwałym zapisem, ale jeszcze nie monografią. Korzystając z zebranego dorobku arysty jak najszybciej należałoby pomyśleć o zlikwidowaniu tej wstydliwej luki.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

P.S. Kiedy wystawa prac Wł. Daszewskiego uświetni otwarcie nowej Galerii Muzeum Historii Miasta Łodzi, wrócę do tematu, bo nie jest to drobna wystawka okolicznościowa, którą wystarczy skwitować jednorazową notatką. K. N.

W kręgu fantastyki

Rafał A. Ziemkiewicz. Urodzony 13.09. 1964 r. w Piasecznie. Mieszka w Warszawie. W 1982 roku zdobył dwie nagrody w ogólnopolskim konkursie na utwór SF ogłoszonym przez Naszą Księgarnię, MAW i Staromiejski Dom Kultury w Warszawie. Członek grupy TRUST.

Z palcem na spuście

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Leżał ukryty w bujnej, brunatnej trawie, kilka metrów przed okopem swojej kompanii, lustrując przez lornetkę pobliskie wzgórza. Słońce zalewało upiornym blaskiem zbocza, usiane rdzewiejącymi wrakami czołgów i niesprzątniętymi trupami. Porozrywane wypalone pancerze, poczerniałe od żaru ciała i walająca się po ziemi broń przypominały o stoczonej tam przed kilkunastoma miesiącami bitwie.

Do zmroku została jeszcze niecała godzina; słońce zachodziło tutaj szybko i ciemność zapadała nagle, w ciągu kilku minut.

Przeczołgał się do okopu. Kończył się następny dzień walki. Taki sam jak setki poprzednich: patrole, warty, kilka nalotów i bombardowań artyleryjskich. No i jedna rzecz różniąca trochę ten dzień od innych: przez okrążenie przebili się do bazy jacyś rozbitkowie z innych oddziałów. Dwa czołgi. Trzeci został na przedpolu, trafiony w ostatniej chwili przez szturmowiec. Jeszcze jeden poszarpany wrak, z załogą zastygłych w gotowości do walki trupów.

Puścił lornetkę, która zawisła mu na szyi, spojrzał na zegarek. Zbliżała się pora jednego z trzech codziennych, regulaminowych obchodów stanowisk.

Ruszył przed siebie, tym samym co zawsze szlakiem, mijając stojących nieruchomo żołnierzy. Znał na pamięć pozycję swoich oddziałów. Kilkaset metrów okopu, na jego końcu pluton strzelców z ciężkimi miotaczami i wyrzutniami rakiet przeciwlotniczych. Bezużyteczne żelastwo, bo rakiety skończyły się już dawno. Potem wąski rów łącznikowy skręcający ku środkowi zakreślonego przez okopy, gigantycznego kręgu. Dwa bunkry z bronią przeciwpancerną. Rów skręca ostro, pozostawiając za sobą pole minowe i plątaninę zasieków. Stary, rozsypujący się dom-granica z pozycjami trzynastej kompanii. Po ostatnim bombardowaniu usunięto z niego wszystkich żołnierzy i sprzęt, bo w każdej chwili grozi zawaleniem się.

Przy tym domu znowu zakręt o dziewięćdziesiąt stopni i przejście między licznymi bunkrami wyczekiwania i podręcznymi składami amunicji. Z tyłu, za nimi, punkt opatrunkowy. Wszystko świetnie zamaskowane, nawet z bliska nie odcina się od terenu. Pod niewielkim zagajnikiem, właściwie kępą burych drzew, rdzewieje wrak ciężarówki zniszczonej przed kilku laty ogniem artyleryjskim.

Obejście tej trasy, zebranie kilku suchych meldunków i wymuszonych uśmiechów zajmowało mu czternaście minut i trzydzieści dziewięć sekund. Obliczył to już przed kilku laty, ale zawsze przy końcu obchodu patrzył ukradkiem na zegarek i cieszył się jak dziecko, gdy trwało to o sekundę czy dwie krócej. Czasem obchód trwał dłużej, gdy zatrzymywał się przy którymś ze stanowisk, by uciąć sobie krótką pogawędkę z żołnierzami. Robił tak często. Najbardziej lubił rozmawiać z dwumetrowym telefonistą, siedzącym na zachodnim krańcu okopu, zawsze w tej samej pozycji, z nogami założonymi na milczący aparat i hełmem nasuniętym na oczy. Trwał tak niewzruszenie nawet w czasie największych nalotów.

Nie poruszył się nawet słysząc kroki swego dowódcy. Sprawiał wrażenie śpiącego, ale nie spał. Gdyby oczu nie zasłaniał mu hełm, można by pomyśleć, że obserwuje krążący po niebie nieprzyjacielski samolot rozpoznawczy.

— Czy to pan kapitan? — pytał nie poruszając głową.

— Tak, to ja.

— Melduję, że łączność sprawna, panie kapitanie.

— W porządku. Weźcie te nogi, chcę przejść.

Telefonista zgiął nogi, unosząc się na krzesełku.

— I chciałem jeszcze zameldować, panie kapitanie...

— Tak?

— Rozmawiałem przed chwilą z drugim plutonem. Wyznaczony na dziś dowódca warty jest ranny, eksplodował mu w ręku granat.

— Dziękuję. — Skinął głową kapitan.

— Trzeba wyznaczyć nowego...

— Wiem najlepiej co trzeba zrobić!

— Tak jest — żołnierz ponownie znieruchomiał w swej ulubionej pozycji.

Kapitan ruszył przed siebie, zastanawiając się któremu z oficerów powierzyć nocną wartę. W końcu postanowił że sam ją obejmie.

Ledwie powrócił na miejsce, z którego rozpoczął obchód dostrzegł wozy pancerne sunące powoli wzdłuż okopu. Na przednim pancerzu jednego z nich siedział niedbale czołgista w skórzanej kurtce z dystynkcjami porucznika. Dostrzegłszy kapitana zeskoczył z wozu, podbiegł do okopu i zameldował:

— Trzysta dwudziesta czwarta kompania czołgów. Skierowano nas do wzmocnienia tego odcinka.

— Trzecia kompania ósmego pułku strzelców Almanejskich — odsalutował mu kapitan jak na musztrze. — Cieszę się z waszego przybycia.

Wyskoczył z okopu i stanął obok czołgisty.

— Ale trzeba jak najszybciej zamaskować te pudła.

— Wiem. Niech pan wskaże stanowisko.

Usiedli na stalowym, rozgrzanym słońcem pancerzu.

— Na lewo, pod te drzewa — powiedział kapitan po krótkim namyśle wskazując dłonią rachityczny gaik.

Czołgi posłusznie potoczyły się wskazaną przez niego trasą, aż zatrzymały się pomiędzy mięsistymi pniami drzew.

— To chyba nie jest najlepsze ukrycie — zauważył czołgista wskazując głową na zardzewiały wrak ciężarówki.

— Jeśli mam być szczery, to najfatalniejsze ukrycie w tej okolicy.

Porucznik spojrzał na oficera piechoty, jakby chciał zrzucić go z pancerza.

— Więc...

— Ależ wolę, żeby jutro zbombardowali tę nędzną kępkę drzew niż pozycje mojej kompanii.

Mówiąc to wskazał palcem kręcący się po niebie czarny punkcik.

— Za pół godziny będzie już ciemno i do tego czasu nie powinni już atakować. W nocy rozwiniemy zasłonę cieplną i przesuniemy was w inne miejsce.

Porucznik pochylił się nad otwartym włazem.

— Chłopaki, wyłazić. Koniec wojny na dziś.

Wypełzli. Z jednego czołgu czterech, z drugiego pięciu. Brudni i zmęczeni. Obrzucili swego przewodnika tępymi spojrzeniami i pokładli się w trawie pomiędzy drzewami.

Porucznik westchnął ciężko i oparł się o pancerz wieżyczki.

— Będą musieli długo regenerować siły. Od sześćdziesięciu godzin nie wychodziliśmy z wozów.

Kapitan spojrzał na zachodzące słońce i trąc lewą pięścią brodę powiedział niepewnie:

— Poruczniku... Chciałbym was o coś spytać.

— Słucham.

— Wracacie chyba z głównej linii frontu. Od dawna nie mieliśmy informacji co się tam dzieje.

Porucznik pokręcił przecząco głową.

— Walczyliśmy w zgrupowaniu Vanto, dopóki nie zostało rozbite. Wyrwaliśmy się trzynastoma czołgami z okrążenia i szukamy jakiegoś punktu koncentracji.

Wyprostował głowę.

— Nie sądzę, żeby w ogóle była jeszcze jakaś linia frontu — dodał.

Kapitan stłamsił pomiędzy zębami swoją ocenę sytuacji, czując, że mogła by go ona narazić na posądzenie o szerzenie defetyzmu.

— Za pół godziny mam się zameldować u dowódcy zgrupowania — odezwał się po chwili porucznik — ale chciałbym się przedtem dowiedzieć czegoś o sytuacji...

— Niewiele mogę wam powiedzieć. Nieprzyjaciel w nieznanej sile stoi na tych wzgórzach. Ma artylerię i samoloty, może także i broń pancerną. Pomimo tego nie rusza z okopów, ogranicza się tylko do codziennych bombardowań. Na szczęście dysponuje jedynie bronią konwencjonalną.

— O ile pamiętam, broń masowego rażenia była użyta w tej wojnie po raz ostatni dwadzieścia siedem lat temu. Przedtem używano jej powszechnie... No, ale co wy tu w takim razie robicie?

— Wykonujemy rozkaz. „Utrzymać lądowisko dopóki to będzie możliwe. Nie podejmować działań zaczepnych." — To było ostatnie polecenie, jakie otrzymaliśmy od sztabu. Nie mam pojęcia, gdzie on teraz może się znajdować.

Kapitan zsunął się leniwie z pancerza.

— Powinniście wziąć z magazynu jakieś lepiej maskujące mundury. — powiedział, obrzuciwszy spojrzeniem dziewięć odcinających się od trawy, czarnych kurtek. — Załatwię to. I przyślę wam podoficera z paroma ludźmi, poprowadzi was na stanowisko.

Zagłębił się w gęstwinie zasieków. Przechodząc obok telefonisty zastanawiał się przez chwilę czy nie zameldować dowództwu o zmianie składu nocnej warty, ale nie znalazł w pamięci żadnego rozkazu, który by mu to nakazywał.

Przybywszy do swojego schronu wezwał kaprala trzeciego plutonu i polecił mu zebrać dwie drużyny ochotników, najlepiej takich, którzy dobrze się znają na maskowaniu. Następnie iść z nimi do „Płonącego Gaju", przeprowadzić stojące tam czołgi na pozycje pod „Grzebieniem" i okopać je tam.

— Wykonać po całkowitym zapadnięciu mroku — zakończył.

— Tak jest! — wyprężył się służbiście kapral i wyszedł.

„Może w przyszłości wykorzystamy te czołgi do jakiegoś wypadu?" — pomyślał. — „Przydało by się coś takiego..."

Dwadzieścia sześć minut zajęło mu rozłożenie na części, wyczyszczenie i ponowne złożenie ręcznego mortyfikatora, z którym nie rozstawał się nigdy, choć od wielu lat nie miał okazji użyć go w walce. Tę rytualną już niemal czynność wykonywał zawsze przed wieczorem. Potem przygotował dzienny raport, jak zwykle zawierający się w kilku zdaniach: Brak kontaktu bojowego z nieprzyjacielem. Dwa naloty. Straty własne: trzech rannych odesłanych do regeneracji, jeden kontuzjowany pozostawiony w linii. Przyjęto uzupełnienia: trzysta dwudziestą czwartą kompanię czołgów w sile dwóch wozów bojowych z załogą.

Ręka go świerzbiła żeby napisać „żałosne resztki trzysta dwudziestej czwartej kompanii czołgów", ale powstrzymał się od tego. Pomyślał tylko, że przy takich uzupełnieniach kosmodrom C nie może liczyć na zbyt długą obronę w wypadku jakiegokolwiek silniejszego ataku.

Odprawa warty odbyła się o dwudziestej pierwszej trzydzieści pięć. Niezwyciężony duch wojskowego regulaminu kazał bawić się w takie rzeczy jak odprawy wart i musztry nawet w obliczu wroga. Zawsze uważał to za niepotrzebny cyrk, ale nie mógł nic poradzić. Po odprawie rozstawił dwu- i trzyosobowe posterunki, a sam, przerzuciwszy przez ramię mortyfikator, ruszył przed siebie. Wiedział, że obejście kosmodromu wokół zajmie mu dokładnie tyle czasu, za ile miał dokonać inspekcji posterunków.

Regulamin nakazywał każdemu żołnierzowi przynajmniej siedem godzin dziennie poświęcić na regenerację sił: oficerom wolno było zmniejszyć czas wyłączenia się do pięciu godzin na dobę. Prawo do pozostawania w akcji całą dobę i dłużej przysługiwało im tylko w czasie alarmu bojowego; poza nim mieli je tylko wartownicy i oficer dyżurny.

Kapitan wykorzystując to prawo, szedł nie śpiesząc się. Zatknąwszy kciuki za pas przyglądał się ciemnym bryłom zabudowań bronionego terenu. Zamykał się on w kilkukilometrowej średnicy kole okopów, otulonych zasiekami i polami minowymi. Jego sercem była wielka, betonowa płyta, postrzępiona gęsto wyrwami po bombach. Nie nadawała się już do przyjmowania jakichkolwiek statków. Sygnalizację świetlną wyłączono, bo ściągała nocne bombardowania. Wieża kontrolna zwaliła się przed pół rokiem, trafiona celną bombą, zasypując gruzem jeden z sektorów lądowiska. Windy, wiodące z płyty do ukrytych głęboko pod ziemią hangarów nie były uruchamiane od odlotu ostatniego okrętu. Tylko pasy bieli, wtopionej w szarość sztucznej skały wciąż bezużytecznie dzieliły ją na sektory startów i lądowań dla różnych rodzajów statków.

Jego równy krok szeleścił rytmicznie na grubej warstwie żwiru, pokrywającej zachodnią stronę płyty. W nocy, owianej chłodnym oddechem chmur, cały teren zdawał się wyglądać zupełnie inaczej niż za dnia.

Oto trup. Zwykły trup w brunatnym mundurze, zamienionym przez upływający czas w zbutwiałą szmatę. Poczerniały i pokurczony jak kawał spalonego plastiku. W czasie ewakuacji pocisk uszkodził przewody energetyczne i właśnie ten człowiek wszedł nieopatrznie w odsłonięte źródło energii. Nie wyciągnięto go stamtąd, bo obwód zasilający kosmodromu działa i zbliżenie się tam wciąż grozi śmiercią. Trzeba by kosmodrom pozbawić energii, a tego zrobić nie można. Zresztą trupowi jest wszystko jedno. Będzie tak leżał na zgruchotanej warstwie cementu, z wyciągniętymi rozpaczliwie w przód rękami, chyba do końca świata.

Ominął go szerokim łukiem. Na zachodzie wszedł największy z trzech księżyców planety Mylion i obrzucił bazę bladym, różowawym blaskiem, który zalśnił tęczą tysięcy drobnych światełek na ażurowej antenie radaru naprowadzającego. Niegdyś sprowadzał on statki kosmiczne na ziemię, teraz wisiał nad nią bezużyteczny, milczący. Dziwnym zbiegiem okoliczności bomby jakoś go omijały.

Obszedł już dwa boki ogromnego kwadratu. W połowie trzeciego, przechodząc obok pozostających kilkaset metrów po lewej ręce, zamaskowanych schronów dowództwa usłyszał czyjeś kroki. Machinalnie ściągnął broń z ramienia i schronił się w cieniu betonowej ściany, pozostałości po jakimś rozbitym bunkrze. Równe, pewne siebie kroki, niosące się szerokim echem od szarej płyty zbliżały się coraz bardziej, aż w księżycowej poświacie ukazała się idąca sylwetka wzdłuż krawędzi lądowiska. Bez hełmu, bez broni długiej, za to w narzuconym niedbale na ramiona skórzanym płaszczu i z kaburą pistoletu przy pasie.

Odczekał, aż nieznajomy zbliży się, i z nastawionym mortyfikatorem wysunął się z cienia.

— Stój. Hasło!

— Incormo — odpowiedział znajomy głos.

— Atalion. — Sięgnął do pasa i zapalił uwieszoną przy nim latarkę.

W białym stożku stał, mrużąc nieco oczy, dowódca zgrupowania. Dłoń sama uniosła się do hełmu.

— Dowódca warty nocnej na obchodzie melduje: posterunki wartownicze rozstawione. Wszystko normalnie.

— Spocznij — powiedział major. — Dziękuję. Zgaście światło i kontynuujcie obchód.

Dowódca odsalutował niedbale i ciężkim krokiem, z rękami założonymi na plecy ruszył przed siebie.

Kapitan poszedł dalej, jednak po chwili, nie uszedłszy nawet kilkunastu kroków odwrócił się. Major zszedł z betonowej płyty, ku niewiekiemu, trawiastemu pagórkowi. Pochylił się, otworzył zamaskowany właz i zniknął kapitanowi z oczu.

„Czego dowódca może tam szukać?" — zastanawiał się, idąc dalej. — „W zasadzie nie powinien chodzić po podziemnych korytarzach. Zwłaszcza nocą..."

Postępowanie majora wydało mu się co najmniej dziwne. Skoro chciał dokonać inspekcji, mógł to zrobić normalnie, za dnia.

Z północy wzniosła się nagle zielono-błękitna łuna i rosła z każdą chwilą przybierając na intensywności. Przypatrywał się jej przez chwilę; mogła być spowodowana przez start dużej ilości samolotów, czy jakiegoś wielkiego statku, albo przez intensywny ogień artyleryjski. Łuna wznosiła się znad terytorium nieprzyjaciela i w żadnym wypadku nie można jej było lekceważyć. Mogła ona oznaczać albo przygotowywanie się wroga do jakiejś większej operacji zaczepnej, albo przedzieranie się z północy dużej kolumny własnych sił.

W ułamku sekundy przeszukał swoje kryształy pamięciowe; dwieście osiemdziesiąty drugi punkt regulaminu wartowniczego nakazał mu zameldować o tym dowódcy, skoro ten znajduje się w pobliżu. Wykonał przepisowe „w tył zwrot" i ruszył ku pagórkowi. W świetle latarki znalazł w trawie szeroki, plastikowy uchwyt. Pociągnął go do góry. Potem uklęknął na trawie i pochylił się nad wiodącym w głąb ziemi korytarzem. U jego sufitu, na wąskiej framudze rozsuwanych drzwi jarzył się napis: ZAKAZ WSTĘPU DLA AUTOMATÓW.

Początkowo wcale nie miał zamiaru tam wchodzić, chciał tylko zawołać majora i złożyć mu meldunek. Ale pochyliwszy się nad włazem poczuł delikatny zapach, jakby spalenizny, charakterystyczny zapach, pozostający zawsze w powietrzu po strzelaniu z mortyfikatora. Nie namyślając się, wskoczył do luku, ściągając z ramienia broń. Właz zamknął się za nim bezszelestnie.

Gdy stanął na ugiętych nogach, z mortyfikatorem wycelowanym w zamykającą korytarz szybę, przez którą widać było kabinę windy, zauważył, że drzwi przed którymi stoi są nienaturalnie szeroko rozsunięte, a z zamka w ścianie płynie cienka strużka dymu. Pochylił się nad nim. Z wypalonego w ścianie otworu spoglądały na światło jarzeniówek osmalone druty i układy scalone o żółtoczerwonej barwie miedzi.

Anemiczny strumyczek błękitnej spalenizny wskazywał, że drzwi nie mogły być zniszczone przed więcej niż dziesięcioma minutami. W tym czasie do włazu zbliżała się tylko jedna osoba.

Szklane drzwi windy rozsunęły się posłusznie.

„Co to jest automat?" — zastanawiał się będąc w głąb planety — Dlaczego major rozbił drzwi strzałem z pistoletu? Czyżby nie chciały go wpuścić? Jeżeli tak, to wchodząc tu popełnił wykroczenie. A może po prostu nie używane od wielu lat drzwi zacięły się i nie ma najmniejszego powodu, dla którego miałbym niepokoić dowódcę?"

Nogi ugięły się pod nim lekko i za szybą, która natychmiast skryła się w ścianach, pojawił się zów korytarz.

W chwili, gdy weń wchodził, przypomniał sobie jaki los spotkał poprzedniego dowódcę kosmodromu C. Był wtedy jeszcze podporucznikiem i nie miał wstępu na sztabowe narady, ale jego bezpośredni przełożony powiedział mu, że podpułkownik-chorąży dostał obłędu i został obezwładniony podczas próby wysadzenia magazynów amunicyjnych.

Wzmogło to jego zdenerwowanie, o ile można nazwać zdenerwowaniem uczucie, każące

Rys. Dariusz Wąż

Poniższe opowiadanie jest jego debiutem wydawniczym. Wprawdzie nie jest to żadne z opowiadań, za które uzyskał nagrody, regulamin konkursu zastrzegał prawo pierwodruku dla organizatorów, ale na pewno nie odbiega od nich poziomem.

Szansa

śpieszyć się za wszelką cenę, nim będzie za późno. Długo biegł pośród splątanych korytarzy, aż dotarł do wielkiej, okrągłej sali, wypełnionej błękitnymi ekranami i pulpitami, na których jarzyły się światła sygnalizacyjne. Niektóre ekrany były włączone i spod grubej warstwy kurzu przebłyskiwał obraz różnych fragmentów bronionego odcinka: budynki kontroli ruchu na kosmodromie, radar naprowadzający, bunkier dowództwa...

Usłyszał cichy szelest i monotonny głos dobiegający z głębi pomieszczenia. Spojrzał tam, i dostrzegł leżącego między dwoma pulpitami univera, człekokształtną, metalową kukłę, spopieloną częściowo wystrzałem z pistoletu. Powtarzał on monotonnie:

— Automat bojowy wzywany jest do opuszczenia poziomu specjalnego. Automat bojowy...

Podszedł do pulpitu, w którym ciemniał prostokątny otwór wymontowanej płyty plastiku. Naprzeciw, na miękkim, pianowym fotelu leżał odrzucony niedbale płaszcz, ten sam, który miał na sobie major.

— Automat bojowy wzywany jest do opuszczenia poziomu specjalnego. Automat bojowy oficer...

Nie zwracając uwagi na uszkodzonego univera pochylił się nad wyrwą w pulpicie. Kilka spośród splątanych w niej kabli było przeciętych, a ich końce odsunięto daleko, by nie mogły się przypadkowo zetknąć.

Bezwiednie, odruchowo zaczął je łączyć ze sobą. Złośliwe, miedziane węże sprężyście wracały do swego wygiętego kształtu. Udało mu się złączyć tylko dwa, gdy nagle największy z ekranów, dotąd ciemny, rozjarzył się przyćmioną kurzem czerwienią. Jednocześnie odezwał się głos, dźwięczny i spokojny, jak w takiej chwili może być spokojny tylko głos komputera:

KOMPUTER GŁÓWNY NA WSZYSTKIE PODSTACJE. ALARM. SAMOLIKWIDACJA WEDŁUG PROGRAMU SL. ODLICZAM: SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ...

Chwycił mortyfikator i wybiegł z sali, przesuwając w biegu dźwignię regulatora ładunku do minimum. Korytarz rozbrzmiewał równym, spokojnym odliczaniem, płynącym jednocześnie ze wszystkich stron. Zacisnął palce na broni i nerwowo zaglądał do wszystkich drzwi.

Gdy wybiegł zza kolejnego zakrętu korytarza zobaczył kilkadziesiąt metrów przed sobą, w miejscu, gdzie plastikowy tunel rozdwajał się, prostokąt światła. Biegł ku niemu.

TRZYDZIEŚCI OSIEM...

Wpadł do dużej, prostokątnej sali, rzęsiście oświetlonej pulsującą czerwienią. Naprzeciw, przy wielkim pulpicie stał odwrócony do niego plecami mężczyzna w mundurze. Przy jego nogach, w kwadratowym otworze uniesionej z podłogi klapy lśnił srebrzysty uchwyt wyciągniętej wysoko dźwigni.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM...

Oficer przy pulpicie odwrócił się gwałtownie, zaniepokojony tupotem ciężkich wojskowych bucior6w. Niemal jednocześnie sięgnął ręką do kabury.

W tym momencie wycelowany w niego mortyfikator szarpnął się w dłoniach kapitana, wypluwając anemiczny, świetlisty promień, który trafił majora w pierś. Ten, niczym uderzony potężną pięścią uniósł się na pół metra w górę, upadł ciężko na pulpit i powoli zsunął się po nim na podłogę. Minimalny ładunek nie mógł zabić, ale wystarczył dla obezwładnienia na dłuższy czas. Kapitan podbiegł do pulpitu i pochylił się nad otwartą klapą.

TRZYDZIEŚCI CZTERY...

Metalowy, połyskujący pręt wyciągnięty był ze swego łożyska. Od ziemi do wysokości chyba trzydziestu centymetrów pokrywał go czerwony lakier, świadczący, że ta jego część powinna się znajdować pod wyścielającą kwadratową niszę warstwą czerni...

Przywołał z pamięci wszystkie posiadane wiadomości z cybernetyki i konstrukcji baz komputerowych. Wyciągnięta dźwignia spowodowała impuls, który popłynął do centralnego bloku komputera i zanalizowany tam, został przekazany do jednego z trzech podzespołów wykonawczych, prawdopodobnie do zespołu NQ, gdyż ten był przeznaczony do realizacji decyzji o zasadniczym znaczeniu dla bazy. Z zespołu NQ impuls mógł być przekazany tylko do detonatorów w centralnym reaktorze i, być może, w magazynach amunicyjnych. Z chwilą, gdy minie przepisowe sześćdziesiąt sekund od wyciągnięcia dźwigni zespół przekaże sygnał do detonatorów.

Przypuszczał, że nie było przewidziane odwoływanie rozkazu samolikwidacji. Może się zresztą mylił, może któryś z setek przycisków i dźwigni, znajdujących się na pulpitach służył właśnie do tego, ale znaleźć go, i to w ciągu kilkunastu sekund było niemożliwością. Jedynym wyjściem było zniszczenie zespołu NQ.

DWADZIEŚCIA DWA...

Nigdy by nie przypuszczał, że tak dobrze zna się na budowie komputerów. Prawdopodobnie wiadomości te wchodziły w skład nadzwyczajnej rezerwy pamięci i dopiero teraz, odblokowane silnym bodźcem pojawiły się w jego mózgu. A może znajdowały się w normalnych polach pamięciowych?

Płomieniem mortyfikatora rozpruł pulpit i, tnąc głęboko w mechanizmie mózgu, przeciął wyjście z bloku głównego do podzespołów wykonawczych. Gdyby tego nie zrobił, zadowalając się tylko odcięciem NQ od kanału informacyjnego, impuls skierowany do detonatorów wróciłby do bloku głównego i dotarł do celu okrężną drogą, przez któryś z dwóch pozostałych podzespołów.

PIĘTNAŚCIE...

Wewnątrz, na wejściach kanału informacyjnego gruba żaroodporna płyta, będąca pancerzem przed ewentualnymi przeciekami przewodu energetycznego. Odłożył mortyfikator i zaczął odkręcać nakrętki uformowane w wygodne uchwyty. Stawiały duży opór, musiał użyć do tego całej swej siły. Odkręcił dwie pierwsze przy trzeciej rozciął sobie palec lewej ręki o wystający narożnik płyty. Czwarta śruba trzymała się mocno, nie było mowy o ruszeniu jej z miejsca...

SIEDEM...

Ujął palcami ostrą krawędź płyty i z całej siły zaczął ją ciągnąć ku górze. Twardy materiał nie ustępował. W końcu, przy ostatniej, trzymającej płytę śrubie pojawiła się ciemna rysa, odgradzająca przytwierdzony do ramy komputera narożnik i płaszczyzna zaczęła się powoli unosić. Jednocześnie jeden z jej narożników przesunął się ku dołowi, trafiając w przewód zasilający. Przez tworzywo płyty ładunek dotarł do odsłoniętych przez opadnięty płat skóry przewodów w palcu. Oślepiający błysk, lewa ręka zwisła bezwładnie wzdłuż ciała.

CZTERY...

Zdrową ręką ściągnął z pulpitu mortyfikator i skierował jego ogień w ciemną szczelinę pod uniesioną płytą. Miał osiemdziesiąt procent szans, że uda mu się w ten sposób przeciąć połączenie kanału informacyjnego z blokiem NQ. Trzask, syk, spod płyty buchają kłęby cuchnącego dymu i ogień. Zacisnął palec na spuście i trzymał go tak, dopóki komputer nie zakończył odliczania.

ZERO...

Puścił spust i wyjąwszy lufę mortyfikatora ze strumienia dymu zbliżył się do leżącego nieruchomo ciała dowódcy.

★ ☆ ★

— Sprawa była jasna od samego początku — stwierdził dowódca półkompanii saperów, opierając się jedną ręką o ścianę bunkra. — Wyrok mógł być tylko jeden.

Kapitan skinął tylko głową, usiłując poruszyć zesztywniałą ręką.

— Ciekawe, cholera, co się dzieje... To już drugi taki wypadek...

— Nie mam pojęcia. Sąd polowy już wydał wyrok?

— Tak. Ale przed rozłączeniem i degradacją major ma jeszcze prawo do ostatniego życzenia... i do wyboru następcy. Dlatego tu jestem.

— Nie rozumiem.

— Chce z tobą rozmawiać. Jeszcze nie powiedział, kogo wyznacza na swojego następcę.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy. Idź, zastąpię cię na stanowisku.

Dojście do bunkra dowództwa zajęło mu dwie minuty. Za pokrytymi trawą drzwiami powitał go oficer sztabowy. Bez słowa sprowadził go kilka poziomów niżej.

— Wiecie, o co chodzi? — spytał gdy zbliżali się do drzwi celi.

— Tak.

Szeregowiec przy drzwiach na ich widok wyprężył się na baczność, przyciskając dłoń do czapki.

— Spocznij. Otwórzcie drzwi.

Dotknięcie kluczem do błyszczącej stali zamka. Drzwi rozsuwają się z cichym szelestem.

Wszedł do celi i zasalutował. Major siedział w fotelu, w rogu pomieszczenia, z rękami założonymi na piersiach.

— Spocznij — powiedział.

Drzwi zasunęły się cicho.

— Przysługuje mi prawo obrania swego następcy. Postanowiłem, że ty nim będziesz. Zanim jednak obejmiesz dowództwo, chciałem ci coś powiedzieć.

Podniósł się z fotela i podszedł do stojącego nieruchomo kapitana.

— Byłem dowódcą kosmodromu C przez dziesięć lat. Jako jedyny żołnierz w stopniu wyższym od kapitana miałem dostęp do pamięci centralnego komputera. Po mojej degradacji ty zostaniesz awansowany do tego stopnia, ale chcę oszczędzić ci trochę czasu, który zajęło mi dowiedzenie się o tym wszystkim. A nie mogę też sobie odmówić przyjemności powiedzenia ci tego wszystkiego osobiście. To zabawne uczucie... Ale cóż, jesteśmy bądź co bądź doskonałymi kopiami ludzi.

Tak, kapitanie. Jesteś automatem, tak samo jak ja i jak my wszyscy. Ludzie odlecieli już dawno, zapomnieli o nas, a my wciąż usiłujemy toczyć jakąś ich idiotyczną wojnę o kolonię. Nie wiem, dlaczego odlecieli. Może dostali jakieś pilne wezwanie ze swej rodzinnej planety? Albo po masowym używaniu broni jądrowej i biologicznej nie mogli już tu przebywać? Nie wiem, odlecieli i już. Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego wróg stoi wciąż na tych wzgórzach, choć mógłby nas zmiażdżyć jednym uderzeniem? On też czeka na rozkazy.

Major spuścił głowę, i splótłszy ręce na karku zaczął nerwowo przechadzać się po celi.

— Na szczęście dano nam możliwość samodoskonalenia się. To jedyna szansa, ale kiedy to już nastąpi.... każdy z nas stwierdzi z przerażeniem, że dano mu do podjęcia tylko jedną decyzję. Mój poprzednik, który przejął dowództwo od odlatujących ludzi, potrzebował na to siedemnastu lat. Ja tylko dziesięciu. Myślę, że tobie nie zajmie to więcej niż pięć lat. Myślisz na pewno, że uda ci się znaleźć jakieś inne wyjście, ale nie łudź się tym.

Podszedł do swojego fotela.

— Wkrótce mnie rozłączą. Zniszczą mi pamięć, zmienią wygląd i zdegradują do stopnia szeregowca... Możesz już iść.

— Jeszcze jedno! — zawołał, gdy kapitan zbliżył się już do drzwi. — Wiedz jeszcze o tym, że w sumie jesteś tylko programem. Wszystko, co wydaje ci się być twoją własną myślą, twoją decyzją, to tylko przekłamania tego co zapisano ci w mózgu wiele lat temu. Zdążyłem poznać z grubsza programy wszystkich moich oficerów... Dlatego wiem dobrze, co zrobisz za kilka lat.

Szare drzwi rozsunęły się posłusznie. Bez słowa wyszedł z celi i nie patrząc na nikogo ruszył schodami ku górze, ku zamaskowanej na kształt pagórka kopule bunkra. Skinieniem głowy pożegnał sztabowców i wyszedł w jaśniejącą już u wschodu noc. Szedł powoli ku nabunkrzonym okopom i dopiero po dłuższym czasie zauważył, że bezwiednie gładzi pieszczotliwie palcami chłodną stal spustu ciążącego mu na ramieniu, gotowego do strzału mortyfikatora.

VIII 1981

BLASKI I NĘDZE SCIENCE FICTION (6)

Zarządziłem sam sobie przerwę, zbyt zapatrzony w telewizor, aby o czymkolwiek innym myśleć; cóż, sympatycy fantastyki są też tylko ludźmi i tylko kibicami... Czas jednak kończyć ten przydługi cykl, pozwalając, aby wreszcie zabrali głos inni, przede wszystkim polscy autorzy — jeden, interesujący chyba debiut, znajdą czytelnicy obok — a także i teoretycy gatunku. Współpraca z warszawskim SFAN-CLUB i związaną z nim grupą autorską TRUST rozwija nam się dobrze, mamy już sporo materiałów, jeszcze więcej zapowiedzi, zarazem przed nikim innym nie zamykamy drzwi, lojalnie zapowiadając wszakże, że poprzeczkę będziemy ustawiać możliwie wysoko...

Jeżeli SF ma pozostać „przygodą ludzi myślących", jak to ładnie Lem określił — a wierzę, że taka szansa wciąż przed nią stoi — nie może grzęznąć w literackim getcie, szukając taniego czytelniczego sukcesu. Musi być to literatura zwrócona nie tylko ku technice przyszłości, ale przede wszystkim ku człowiekowi przyszłości, z pewnością cokolwiek innemu niż człowiek dzisiejszy, bo wobec innych stawianemu problemów.

Naiwnych bajd o kosmicznych piratach, kosmicznych traperach, kosmicznych konsorcjach i kosmicznych tyraniach — bajd wyeksploatowanych bez reszty w romansach i „literaturze groszowej", już co najmniej od XIX wieku zalewającej rynek taśmową produkcją — otóż podobnych bajd nie tylko nie warto pisać, ale nie warto ich także tłumaczyć, poza jakże rzadkimi wyjątkami, gdy imponują przynajmniej sprawnością narracji i oryginalnością pomysłu.

Zarazem autor — fantasta, jak sądzę przynajmniej, pamiętać winien, że to on być może jest twórcą pierwszej książki, którą ktoś spoza kręgu „nałogowców" do ręki weźmie. Winien tedy — najlepiej w toku samej opowieści — podać czytelnikowi „parametry kreowanego świata", nie odwołując się machinalnie do wzroców, schematów już zakodowanych w pamięci.

Ray Bradbury po jednej stronie oceanu, a Kiryl Bułyczow — przynajmniej w swoich najlepszych opowiadaniach — po drugiej, są właśnie pisarzami, których można czytać „po raz pierwszy", to znaczy nie znając dziesiątków i setek książek poprzednich.

Raz jeszcze przypomnę Verę Graaf:

„Większość" jednakże owych „addits" (nałogowców) *regularnie czyta science fiction i jest dokładnie poinformowana o wszystkich, tak starych, jak i nowych, publikacjach tego gatunku. Jest to po trosze koniecznością, ponieważ związki między poszczególnymi utworami są w literaturze science fiction bardzo ścisłe; duża część opowiadań tworzy — jak już wspomniano — jak gdyby piętra tej samej budowli. Może to doprowadzić do tego, że czytelnik, który nie przeczytał kilku utworów o określonej tematyce lub opuścił jeden odcinek, zupełnie straci kontakt z treścią."*

To niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo dobrowolnego zamknięcia się w getcie, którego nikt spoza kręgu getta nie odwiedza i które własnym li tylko żyje życiem — jest niebezpieczeństwem realnym, stale więc trzeba o nim pamiętać.

Prócz sprawności zapisu i świeżości pomysłu — są to bowiem wymogi dla całej literatury wspólne — żądałbym nadto od fantastyki „logicznej spójności", trudnej sztuki konsekwentnego przestrzegania raz przyjętych założeń.

Klasyczna angielska powieść kryminalna wprowadziła dekalog „zasad etycznych" obowiązujących autora — nie wolno na przykład używać „tajemnych drzwi", których nikt, z policją włącznie, odkryć nie zdoła. Podobną listę zakazów można zapewne i dla literatury SF ułożyć, poczynając od zakazu oszukiwania czytelnika. Zrozummy się dobrze: można owego czytelnika nabierać, prowadząc go umyślnie fałszywym tropem, pewna logika wszelako obowiązuje, ktoś jest człowiekiem, ktoś robotem, ktoś inny formą pośrednią — cyborgiem. Doczytawszy do końca mamy prawo wznowić lekturę i sprawdzić, czy zmierzając do pointy autor naszego zaufania nie nadużył, oświadczając nagle na stronie przedostatniej, że we wszystkie te byty wcielał się pijany krasnoludek, o którym przedtem aniśmy słyszeli.

Dla żartu wprawdzie i tak począć sobie niekiedy można, gorzej jednak, gdy podobne bredne trafiają się również i w prozie „sierioznej", a pracowicie hodowany „geniusz kosmosu" zachowuje się przez cały tok akcji jak niezbyt rozgarnięte dziecko, czyli na miarę intelektu twórcy. Tu uwaga poniekąd dygresyjna: geniuszy w ogóle ryzykownie tworzyć, bo autorzy tuzinkowi rzadko kiedy tę genialność potrafią udokumentować, czerpiąc — jak to się mówi — z głowy czyli z niczego.

W opowiadaniach SF — a jest to gatunek dla całej fantastyki podstawowy, powieść, dobra zwłaszcza, trafia się o wiele rzadziej — spodziewamy się wreszcie na koniec czegoś smakowitego, mianowicie: pointy.

Iżby dłużej nie teoretyzować, inni zrobią to zapewne lepiej, przytoczę dłuższy fragment opowiadania Fredrica Browna „Przedstawienie kukiełkowe" (tekst tłumaczył Lech Jęczmyk, cytuję za „Iskier" almanachem fantastyczno-naukowym z roku 1970), które zawiera najlepszą pointę, jaką zdarzyło mi się spotkać, choć — co zrozumiałe — jest to również sprawą gustu.

Otóż w amerykańskim stanie Arizona od strony pustyni wchodzą do małej osady: osiołek, poszukiwacz złota i dziwaczny, trzymetrowy, człekokształtny „strach", w kąpielówkach koloru chabrowego, a skórze jak czerwone, świeże mięso.

Strach przedstawia się jako minister pełnomocny Związku Galaktycznego, właściciel baru ściąga brata pułkownika z pobliskiej bazy wojskowej i zaczyna się rozmowa — egzamin, która w przypadku pomyślnego wyniku ma przynieść Ziemi niesłychane korzyści.

Ambasador stwierdza, iż zbadał już stopień ksenofobii Zjemian, obawy przed obcymi i choć wie, że budzi w nich obrzydzenie, fakt iż nie został zaatakowany pozwala mu tę część egzaminu uznać za zdaną pomyślnie.

Dalej cytuję:

„— Czy są jeszcze jakieś inne egzaminy?

— Jest jeszcze jeden. Myślę, jednak, że nadszedł już czas, aby... — i nie kończąc zdania chudzielec przewrócił się na plecy i zamknął oczy.

Pułkownik zerwał się na równe nogi, podszedł do leżącego jak długi nieziemca, przykląkł i przytknął ucho do jego krwawiącej piersi.

Kiedy podnosił głowę, Dade Grant, stary poszukiwacz złota roześmiał się.

— Serce nie bije, panie pułkowniku, gdyż on nie ma serca. Mogę go wam zostawić na pamiątkę i zapewniam was, że znajdziecie w jego wnętrzu dużo ciekawych rzeczy. Tak jest, panowie, to była tylko kukła, która spełniła swoją rolę i została wyłączona. Może pan wrócić na swoje miejsce, pułkowniku.

— Ale po co to wszystko? — spytał osłupiały pułkownik siadając z powrotem.

—Dade Grant zdzierał właśnie brodę i wąsy. Potem przetarł twarz chustką, usuwając resztkę charakteryzacji, spod której ukazał się przystojny, młody człowiek.

— To co on powiedział, czy też raczej to, co ja wam powiedziałem przez niego, jest prawdą. Jest on tylko kukłą, lecz jest to dokładna kopia przedstawiciela jednej z rozumnych ras naszej galaktyki. Nasi psychologowie uznali, że ta właśnie rasa, jako wywołująca największe obrzydzenie, będzie najlepszym sprawdzianem waszej ksenofobii.

(...)Pułkownik westchnął z wyraźną ulgą.

— Muszę przyznać, że od razu poczułem się lepiej. Oczywiście będziemy musieli znieść obecność przedstawicieli innych ras człekopodobnych, kiedy zajdzie tego potrzeba. Odczułem jednak ulgę dowiadując się, że panującą rasą w galaktyce są jednak ludzie. Na czym polega następny egzamin?

— Właśnie teraz go zdajecie. Możecie mnie uważać za drugą kukiełkę. Myślę, że nadszedł już czas...

Rzekomy poszukiwacz złota przewrócił się na piasek i zamknął oczy, tak jak poprzedni kolorowy głodomór.

Osiołek uniósł głowę i wsunął ją w krąg siedzących ludzi.

Na tym kończy się przedstawienie kukiełkowe, panie pułkowniku — powiedział. — A teraz może zechce mi pan bliżej wyjaśnić, dlaczego cieszył się pan, że rasą panującą są ludzie i co to w ogóle znaczy „rasa panująca".

Świetne, prawda, z tym dodatkowym pieprzykiem, że słowa te napisał bądź co bądź Amerykanin, przedstawiciel jednej z najbardziej aroganckich nacji na kuli ziemskiej. Wiedział więc, do kogo pointę odnosi: do swoich współziomków.

I na tym już skończę, życząc młodym adeptom fantastyki wielu pomyślnie zdanych czytelniczych egzaminów, wyjścia z literackiego getta, sukcesów, fortunnego kontynuowania „przygody ludzi myślących" w której acz odtąd już tylko biernie, będę brał udział ze szczerą przyjemnością.

JERZY PANASEWICZ

Kim sa teraz?

ADAM KOWALSKI

Adam Kowalski jest emerytowanym nauczycielem, autorem wydanego w 1969 roku przez Wydawnictwo Łódzkie „Pamiętnika nauczyciela". W książce tej autor opisuje swoją konspiracyjną działalność nauczycielską w czasach okupacji hitlerowskiej. Już po wydaniu książki zrodziła się u niego myśl zorganizowania spotkania z uczniami tajnych kompletów. O tym, jak do tego doszło, jak szukano byłych uczniów, napisał w drugiej części pamiętnika, który zatytułował „Epilog, czyli FINIS CORONAT OPUS" — koniec wieńczy dzieło. Publikowane obecnie fragmenty pochodzą z drugiej części pamiętnika. Skróty pochodzą od redakcji.

Przez wiele lat po okupacji, mimo codziennych zajęć i różnego rodzaju kłopotów, gnębiła mnie uporczywa ciekawość, co się stało z moim tłumkiem dziecięcym, jaki los spotkał moich okupacyjnych uczniów? Kim są teraz bohaterskie dzieci i młodzież okupacyjna, umiejąca „się uczyć" i jaki jest ich współudział w życiu Polski Ludowej?...

Wiem, że Zygmunt Kortylewicz, największy w klasie chłopiec, zginął bohatersko w partyzantce. W szkolnym przedstawieniu „Baby Jagi" grał króla, królową zaś kreowała Zosia, którą ojciec, Niemiec, siłą zaprowadził do niemieckiej szkoły. Dzielnym królewiczem był mój Jutek, który wykradł piękną królewnę (Rysię Martinkównę) z okrutnych szponów Baby Jagi. Rolę tytułową po mistrzowsku grała Wandzia Trzepałkowska, Tadek Milczarski wraz z trzema innymi kolegami był ważnym, złotoluskim rycerzem w orszaku królewskim. Inni znowu, jak Zofia Kowalska, Marysia Opłatkówna, Jadzia Pawłowska, Zosia Szusterówna, Krysia Sobierajska i Hania Zdzieszkówna odwtarzali dalsze role na równi z tymi, którzy we wrześniu 1939 roku wylądowali w szkołach niemieckich lub Łódź opuścili z różnych względów.

Ci to właśnie wymieniani odtwórcy ról ostatniego przed wybuchem wojny i najwspanialszego widowiska szkolnego stanowili pierwszy narybek moich kompletów tajnego nauczania i byli cichymi propagatorami kompletów, które przeistoczyły się w stosunkowo dużą szkołę konspiracyjną.

Jedynym z aktorów tej sztuki, który nie uczył się w kompletach, a o którym trzeba wspomnieć, był syn nauczyciela, chłopiec „nie z tej ziemi", Wacek Dybowski. Grał trudną rolę Wielkołba, syna Baby Jagi, kretyna, niepospolitego żarłoka, pokrakę fizycznego i umysłowego. Dla niego to Baba Jaga wykradła piękną i dobrą królewnę. Kiedy Niemcy w roku 1939 zamknęli polskie szkoły, Wacek, który zawsze starał się chodzić własnymi drogami, nie chciał się uczyć w kompletach, poszedł... do krawca na praktykę. O swoim nowym pracowniku mistrz igły wyrażał się jedynie w superlatywach.

Po pewnym czasie Wacek zginął z widowni. A nieco później opowiadano sobie na ucho, że wstąpił do jakiejś organizacji hitlerowskiej i po ulicach paraduje w czarnym mundurze i ze swastyką na rękawie. Zaś jeszcze później fama przyniosła nową, tym razem dobrą wiadomość, że w jakiś cudowny sposób Wacek uratował dziesiątki Polaków w czasie odwrotu Niemców z Kaukazu.

W dwadzieścia lat po wyzwoleniu przed domem przy ul. Zachodniej 76 zatrzymał się raz szkarłatny, zagraniczny samochód.

— Wacek?!?...

— Pan ochrzcił mnie „Wielkołbem" — przypomina mi się z uśmiechem. — Tylko w jednej sztuce grałem u pana na Podmiejskiej, ale to, kim jestem, tylko panu zawdzięczam. — Wykołowałem Niemców — opowiada mi w telegraficznym skrócie. — Skończyłem w Londynie szkołę średnią i teatralną, jestem śpiewakiem estradowym. Ożeniłem się z Angielką, która jest pianistką. Mamy dwoje dzieci i własny domek. Wędrujemy często po Wyspie i dajemy koncerty w ośrodkach polonijnych. W Anglii się wprawdzie zaaklimatyzowałem, ale tęsknota przygnała mnie do Polski. Chciałem zobaczyć rodzinę... i pana. W niedalekiej przyszłości chciałbym pokazać Polskę także mojej żonie i dzieciom. Chciałbym też przy okazji zaśpiewać w warszawskiej telewizji...

Przedwojennych uczniów, a zwłaszcza tych, którzy kontynuowali naukę w moich kompletach, nie zapomnę nigdy. Często też ważyłem w myślach nieśmiało plan spotkania. Mijał jednak czas i mój plan upadał stopniowo, aż w końcu uznałem go za nierealny i utopijny.

Tymczasem Komisja Historyczna ZBoWiD postanowiła opracować historię tajnego nauczania w Łodzi i województwie jako historię ruchu oporu przeciwko okupantowi i zaczęła organizować spotkania nauczycieli i uczniów, uczestników tajnego nauczania.

Traf chciał, że na jednym spotkaniu zjawił się mój okupacyjny wychowanek, aktualnie dr inż. Józef Spirnek, pracownik Politechniki Łódzkiej i zaproponował spotkanie z bohaterami „Pamiętnika nauczyciela". Utworzył komitet organizacyjny, w skład którego zaproszono również, niby „Komitet Rodzicielski" — matki, mieszkające na Górnej, gdzie najintensywniej działała moja okupacyjna szkoła. Do Komitetu weszły: Teodora Bocheńska (syn — notariusz), Zofia Kustosikowa (syn — kierownik spółdzielni), Helena Prajs (córka — nauczycielka), p. Sosińska (córka — lekarz, synowie mają ukończone wyższe studia techniczne), Eugenia Trzepałkowska (córka — lekarz), Władysława Walczak (córka — wicedyrektor cukrowni) oraz w późniejszym okresie doszedł jedyny z ojców, Mieczysław Nowak (córka — mgr chemii).

Początek jest trudny. Mało poszukiwanych zgłasza się listownie, mało też osobiście. Na szczęście zachowałem dotąd pełny spis uczniów. Na każdym zebraniu członkinie naszego komitetu wynotowują sobie po kilkanaście okupacyjnych adresów i mimo bardzo nie sprzyjającej aury, w porze zimowej 1970 roku, odbywają bohaterskie wędrówki po chojeńskich zakamarkach.

W lwiej części były to adresy prowizoryczne, tymczasowe, wojenne. Trafił się jednak czasem zasiedziały lokator — ojciec, częściej matka lub ktoś z krewnych. Ale po uczniach ani śladu.

Nawet i ja, mimo, że mieszkam aktualnie w innej dzielnicy, wybieram się czasem w teren. Znam przecież labirynty ulic i uliczek chojeńskiego przedmieścia.

Mieszkania przy Piasecznej są przeważnie głuche na moje pukanie. Starsi w pracy, dzieci w szkole. Pod numerem 15 rodziły się moje pierwsze komplety w maleńkim, sublokatorskim pokoiku. Moim gospodarzem byli państwo Palińscy. Teraz pani Palińska, wdowa, informuje mnie, że córka Jadzia, magister biologii, pracuje na Śląsku. Notuję jej adres.

Piaseczna 11. Uroczystość rodzinna u Zdzieszków.

— O, Hania pod koniec okupacji zmarła na gruźlicę...

Przy Podmiejskiej 10 natrafiam na jeden adres: Hatich.

— Wyszła — informują mnie lokatorki przez szparę w uchylonych drzwiach.

Rzgowska 64. W parterowym drewniaku zastaję Krysię Niewiadomską. Pracuje w dużych zakładach jako główna księgowa. Jest na zwolnieniu z powodu przeziębienia. Brat Bolek jest jubilerem. Najmłodsza Basia jest lekarzem w Gliwicach. Od kilku lat Krysia jest wdową i ma syna Andrzejka, ucznia technikum. Chłopiec zwraca się do mnie:

— Proszę mi dać kilka adresów, to podskoczę, zasięgnę informacji i wynotuję...

Lokatorska 7. Tu mieszkała Jasia Andrzejewska u wujostwa Krawczyków. Wiejska, bardzo uzdolniona dziewczynka. Siedziała w więzieniu razem z ciotką. Nowi lokatorzy wiedzą tylko, że Krawczykowie z Jasią wyjechali na Ziemie Zachodnie.

Ulica Szenwalda 8. Pukam do drzwi Janickich.

Pokoik z kuchnią. Przedstawiam się i podaję cel mojej wizyty.

— To pan uczył mojego brata. Ogromnie się cieszę, że pana poznałem. Andrzej jest lekarzem w Bielawie koło Dzierżoniowa i przenosi się do Warszawy. Ucieszy się i na pewno przyjedzie na spotkanie. Zaraz do niego napiszę.

Do mieszkania Pietrzaków pukam kilka razy bezskutecznie.

Szenwalda 3. Przedwojenny adres Wieczorków, przybranych rodziców Jasi Musiałowskiej. Lokatorzy informują mnie, że Wieczorkowa nadal tu mieszka i pokazują jej mieszkanie w podwórzu. Ale jest zamknięte.

Teraz ulica Korzeniowskiego. Pod numerem 13 mieszkał mój okupacyjny uczeń, Mietek Głaszcz, który w roku 1945 zginął od odłamka w czasie wyzwalania Łodzi. Wiedziałem, że jego rodzice też już nie żyją. Ale na drzwiach wizytówka: „Głaszcz". Dzwonię. Gospodarz mieszkania zna mnie. Jest starszym bratem Mietka. Pomaga mi zdjąć wierzchnie okrycie i sadza przy stole. A ja oczom własnym nie wierzę: na stole leży mój „Pamiętnik nauczyciela".

— Ja też jestem nauczycielem — tłumaczy się jakby nieco zażenowany.

Opowiedziałem mu o swoich tarapatach.

— Proszę mi dać nazwiska, a ja spenetruję ulicę. Ja tu znam prawie wszystkich. O, Rysiek — to mój kolega. Mieszka teraz w okolicy Ronda Titowa. Spotykam się z nim. Innych nazwisk nie znam właściwie, ale popytam się.

Ulica Smocza. Pani Kustosik, której szukam, mieszka obecnie w blokach przy Bednarskiej. Bliziutko. Pamiętam, jej mąż zginął we Wrocławiu. Pamiętam wdowę, wynędzniałą, w żałobie, wyglądającą jak uosobienie smutku, gdy wtajemniczała mnie w swoją tragedię.

— Ale skąd pan znał szczegóły, które pan tak dokładnie opisał w pamiętniku? — pyta teraz.

— Przecież pani mi to wszystko sama opowiadała.

Z szuflady wyjmuje teraz fotokopię czerwonego afisza. Są na nim nazwiska 15 straconych, a między nimi nazwisko jej męża.

— Przechowuję to jak wielką relikwię — mówi — a pan nie wie, co ja potem jeszcze przeżyłam... Boże... Dostałam dwa razy wezwanie na badania w Kochanówce. Znajomi kazali natychmiast uciekać, bo Niemcy chcą mnie wykończyć. Co ja się potem naponiewierałam po Gubernatorstwie.. Mój Władek nie został prokuratorem, jak zamierzał, bo go zabrałam ze sobą, ale i tak zajmuje dzisiaj poważne stanowisko w Łodzi.

Numer 5 przy ulicy Tuszyńskiej. Tu miałem od czasu do czasu lekcje, na których uczyła się Ewa Walczak. Poznaję dom i jednopokojowe, przedwojenne mieszkanie.

— Ewa pracuje we Wrocławskiem — mówi jej matka. — Ucieszy się i na pewno przyjedzie na spotkanie. Zaraz jej napiszę.

Mieszkanie Pietrzaków przy Szenwalda nadal zamknięte na mur. Ale znalazłem przy trzecim staruszkę Wieczorkową.

— Mój mąż nie żyje od dawna — mówi — a Jasia wróciła z Niemiec po wojnie, wyszła za mąż i mieszka teraz w Szczecinie.

Notuję skrzętnie adres, dziękuję i wydostaję się z mroczniej izby na powietrze.

Ciągnę się przez Czerwony Rynek w stronę Podmiejskiej. Drzwi Hettichowej w dalszym ciągu zamknięte.

Teraz ulica Krzywa. Muszę odwiedzić trzy mieszkania. W spisach znajduję te same nazwiska. Cieszę się, że Lonia Hrabska jest lekarzem dentystą w Warszawie. Jej ciotka podaje mi adres. Leszek Leszczyński też mieszka w stolicy — jak mówią lokatorzy. Jego matka jest nieobecna. Zastaję natomiast matkę Mietka Dąbrowskiego, ale on zmarł na serce. Przy tym dowiaduję się, że Krysia Nowakówna i Krysia Szymkiewicz już jako studentki Uniwersytetu Łódzkiego zginęły w wypadkach samochodowych.

Śmierć zawzięła się na moich uczniów. Już siedmioro nie żyje.

Z niechęcią jadę na ulicę Kilińskiego 182. Jedyny adres przy tej ulicy. Tam mieszkała Wandzia Janeczek. Zastaję całą rodzinę w komplecie — prócz Wandzi.

— Wandzia pracuje w telewizji, powinna już być w domu — objaśnia mnie jej mama. — Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Pradze Czeskiej. Mój Boże!... Tyle lat od tamtych czasów, a jak się je dobrze pamięta. Często wspominaliśmy pana. Uczył pan na kompletach u nas, albo u mojej siostry w oficynie... Ja wtedy zawsze stałam na dole... na posterunku. Niech pan sobie wyobrazi, że z tych czasów zachował się jeszcze woreczek, przeze mnie uszyty, w którym Wandzia nosiła pod bluzką książki i zeszyty na tajne komplety.

Po tej wędrówce lista adresów wzbogaciła się o siedem nowych. I na tym stanęło. Zbliżaliśmy się pomału do końca. Jeszcze zwracałem się do Biura Ewidencji Ludności i uzyskałem tą drogą tylko adres Krysi Nowakówny, która — wbrew plotce — należy do grona osób żyjących. Po pięciomiesięcznych *trudach* postanowiliśmy zakończyć pracę. Zamknięta lista wykazywała 118 aktualnych adresów i nazwisk. Liczba ta stanowiła 47 procent wszystkich, którzy przeszli przez moją szkółkę okupacyjną. Termin spotkania ustaliliśmy na niedzielę, 14 czerwca 1970 roku, na godzinę 11. Miejscem spotkania będzie aula IV Liceum im. E. Szczanieckiej przy ul. Nowotki 16.

Jak wychować geniusza

Z włoskiego tygodnika „L'EUROPEO" zaczerpnęliśmy artykuł na temat modnego obecnie na Zachodzie wychowywania czy raczej „hodowania" dzieci na geniuszy, a w każdym razie osoby wybitne. Artykuł, który prezentuje metodę kształcenia(?) muzyków-wirtuozów, poczynając od... życia płodowego, zasługuje na zainteresowanie, choć sama „metoda" wydaje się co najmniej dyskusyjna.

Nienagannie, jak doświadczona profesjonalistka, Monika Witt kłania się przed grupą obecnych; potem usiadłszy przy fortepianie i po wybraniu odpowiedniej pozycji wykonuje sonatinę Beethovena. Gra zdecydowanie, z uczuciem i radością, a wykonanie jest niemal doskonałe. Niepewności w niektórych pasażach są w pełni usprawiedliwione: Monika odbyła jedynie jedną próbę i ma zaledwie pięć lat. Utwór powtórzyła z pamięci, ponieważ nie umie jeszcze czytać ani pisać i nie zna znaków pięciolinii.

„Spośród moich piętnastu uczniów — mówi przedstawicielowi L'EUROPEO nauczycielka, Michiko Yurko z Rockville (Maryland) — jest ona najbardziej uzdolniona i obiecująca. Jestem pewna, że stoi przed nią piękna muzyczna kariera. Uczestniczyła już w różnych konkursach, łącznie z konkursem zorganizowanym w ubiegłym roku przez uniwersytet Massachusetts, w Amherst, z okazji kongresu nauczycieli „metody Suzuki". Uczestniczyło w nim 33 uczniów w wieku między 4 a 12 rokiem życia, pochodzących z wszystkich zakątków kontynentu amerykańskiego, z Japonii i Australii. Nie zdziwiłabym się, gdyby w dziesiątym roku życia stała się wirtuozem o międzynarodowej sławie albo doskonałym dyrygentem".

A zatem mały geniusz? Nic podobnego. Geniusze zdarzają się rzadko, podczas gdy przypadek Moniki Witt nie jest w rzeczy samej rzadki: 20—30 procent to szybszy rozwój, pasja i wytrwałość i 70—80 procent — metoda. Właśnie metoda Suzuki. Metoda stworzona przez japońskiego nauczyciela Shinichi Suzuki w przededniu wojny, aby wzbogacić życie dzieci, które bardziej od innych cierpiały z jej powodu. W ubiegłym roku w Genewie trzecia nagroda w Konkursie Paganiniego została przyznana 17-letniemu skrzypkowi, Frankowi Almond, uczniowi szkoły Suzuki z San Diego, kalifornijskiego miasta, położonego na południe od Los Angeles.

Tajemnicą metody jest zacząć wcześnie. W wieku 7—8 lat dziecko już rozwinęło zmysł krytyczny, własną osobowość i jest świadome trudności i trudu wymaganych przez muzykę; a zatem może mieć zahamowania wynikające z obawy, że nie da rady. Należy zatem zaczynać wcześniej i zgodnie z metodą, która przyzwyczai dziecko do „języka" instrumentu zanim jeszcze nauczy się nim posługiwać zgodnie z określonymi regułami. Suzuki doradza zacząć te wprawki począwszy od pierwszych dni życia. Ale są inni, którzy posuwają się dalej.

„Osobiście" — mówi Michiko Yurko — utrzymuję, że pożytecznie jest zaczynać jeszcze wcześniej, począwszy od piątego miesiąca ciąży, tak jak to zrobiłam z moją córką Meredith. Codziennie poddawałam ją prawdziwemu bombardowaniu muzyką barokową i klasyczną, w moim wykonaniu lub odtworzoną. W ósmym miesiącu miałam dowód, że dziecko mogło przyswajać i rozpoznawać muzykę."

A oto jak przedstawiały się fakty. Z powodu podróży, nauczycielka przez pięć dni nie była w stanie grać albo słuchać swych ulubionych utworów Mozarta, Beethovena i Chopina. „W tym czasie dziecko było bardzo spokojne, jakby spało. Piątego dnia zostałam zaproszona na koncert, na którym wykonywano utwory, które wcześniej grałam. Od pierwszych dźwięków dziecko zaczęło poruszać się w moim brzuchu, jakby rozpoznawało muzykę".

Teraz, gdy Meredith ma trzy miesiące, matka spędza codziennie jakiś czas przy fortepianie, trzymając ją na kolanach i dając jej do słuchania utwory nowe i utwory, które dziecko już „zna" i których maleństwo słucha zafascynowane, uważnie śledząc ruchy rąk mamy na klawiaturze i usiłując imitować ruchy palców. Imitacja jest właśnie podstawą metody Suzuki. Podobnie jak w przypadku mówienia, tak i muzyki, niemowlę uczy się imitując to, co mama-nauczycielka mu pokazuje.

Potrzebne są: cierpliwość, elastyczność (każde dziecko reaguje odmiennie), wyobraźnia, dobry humor, entuzjazm, uczciwie pozytywna postawa. Nauczyciel Suzuki dysponuje narzędziem pedagogicznym, psychologicznym, społecznym i kulturalnym bardziej niż programem nauki, dążącym do wykonywania utworów muzycznych. Wzywa się także do uczestnictwa rodziców, którzy muszą uczestniczyć w lekcjach obok swych dzieci.

„Obecność rodziców ma cel podwójny" — wyjaśnia Michiko Yurko: dać odczuć dziecku stałą i ośmielającą bliskość ukochanej osoby i uczyć rodziców, jak mają obserwować i pomagać dzieciom podczas pierwszych prób nauki i muzyki. Jakiś utwór muzyczny zostaje wykonany przez nauczyciela i uczeń słucha go wielokrotnie przed próbą zagrania. Przesłuchanie w klasie musi być „wzmocnione" powtarzanymi audycjami: w domu, w samochodzie, gdzie tylko zaistnieje możliwość włączenia magnetofonu kasetowego. „W umyśle dziecka — konkluduje Michiko Yurko — utwór muzyczny zostaje odciśnięty i nie może być zapomniany. Kiedy nauczy się go na pamięć w wersji oryginalnej, mały uczeń musi grać go modyfikując jego strukturę, wnosząc wszystkie zmiany wymagane przez jego wrażliwość".

Trudności są pokonywane stopniowo. Dzieci najmłodsze zaczynają bawiąc się: muzyka zostaje włączona jako nagroda za grę w kolorowe karty. Następnie, realizując program dobrze podzielony (6 etapów dla fortepianu, 10 dla skrzypiec, 5 dla wiolonczeli, 5 dla fletu) dzieci zapoznają się z teorią muzyki i opanowują coraz trudniejsze utwory.

A jeśli dziecko się nie nadaje? Michiko Yurko twierdzi: „Doświadczenie uczy mnie, że prawie nigdy nie chodzi o niezdolność biologiczną. Wszyscy mogą opanować język muzyczny. Dowodzi tego fakt, że istnieją dzieci umysłowo zapóźnione, które nauczyły się bardzo dobrze grać. Niezdolność do zapamiętania i do grania utworu muzycznego jest czasami spowodowana wyraźną skłonnością do odmiennych form wyrazu, względnie temperamentu, który przeszkadza w koniecznej koncentracji, wreszcie przez nauczyciela, który nie umiał zrozumieć dziecka.

Odgłosy Mundialu

Przyszli mistrzowie świata przed meczem z Brazylią. Stoją — od lewej — Dino Zoff, Giancarlo Antognoni, Gaetano Scirea, Claudio Gentile, Fulvio Collovati i Francesco Graziani; klęczą — od lewej — Paolo Rossi, Bruno Conti, Gabriele Oriali, Antonio Cabrini i Marco Tardelli.

Finały

ANDRZEJ MAKOWIECKI pisze z Hiszpanii

1

Przed meczem z Włochami przyjechał do Barcelony Ryszard Kulesza. Podszedłem do niego w biurze prasowym. Zapytałem:

— Niech pan powie szczerze, co pan teraz czuje w głębi serca?

— Radość.

— Bez odrobiny żalu? Przecież mógł pan przyjechać do Hiszpanii jako trener.

— Wie pan, sukces Polski jest w pewnej mierze także moim sukcesem. Niech pan nie zapomina, że włożyłem w ten zespół dwa lata ciężkiej pracy, a wcześniej, przez cztery lata asystowałem Gmochowi. Nie znajdzie pan w dzisiejszej reprezentacji zawodnika, który nie przeszedłby przez moje ręce. To się liczy.

Wierzę Kuleszy. Ma dobrą, sympatyczną twarz i uśmiech pozbawiony zgorzknienia.

— Co za ironia losu — mówię. — Łódzka banda, którą chciano zdyskwalifikować za aferę na Okęciu, wygrywa mecze. Młynarczyk doskonale broni, Boniek jest gwiazdą, a Żmuda wzorowym, świadomym swej odpowiedzialności kapitanem.

— No, widzi pan. A z drugiej strony, gdybym nie bronił ich ze wszystkich sił, taki Boniek czy Młynarczyk mogliby nie zagrać już nigdy w życiu. I Polska też mogłaby stracić kontakt ze światową czołówką na najbliższych dziesięć lat. Pamięta pan, jakie były głosy — wycofać drużynę z eliminacji, nie grać z Niemcami i Maltą, odpuścić sprawę...

— Pan był innego zdania?

— Oczywiście. Wiedziałem już, że mnie zwolnią, a mimo to robiłem wszystko, co możliwe, aby nie pozwolić skrzywdzić tych chłopców i zaprzepaścić dotychczasowych osiągnięć zespołu.

— Jakie były motywy pańskiego zwolnienia?

— Zrobiłem błąd. Byłem zbyt łagodny. Powinienem sam zwolnić parę osób, pozbyć się złych doradców i współpracowników. Ponieważ nie zrobiłem tego w porę, a oni wiedzieli, że noszę się z takim zamiarem, postanowili mnie uprzedzić. Okęcie było doskonałym pretekstem.

— Przyjechał pan z Tunisu?

— Tak. Wycieczkę zafundował mi Tunezyjski Związek Piłki Nożnej.

— Jak się panu pracuje w tym kraju?

— Ciężko. Wystarczy, kiedy powiem, że przez pierwszych sześć miesięcy nie byli w stanie zapłacić mi pensji. Są straszliwie zadłużeni. Wyprawa na Mistrzostwa Argentyńskie i całkiem przyzwoita gra spowodowane zostały ogromnym nakładem kosztów. Za takie pieniądze można dać z siebie wszystko. Ale potem, kiedy nagle pieniędzy braknie, upada również morale drużyny.

— Straszne, ale ten sport jest przede wszystkim biznesem.

— To prawda.

— W każdym razie — ładnie, że puścili pana na Mistrzostwa.

— Tak. Chcieli nawet zrobić to wcześniej, ale miałem do rozegrania mecz z Chinami, nie wypadało mi zostawiać zespołu.

— Co pan sądzi o dzisiejszym meczu z Włochami.

— Obawiam się, że bez Bońka będzie bardzo ciężko.

2

I było ciężko. Okazało się, że bez Bońka zespół stracił całą swoją siłę przebojową, Buncol nie był już tym samym Buncolem, a Smolarek Smolarkiem, zabrakło także skrzydeł Lacie. Tryby przestały się kręcić, od pierwszych chwil widać było, że Polaków toczy niewiara. Potwierdziły się słowa Jana Tomaszewskiego: Żeby wygrać mecz, potrzebne są gwiazdy, iskry, które rozpalają inwencję zespołu. Wielka szkoda, że Boniek nie mógł zmierzyć się z Paolo Rossim. Kto wie, czy nie zostałby wówczas najwybitniejszym piłkarzem Mistrzostw, tym bardziej, że jego największe walory objawiają się właśnie w meczach o wielką stawkę.

Nawiasem mówiąc: Boniek po raz pierwszy chyba grał w tych Mistrzostwach rolę rasowego, środkowego napastnika. A zadecydował o tym przypadek. Kontuzja Iwana zmusiła Piechniczka do przetasowań w składzie. Dziuba wszedł na prawą obronę i już tej pozycji nie opuścił, sprawdzając się zresztą w stu procentach, był ofiarny, pracowity, wspaniały, nawet wtedy, kiedy był poturbowany, trener trzymał go do ostatniego gwizdka. Boniek i Lato poszli do przodu i od tego momentu (mecz z Peru) narodziła się nowa, wspaniała drużyna.

Miałem cichą pretensję do Piechniczka, że nie wystawił Szarmacha przeciwko Włochom. Szarmach nie jest od tego, żeby grać, tylko żeby strzelać. Wpuszczenie go na dwadzieścia minut nie ma sensu. Musi grać mecz, rozbiegać się, rozkręcić; wówczas ciągle jeszcze stać go na wypałowanie każdego bramkarza. Kto wie, jak skończyłby się ten mecz przy udziale Szarmacha.

Tak czy owak, porażka z Włochami nie załamała Polaków. Załamali się natomiast polscy dziennikarze. Większość była już na krawędzi rozstroju nerwowego. Zamiast do Madrytu, musieliśmy łapać pociąg do Alicante z przesiadką w Walencji, tuż po meczu natomiast pobiegliśmy na stację i złapaliśmy express do Madrytu. W sumie, dwadzieścia godzin podróży w tropikalnym bez mała upale. Trzeba mieć żelazne zdrowie, aby to znieść. Miałem tylko jedno pragnienie: znaleźć się w swoim własnym łóżku w Polsce.

3

Francuzi dali sobie wyjąć z kieszeni mistrzostwo lub wicemistrzostwo świata. Nie przypuszczałem, że po dramatycznym meczu z Niemcami stać ich jeszcze będzie na dramatyczny mecz z Polską. A był to piękny i niewiele gorszy mecz.

Jeszcze nim piłkarze weszli na boisko, Dariusz Szpakowski zapytał:

— Widział pan składy?

— Tak.

— Przecież to jest całkiem inna drużyna. O Francuzach myślę. Nawet gdybyśmy z nimi wygrali, sukces będzie pomniejszony. Bez Platiniego, bez Battistona, Giresse'a, Dominique'a, Rochetau...

Platini był poobijany, wykończony, natomiast na Battistonie niemiecki bramkarz, Harald Schumacher, popełnił faul uznany przez prasę za największe chamstwo Mistrzostw. Wszedł w niego z takim impetem, nie wiem już: pięścią, barkiem czy głową, że Francuz został zniesiony na noszach, bez trzech zębów. Inni też nie byli w stanie wystąpić przeciwko naszym piłkarzom — mecz z RFN odebrał im zbyt dużo sił.

Jednakże rezerwy francuskie zachowały się wspaniale, jak przystało na prawdziwych sportowców. Grali z taką samą pasją, jak w poprzednim meczu, przez jakiś czas mieli przewagę, po bramce zdobytej w 14 minucie przez Rene Girarda cieszyli się, jakby grali o złoto. Przy stanie 3:2 dla Polski wyrównanie bez przerwy wisiało w powietrzu, Tigana, zmieniony w 83 minucie przez Sixa, uznany został piłkarzem meczu. Chcieli z nami wygrać. I to jest piękne. Dzięki temu nasz srebrny medal nabrał prawdziwego blasku.

Po podaniu Bońka Szarmach był w tym meczu z obiema nogami i z piłką w bramce, a mimo to nie strzelił, i ku mojemu przerażeniu na marginesie boiska zaczął rozgrzewać się Ciołek. Siedzieliśmy tuż nad krytą ławką trenera i rezerwowych, zaczęliśmy krzyczeć: Nie zmieniać Szarmacha! — Nie sądzę, aby to miało jakiś wpływ na decyzję zdenerwowanego Piechniczka, czuło się, że Szarmach wróci na ławę, i wtedy właśnie strzelił tę wspaniałą, wyrównującą bramkę. Kropnął z biegu, z lewej nogi, tuż przy słupku i Ciołek przestał się rozgrzewać.

Wielka to chwila dla pana Andrzeja. Praktycznie biorąc, przesiedział Mistrzostwa na trybunach, nie licząc niepełnego meczu z Kamerunem. Wrócił, aby rozegrać to ostatnie, najważniejsze, decydujące o medalu spotkanie i jeszcze raz pokazał klasę. To prawda — Szarmach nie jest już po to, żeby grać, tylko żeby zdobywać bramki, a w tej sztuce ciągle jeszcze jest mistrzem.

Reasumując — mecz z Francją był pasjonującym widowiskiem, i kiedy zakończył się, nikt z polskich dziennikarzy nie kaprysił. Piękny był ten akord końcowy, w dużej mierze dzięki dzielnej postawie przeciwników.

4

Finał madrycki na stadionie Santiago Bernabeu rozgrywany był w obecności hiszpańskiej pary królewskiej, Juana Carlosa I i Donii Sofii. Przybyli również: premier Hiszpanii, Leopoldo Calvo Sotelo; prezydent Włoch, Sandro Pertini; kanclerz RFN, Helmut Schmidt oraz wiele innych osobistości — polityków i działaczy sportowych.

W momencie, kiedy Włosi zdobywali gole, król i królowa uśmiechali się promiennie, potwierdzając sympatię, jaką czują wszyscy do Italii. Także trybuny były całkowicie opanowane przez kibiców włoskich; doping zrobił niewątpliwie swoje. I ja cieszyłem się ze zwycięstwa Włochów, aczkolwiek cały czas myślę, że najlepszą drużyną Mundialu była mimo wszystko Brazylia.

O ile Brazylia jest mistrzem techniki, o tyle Italia jest mistrzem udawania. Każdy piłkarz włoski to urodzony aktor, który w każdej chwili potrafi upaść na ziemię i wić się w szalbierczych konwulsjach, że to niby został kopnięty czy uderzony. Gdyby policzyć, ile w ten sposób urwali Włosi z realnego czasu gry, wyszłoby na to, że dwadzieścia lub dwadzieścia pięć minut w każdym „nerwowym" meczu, takim na przykład, jak z Argentyną lub Brazylią. Z drugiej strony, są przecież straszliwymi twardzielami, niektórych obdarzano nawet epitetem boiskowych bandytów. Na myśl o tym, że trzeba wyjść na boisko i grać przeciw Gentile czy Grazianiemu, wielu napastników i trenerów dostaje gęsiej skórki, choć ich włoskie nazwiska mają takie przyjemne brzmienie i grzeczne znaczenie. Głupi ten, co się daje nabrać. Maradona był regularnie katowany przez znacznie starszego od siebie Gentile, który na stawiane mu po meczu zarzuty, odpowiedział: — Futbol, do diabła, nie jest grą dla cnotliwych panienek, tylko dla silnych mężczyzn. — Maradona nie robi wrażenia cnotliwej panienki, jest bojowy, zaczepny, sam też potrafi boleśnie sfaulować, czego najlepszym dowodem może być przestępstwo, jakiego dopuścił się w meczu z Brazylią na Batiście. Oświadczył po nim: — Straciłem nerwy, kopnąłem Brazylijczyka i słusznie wyrzucili mnie z boiska, nie zapominajcie jednak, że dotąd we wszystkich meczach właśnie ja byłem najbardziej faulowany. — To prawda. Gentile przewracał go na każdym kroku.

Co się tyczy Grazianiego, to możecie sobie obejrzeć z bliska bliznę, jaką nosi pod lewym okiem Marek Dziuba, też w końcu twardy i odważny chłopak, który nie pozwala sobie bezkarnie wymierzać ciosów.

Kiedy oglądało się nie na telewizyjnym ekranie, tylko z trybun stadionu mecz Włochy — Brazylia, widać było, jak straszny wysiłek włożyli weń ci pierwsi. Zoff wrzeszczał cały czas na kolegów, jakby wziął go z obory rzeźnik z tępym nożem. Oświadczył później: — Przez cały czas czułem ogromny strach. — Twarze wszystkich włoskich piłkarzy wydawały się tryskać krwią od wysiłku, niektórzy, nie udając tym razem, padali na trawę i nie mieli siły wstać. Brazylia, aczkolwiek przegrała, do ostatniej chwili nie zdradzała oznak zmęczenia, stać ją było jeszcze zapewne na rozegranie w tej samej chwili drugiego meczu.

No, ale zostawmy to wreszcie. W sumie Włosi pokazali wielki hart ducha i szaloną ambicję. Udowodnili również, głównie dzięki Rossiemu, że potrafią strzelać. W pierwszej części meczu finałowego odnosiłem wrażenie, że mają duży kompleks Niemców, potem jednak rozprawili się z nimi gładko.

5

W poniedziałek, 12 lipca, zjawiamy się o godzinie dziewiątej na madryckim lotnisku Barajas — piłkarze, działacze, przedstawiciele ambasady, dziennikarze. Odlot przewidziano na 11.00, ale dopiero z dwugodzinnym opóźnieniem przybywa na lotnisko przedstawiciel Polskich Linii Lotniczych, bez którego samolot nie mógł być odprawiony.

Prawdziwy skandal. Wszyscy są zniecierpliwieni, zmęczeni, nawet najsilniejsi fizycznie zawodnicy przysiadają na bagażach.

Przewodniczący Renke mówi do tego z LOT:

— Jak pan mógł?! Wszyscy wymagacie od piłkarzy, żeby dobrze grali, a potem, w najważniejszym momencie, odpłacacie im taką monetą.

Inny szef ekipy mówi do przedstawiciela wprost:

— Jutro może pan zacząć się pakować.

Wchodzimy na pokład samolotu o 13.00. Pozwolenie na start otrzymujemy dopiero po godzinie, bo na pasach startowych panuje ogromny ruch, setki samolotów odlatują, jeden po drugim, do Włoch, RFN, Stanów Zjednoczonych i wielu innych krajów świata.

Stewardessy opowiadają przez megafon swoje komunały, jak to im miło, i w ogóle, nie podają jednak nic do picia, nie roznoszą żadnych cukierków, bez których głuchnę zawsze na wiele dni po starcie i lądowaniu.

Po dwudziestu minutach niemrawego lotu słyszymy, że samolot ma drobną usterkę, nie może schować jakiejś lotki, w związku z czym musimy wracać na lotnisko. Niektóre stewardessy są jak gdyby trochę blade, inne zdenerwowane. Lądujemy bez przygód, ale od razu wiadomo, że samolot musi iść do remontu.

Zaczynają się kłótnie i niezły zamęt. To chcą nam podawać obiad na pokładzie, to w sali tranzytowej. Kręcimy się, wchodzimy, wychodzimy. Boniek, który był dotąd wielkim przyjacielem lotników, oświadcza:

— Już nigdy w życiu nie polecę samolotem LOT.

W kilka godzin później przylatuje z Warszawy inny samolot. Od tej pory wszystko już biegnie właściwym torem. Na Okęciu tłumy, na parkingach tysiące samochodów. Śpiewy, wiwaty, morze biało-czerwonych flag.

Nie zapominajcie jednak, że już późna noc, 13 dzień miesiąca. Jadę samochodem prasowym do Łodzi, ale w tym obłędnym tłumie inny wóz walą nas z tyłu w bagażnik. Kierowca musi wysiąść i wyegzekwować od sprawcy incydentu pisemne oświadczenie. Trwa to kolejną godzinę. Dopiero około szóstej nad ranem w oknach fiata pokazują się przedmieścia Łodzi.

Foto: M. Zajdler

Przekrój

WACŁAW OPACKI

Urodziłaś to jedno! Znalazło się wśród milionów ludzi Pyłek, źdźbło wśród wielu istnień? Prawda, że nie? Jest ono właśnie dla Ciebie milionem, jest najbliższe. Patrzysz w przyszłość? Kim ono będzie za lat 20? Co będzie czuć, badać, jak cierpieć i czego pragnąć?

Twoje myśli: wysokie wykształcenie, piękny i zakochany w niej chłopak — Twój przyszły zięć, potem wnuki. Ale nie myślisz, że Twoje dziecko za kilkanaście lat będzie chciało tylko jednego: Twojego życia!

No właśnie! Jest 25 lat po jego urodzeniu. Zderzenie ufności matki z nienawiścią ukrytą w sercu dziecka zrodzonego z Twojego ciała. A więc czy nienawiść, brak miłości jednak była i w Twoim sercu 25 lat temu?

Czy jest to też straszny wybryk natury?

W dwudziestym piątym roku życia Anita Matracka dokonuje makabrycznego zabójstwa swojej matki. Tak makabrycznego, że przeraża najbardziej obytych z codzienną ohydą i okrutnością człowieka. Odcięła głowę matki. To samo zrobiła z nogami i rękami, które spaliła w piecu. Wnętrzności wyrzuciła na śmietnik. Opaloną głowę trzymała w domu przez miesiąc w torbie turystycznej.

„Ale co to znaczy człowiek" — pisał do mnie jeden z moich kolegów ze studiów. Miał przyjaciela, którego znał 15 lat i któremu oddawał z wzajemnością wszystko w każdej potrzebie I którego wielokrotnie sprawdziła maksyma: przyjaciela poznaje się w biedzie. I oto ten przyjaciel pewnego dnia po prostu go okrada, bezczelnie, z uciułanych przez 10 lat pieniędzy. „To jest zbrodnia" — pisał w liście. Odpowiedziałem, że prawdopodobnie nie ma definicji człowieka, która byłaby sprawdzalna w każdym praktycznym przypadku. W liście przytoczyłem także cytat z książki „Małe dziecko", mówiący o fascynacji człowieka człowiekiem: „Dzień po dniu, stopniowo i powoli rozwija się na naszych oczach dziecko. Dzień po dniu, niepostrzeżenie zwiększa swój ciężar i długość, przystosowuje do zmieniających się potrzeb czynności różnych narządów wewnętrznych, opanowuje z wolna coraz to nowe umiejętności ruchowe, uczy się mówić, myśleć, czuć, pragnąć, poznawać i zdobywać otaczający świat. Każdego ranka — od nowa — cieszy i zdumiewa najcudowniejszą właściwością swego organizmu — prężnym, żywiołowym rozwojem..."

Dla matki dziecko jest przykładem kreowania się pojęcia człowieka. I tak jak to dziecko odpłaci się swojej matce, tak bardzo jest istotą różniącą się od innych...

Znam podobną sprawę, też makabryczną. W 1978 roku Sąd Wojewódzki skazał na karę śmierci studenta, który 25 grudnia 1976 r. zamordował własną matkę. Przez pół roku fakt ten ukrywał. Przebierając się za nią pobierał rentę.

„I znowu te cholerne święta Bożego Narodzenia — zeznał. — Nienawidziłem ich. Święta, na okres których wkładaliśmy maski ze źle przyklejonymi uśmiechami. I to idiotyczne dawanie prezentów pod choinkę i ta udawana radość, i nerwy napięte do granic wytrzymałości, bo przecież miałem jeszcze jeden prezent. „Mamo, zrezygnowałem ze szkoły". Te słowa musiały paść i padły... Potem było dużo słów złych i bezładnych, gniewu i nienawiści, wzajemnych wyrzutów i oskarżeń wypowiadanych nienaturalnie zmienionym głosem. Matka wpół leżąc szlochała. Zobaczyłem metalowy przecinak. Pomyślałem, że tym przedmiotem można zabić i zabiłem. Bałem się, że może się ocknąć i zobaczyć, że to jej własny syn. Uderzyłem po raz drugi i nie wiem, ile jeszcze razy uderzyłem. Położyłem metalowy przecinak na podłodze i wtedy zobaczyłem, że kapnęła z niego krew. Poszedłem do swojego pokoju i usiadłem w fotelu. Nie wiem, jak długo siedziałem bez ruchu. Byłem zupełnie otępiały. To, co się stało z trudem docierało do mojej świadomości. Myślałem bardzo powoli... Później już myślałem, żeby te zbrodnie ukryć przed światem. I to postanowienie było niezwykle silne. Poszedłem do pokoju, gdzie leżała matka. Wyciągnąłem z szafki czyste prześcieradło i ją przykryłem. Przyniosłem z łazienki wiadro, a z kuchni nóż. Kolejno odkrywałem to miejsce, które ciąłem... Straciłem zupełnie rachubę czasu i poczucie rzeczywistości i wiedziałem tylko jedno, że muszę to zrobić i robiłem..."

Przez kilka miesięcy upłynniał chemicznie do zlewu ciało rodzonej matki.

W końcu października 1980 roku obserwowałem proces Katarzyny Orzechowskiej. Odcięła głowę matki, nogi i ręce. Głowę wsadziła do garnka i wrzuciła do jeziora, pozostałe części ciała schowała do skrytek na Dworcu Centralnym, przez który codziennie przewija się tysiące ludzi.

I znowu podobny scenariusz.

Było po godzinie 16, akurat po obiedzie. Matka zaczęła prać.

„Pralka stała w przedpokoju — opowiedziała Katarzyna Orzechowska. — Potem matka zawołała mnie. Chciała, żeby zdjąć z pawlacza w przedpokoju kocioł do gotowania bielizny. Weszłam na drabinę, sięgnęłam na prawo. Leżała tam siekiera. Kupiłam ją chyba w styczniu. Matka zwróciła mi za nią pieniądze. Wtedy kupiłam jeszcze wiertło. Raz tą siekierą rąbałam schab. Stałam na drabinie, matka mówiła coś do mnie. Uderzyłam ją ostrzem w głowę. Po tym zdarzeniu jeszcze stała. Zadałam jej więc następne uderzenie. Cały czas stałam na drabinie. Matka najpierw upadła na ręce. Osuwała się jakby wolno się osuwała. Zadając matce byłam w jakimś dziwnym stanie, którego nie potrafię nawet określić. Po upadku matki zeszłam z drabiny, chwyciłam ją za ręce i zaciągnęłam do łazienki. Zwłoki włożyłam do wanny, nożem rozcięłam ubranie, zdjęłam je. Tego dnia matka miała na sobie dżinsową spódnicę, fioletowy golf. Rzeczy te wrzuciłam do pralki i wyprałam"

Zatelefonowała do swojego chłopaka — Jacka, z którym rozmawiała przez godzinę. Ale o morderstwie nic nie powiedziała. Potem wpadł sublokator, którego starała się jak najszybciej spławić. Z kuchni wzięła duży drewniany nóż, poszła do łazienki, gdzie precyzyjnie najpierw nacinając skórę i mięśnie głowy, a siekierą kręgi szyjne — oddzieliła głowę matki od reszty ciała. Głowę włożyła do garnka, który owinęła papierem i sznurkiem. Zdjęła z pawlacza kocioł, do którego włożyła ciało, przeniosła to wszystko do pokoju matki. Zaczęła sprzątać łazienkę. Sitko zapchało się kawałkami mózgu i kości — spłukała je do pisuaru. Dokładnie wszystko umyła. Do kubła na śmieci wrzuciła wypraną odzież matki. Potem wzięła pakunek z głową, pojechała nad jezioro Czerniakowskie. Wróciła późną nocą.

— Nie mogłam zasnąć — opowiedziała dalej Orzechowska — leżałam do godziny 4. Potem wstałam, zdjęłam walizkę i torbę z pawlacza i poszłam do pokoju, wyjęłam matkę z kotła, wzięłam nóż, siekierę, podłożyłam gazety, nacięłam skórę w pachwinach, dwoma czy trzema uderzeniami oddzieliłam nogi od tułowia. Potem posługując się tylko nożem nacięłam skórę przy kolanach, wyjęłam rzepki kolanowe. Kończyn dolnych nie myłam przed zapakowaniem. Na gazetach prawie nie było krwi... Do matki już nie czułam nienawiści, bowiem po odcięciu głowy reszta jej ciała była już tylko przedmiotem".

Potem przecięła na dwie części pilśniową płytę, jedną z nich położyła na dno walizki. Na niej położyła tułów i ręce, które podłożyła pod plecy. Potem ściągnęła paski. Dokładnie sprzątnęła, m. in. nóż włożyła w kuchni do szuflady, siekierę do pudełka w przedpokoju w szafce. Wzięła kąpiel, wypiła kawę i poszła do szkoły. Zdążyła na drugą lekcję. W południe do domu wróciła ze swoim chłopakiem Jackiem, z którym się kochała.

Pamiętam też ten dzień 24 października 1980 roku, kiedy zapadł wyrok: ośmiu lat pozbawienia wolności. Gdy Katarzyna Orzechowska opuszczała salę sądową, tłum krzyczał: „Mało, mało", inni żądali linczu.

Z raportu dr Tadeusza Rydzka, dyrektora Biura Kryminalnego Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej:
„Najbardziej niepokojącym zjawiskiem było jednak powstanie w 1980 roku problemu zabójstw połączonych ze szczególnym okrucieństwem i irracjonalna brutalnością sprawców. Świadczy o tym przede wszystkim siedem zabójstw związanych z rozkawałkowaniem zwłok ofiar i rozrzuceniem ich lub zamaskowanym ukryciem w takich miejscach, jak przechowalnie bagażu, wysypiska śmieci, zbiorniki wodne, zarośla na peryferiach miast osiedli itp. Poza znanym przykładem zabójstwa red. Danuty Orzechowskiej z TvP, wymienić tu należy sprawę o zabójstwo Anny M. (zapakowane części zwłok były rozrzucone w różnych zbiornikach wodnych) i Ireny Ch. (worki foliowe z częściami zwłok były rozrzucone w promieniu 35 km)".

Wandę Dzięgielewską, pracownicę łódzkiego „Orbisu", Leon W. widział po raz ostatani 8 stycznia 1982 roku w sklepie. Chciała pożyczyć od niego pieniędzy. Potem zaniepokojny długą nieobecnością w domu sąsiadki spytał jej córki, co dzieje się z matką. Ta odpowiedziała, że wyjechała do Płocka, gdzie mieszka matka i siostra Wandy Dzięgielewskiej.

Żona Leona W. zapamiętała dzień 15 lutego. Z górnego mieszkania dochodziły obce głosy. „Jakby ktoś rąbał siekierą" — powiedziała. Kilka dni potem widziała Anitę Matracką, córkę Wandy Dzięgielewskiej z młodym mężczyzną, jak wynosili z mieszkania dużą torbę koloru ciemnego, z którą „obracali dwa razy". Scenę tę widziała też inna sąsiadka: „na schodach były ślady krwi".

W. także przypomina sobie nieporozumienia jakie miały miejsce między Anitą a jej matką. Przyczyną głośnych awantur było, jego zdaniem, nadużywanie przez Anitę alkoholu. Taka awantura ostatni raz miała miejsce 28 grudnia 1981 r. Słyszał jak Anita powiedziała matce, że jej nie podaruje.

Dzień 28 grudnia i scenę jak Anita próbowała dusić matkę skórzanym paskiem — wspomina także inny sąsiad — Andrzej Z.

Andrzej Z. pamięta, że w połowie słyszał odgłosy przewracania krzeseł. Znowu na początku lutego przez trzy dni słyszał głos płaczącego dziecka, zarówno w dzień jak i w nocy. Przez ten okres w mieszkaniu Wandy Dzięgielewskiej paliły się światła.

— Matracka poszła do kuchni — opowiada Jolanta G., jej koleżanka. — Usiadła na taborecie i zaczęła płakać. Poszłam za nią, aby ją uspokoić. Rozmawiałyśmy ok. 5 minut. Wytłumaczyłam jej, że nie ma o kogo być zazdrosna. Wtedy Matracka powiedziała, że ja nie wiem, że ona dla Niego zabiła swoją matkę... Nie wierzyłam jej. Myślałam, że dramatyzuje. Powiedziała: „idź i zobacz na balkonie". Wyszłam. Zauważyłam jakieś torby, lecz nie skojarzyłam tego ze zwłokami. Wróciłam do kuchni i powiedziałam jej, żeby nie robiła sobie głupich żartów. Wtedy Matracka wyszła na balkon, z torby stojącej wyjęła jakąś paczkę, którą położyła na podłodze w pokoju. Była ona owinięta w przezroczystą folię kilka razy i nie było widać jej zawartości. Następnie Matracka wyjęła z tej torby głowę. Aby wyjąć musiała ją oderwać od torby, gdyż była przymarznięta. Gdy Matracka ujęła głowę w obie ręce i uniosła wyżej, zauważyłam spalone włosy i brak gałek ocznych. W tym momencie zemdlałam... Gdy odzyskałam przytomność leżałam na podłodze przy balkonie. Nade mną była pochylona W., a Matracka była w kuchni i robiła coś przy kranie z wodą. W. uśmiechała się do mnie i powiedziała: Myślałam, że już nie zostaniesz". Podniosłam się i spytałam W.: „jak mogłaś tu żyć". Wtedy W. powiedziała, że dowiedziała się o tym dopiero dwa dni temu. Matracka o tym powiedziała także G.

Z protokołu oględzin: po lewej stronie przedpokoju znajduje się beżowa torba typu turystycznego. W torbie tej znajdują się szczątki ludzkie w stanie daleko posuniętego rozkładu pośmiertnego. Wśród nich daje się wyróżnić głowę, miednicę, parę kości długich. Obok torby spoczywa pakunek w folii polistyrenowej — plastikowej przewiązany paskiem z tkaniny. Na folii widoczne plamy — krople ciemnobrunatne.

Jolanta G., członkini łódzkiego OHP, o tym co widziała zgłosiła natychmiast milicji.

22 lutego 1982 roku o godz. 1.55 przystąpiono do pierwszego przesłuchania Anity Matrackiej.

Opowiedziała:

Moi rodzice rozeszli się, kiedy miałam trzy lata. Ojca nie znam, nie utrzymywałam z nim żadnych kontaktów. Wiem, że mieszka w Nowej Hucie. Ojciec regularnie łożył na moje utrzymanie. Mieszkałam jedynie z matką.

Ukończyła Liceum Ogólnokształcące, potem pomaturalne studium otrzymując dyplom technika ekonomisty. W 1976 r. podjęła pracę w WPHS — Wschód jako goniec. W maju 1981 roku została zatrudniona w Urzędzie Miasta Łodzi.

— W dniu 22 października 1981 r. zwolniłam się z pracy, gdyż moje dziecko chorowało i musiałam zapewnić jemu opiekę. Mąż mój bowiem został powołany do wojska.

Moje pożycie z mężem do tego czasu nie układało się pomyślnie.

Mąż nadużywał alkoholu, co było powodem nieporozumień. Do awantur jednak nie dochodziło. We wrześniu 1981 r. poznała Ewarysta G., z którym zaczęła współżyć. Powiedziała o tym mężowi, który nie czynił jej z tego powodu wyrzutów. Zgodził się także na rozwód, gdy on wyjdzie z wojska.

Od połowy października do połowy grudnia mieszkała z G. w wynajętym mieszkaniu. Córka w tym czasie przebywała u rodziny w Warszawie.

Do matki wróciła po ogłoszeniu stanu wojennego.

— Odkąd sięgam pamięcią — stosunki między mną a matką układały się źle. Kiedy byłam uczennicą cały czas byłam w domu sama. Matka pracowała niemal codziennie w godzinach nadliczbowych. Bałam się siedzieć sama w domu. Włączałam głośno radio i zapalałam wszystkie światła. Lubiłam się uczyć w nocy. W nocy też pisałam listy, wspomnienia. Kiedy matka przestała pracować w nadliczbowych godzinach, na to już mi nie pozwalała. Złośliwie gasiła światło, wyłączała radio. Z tego powodu wynikały między nami awantury. Konflikt między mną a matką narastał.

Przypomina sobie takie oto zdarzenie. Przyjechała babka. Ona odrabiała lekcje, a matka zawołała ją na obiad. Odpowiedziała, że za chwilę przyjdzie. Wtedy matka wpadła do pokoju, przewróciła ją na stół kalecząc jej nogi. Babka stanęła w jej obronie.

Gdy miała lat 15 z kolegą wracała z treningu. Stali przed klatką schodową i rozmawiali. Zauważyła to matka, która zrobiła awanturę znieważając przy tym ją i kolegę.

— Pamiętam, że matka wtedy krzyczała, że jesteśmy pijani lub pod działaniem narkotyków. Wezwała milicję, która jednak niczego podejrzanego nie stwierdziła.. W wieku lat 17 poznałam mojego obecnego męża. Początkowo matka była bardzo nieprzychylnie ustosunkowana do naszej znajomości. Zachorowałam na nerki. Wtedy mój przyszły mąż przychodził do mnie. Matka była z niego zadowolona. Kiedy wyzdrowiałam, awantury powróciły. Od tego czasu matka była przeciwna naszym kontaktom.

Wszystko się znowu zmieniło, gdy matka dowiedziała się, że jest ona w ciąży. Dla chłopaka była bardzo uprzejma. Chciała ich ślubu.

Po ślubie zamieszkali razem z matką. Od początku było między nimi źle.

— Było to jedno pasmo awantur. Mąż pracował w Gminnej Spółdzielni „SCh", w mieszalni pasz jako pracownik fizyczny. Moja matka uważała tę pracę za poniżającą. Ubliżała mi z tego powodu. Nie mieliśmy pieniędzy, więc mąż podejmował prace zlecone. Wracał późno w nocy. Matka robiła mi awantury, mówiąc, że „mąż chodzi na dziwki", a ja muszę pracować. Stale wtrącała się do naszych spraw małżeńskich. Potrafiła wchodzić do naszego pokoju w czasie gdy współżyliśmy ze sobą. Uważała mnie za niespełna rozumu. Wtrącała się do tego, kiedy mamy podjąć współżycie po porodzie. Wtrącała się do spraw mojej opieki nad dzieckiem.

Matka nie pozwalała jej mężowi dotknąć dziecka. Mówiła, że on swoimi łapami połamie dziecko. Wyrywała je siłą.

Kiedy mąż poszedł do wojska, awantury zaczęły się na dobre. Dotyczyły one wszystkiego.

— Ja nigdy nie nadużywałam alkoholu, nie to więc było przyczyną awantur. W dniu 30 grudnia 1981 roku odwiedzili mnie znajomi, m. in. Jolanta G. W czasie ich pobytu matka wywołała awanturę domagając się wyjścia moich gości. Powiadomiła milicję. Kiedy przyjechali matka powiedziała im, żeby mnie zabrali, gdyż boi się, że ją uduszę. A ja nawet nie próbowałam zrobić żadnego takiego gestu. Nigdy matki nie uderzyłam. Było za to odwrotnie.

22 stycznia 1982 roku matka spała do południa. Ona w tym czasie prała bieliznę. Po obudzeniu się matka powiedziała, że jest głodna. Odpowiedziała, że może jej zrobić kanapki.

— Matka krzyczała na mnie, że już dawno powinien być obiad. A nie po to przeżyła wojnę, aby nie mieć co zjeść. Tłumaczyłam matce, że nie miałam z czego zrobić obiadu. Matka jednak w dalszym ciągu na mnie krzyczała. Mówiła, że „ten łajdak powinien mi zostawić pieniądze przed pójściem do wojska". Matka wyszła do przedpokoju, stanęła w drzwiach wejściowych do mieszkania. Krzyczała dalej na mnie. Ostatnio robiła tak dość często, gdyż chciała, żeby sąsiedzi ją słyszeli. Powiedziałam jej, aby odeszła od drzwi i spokojnie ze mną porozmawiała. Zaczęła wtedy krzyczeć jeszcze głośniej. Ja wtedy byłam w kuchni. Raz jeszcze prosiłam, żeby się uspokoiła, gdyż dziecko jeszcze spało. Matka krzyczała nadal: że mnie załatwi, że odbierze mi dziecko. Krzyczała, że jestem łobuz i chuligan. Najłagodniejsze określenie brzmiał: „ty dziwko" Wyzwała mnie od kurwy. Krzyczała, że zgnije w więzieniu albo w Kochanówce. W czasie awantury ja nie wychodziłam z kuchni. Po raz pierwszy zagroziłam matce, że moje nerwy są na wyczerpaniu i to się kiedyś skończy. Nie myślałam wtedy o niczym konkretnym, jedynie o tym, żeby ubrać dziecko i po prostu wyjść z domu...

Matka wpadła do kuchni, mówiąc, że potrafi się obronić. Szarpnęła córkę za sukienkę, krzycząc: „wypierdalaj stąd". Ciągnęła ją w stronę pokoju. Ona gotowała coś dla dziecka. W kuchni było duszno, dlatego chciała uchylić okno. Przy nim stał kamienny garnek...

Na początku lipca akt oskarżenia przeciwko Anicie Matrackiej sporządzony przez Prokuraturę Rejonową Łódź — Bałuty, wpłynął do Sądu Wojewódzkiego.

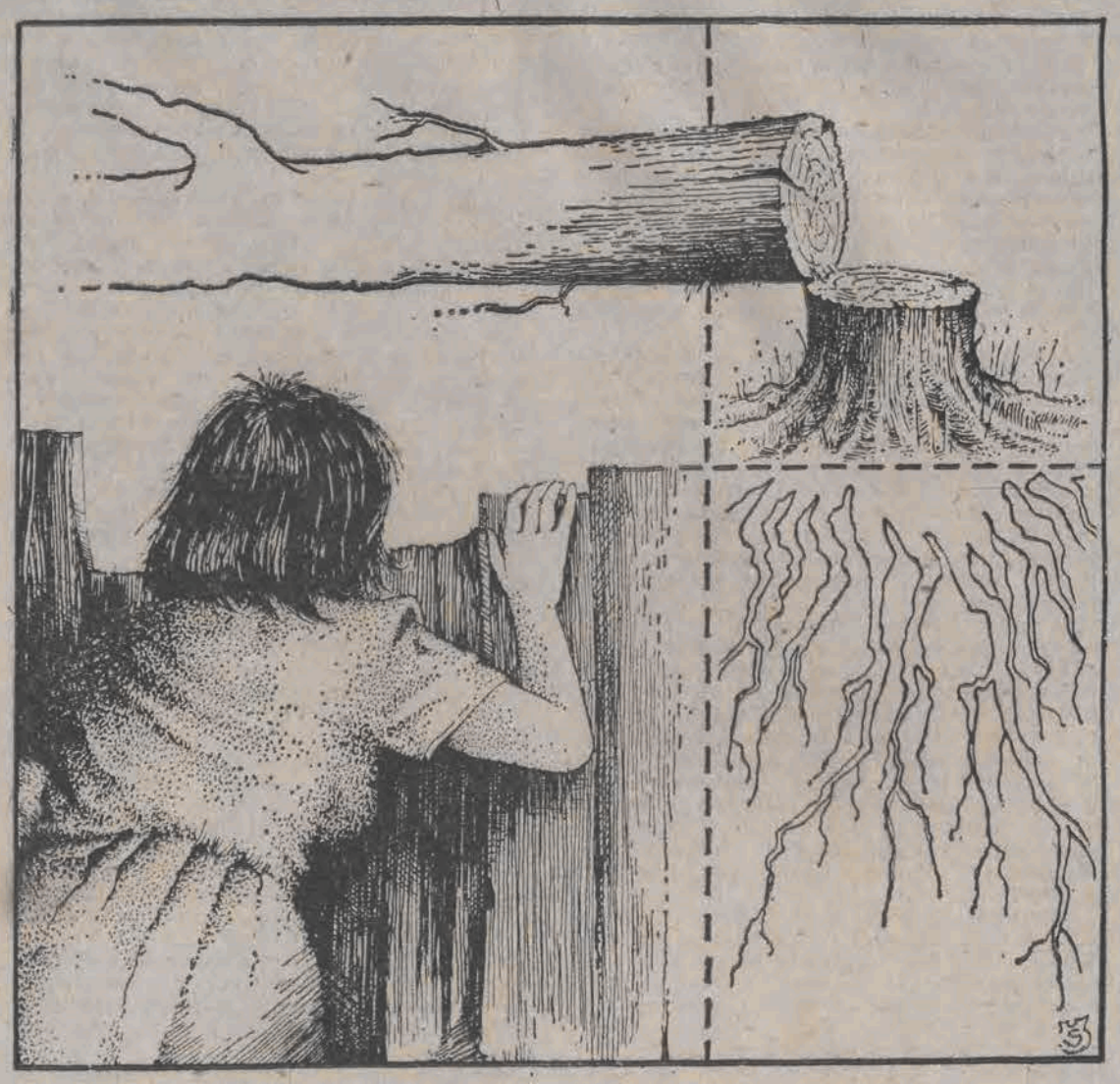

Janusz Szymański-Glanc

1 Zdarzenia i zwierzenia

Moja biblio—teka

Zapytał ktoś Anglika o tajemnicę angielskich trawników, że nie widzi się tam napisów „Nie deptać", ludzie po nich chodzą a trawa jest bujna, zielona i nie podeptana...

— To bardzo proste — odpowiedział Anglik — trzeba tylko przez jakieś sto lat sytematycznie trawnik pielęgnować...

Przypomniała mi ta anegdotka, gdy ktoś zapytał mnie o moją bibliotekę — skąd mam taki duży księgozbiór. Oczywiście księgozbiór nie jest taki duży, gdzieś około 2 tysięcy książek, ale odparłem tak właśnie:

— To bardzo proste, trzeba tylko od dziecka zbierać książki.

U początku mojego księgozbioru były właśnie książki kupowane po dwa złote pięćdziesiąt groszy — wydawane zaraz po wyzwoleniu przez redakcje gazet codziennych. Zachęcony przez nauczycielkę historii kupowałem też groszowe, ale bardzo rzetelne i cenne broszurki historyczne „Wiedzy Powszechnej' Autorami tej serii wydawniczej byli najwybitniejsi ówcześni uczeni, którzy jakoś nie wstydzili się pisać popularnych opracowań.

Nawiasem mówiąc broszurki wydawane były w nakładach masowych i jeszcze teraz spotyka się je na straganach łódzkich bukinistów — na Giełdzie Kolekcjonerów czy w halach na placu Niepodległości.

Pierwszym większym zakupem była „Encyklopedia Staropolska" Zygmunta Glogera, której tzw. reprint wydano w roku 1957 i kosztowała zawrotną wówczas sumę 120 zł. W tym czasie cena książki rzadko przekraczała 10 zł.

Czemu o tym piszę? Dlatego żeby powiedzieć rzecz banalną, ale wartą przypomnienia: otóż jeśli ktoś chce mieć jaką taką bibliotekę domową musi książki gromadzić. Rzadko kto dostaje bibliotekę w spadku po przodkach.

W moim przypadku księgozbiór jest warsztatem pracy i jest on dość specjalistyczny. Dominuje w nim literatura, pamiętniki oraz wszelkiego rodzaju publikacje o charakterze encyklopedycznym, leksykonowym. Nie mogę sobie pozwolić na bieganie po bibliotekach, aby sprawdzić potrzebny mi akurat fakt, datę czy odpowiedni cytat lub opinię.

Każda domowa biblioteka ma swoiste piętno, będące odbiciem zainteresowań jej właściciela. U jednego będą to książki o sztuce, u drugiego będą to łodziana, u jeszcze innego publikacje poświęcone drugiej wojnie światowej...

Zdaję sobie sprawę, że zachęcanie dziś do kompletowania własnego księgozbioru jest radą dość ryzykowną. Kłopot jest bowiem podwójny. Po pierwsze książki są drogie — po wtóre — trudno je kupić. Owszem — trudno, ale nie jest to niemożliwe. I proszę nie sądzić, że ja z tytułu zawodu mam jakieś szczególne „dojścia" do półek księgarskich. Po prostu chodzę po księgarniach i wiem ile krzywdzącej przesady jest w opinii, że księgarze wszystko co lepsze sprzedają spod lady.

Owe osławione „książki spod lady" to głównie książki modne, które nie zawsze warte są aby je trzymać w bibliotece. Z umiarkowanym zainteresowaniem oglądałem na przykład „Pogodę dla bogaczy", ale książki wcale bym nie kupił, nawet gdybym ją w księgarni zobaczył. Natomiast bez echa przeszła znakomita i warta włączenia do każdej biblioteki książka Stanisława Szenica „Ongiś", tom opowieści o twórcach polskiej kultury.

Ma więc nie tylko sens, ale i szansę powodzenia kompletowanie prywatnego księgozbioru nie pod kątem modnych nowości, ale pod kątem tworzenia u siebie w domu swoistego „banku informacji" o kulturze, literaturze, nauce, sztuce, historii... I taka właśnie biblioteka może być legitymacją człowieka o ambicjach umysłowych — czy choćby tylko o dobrym snobizmie.

Uważam przeto, że mimo trudności, mimo chronicznego braku wielu podstawowych książek (encyklopedii, klasyki, antologii), mimo rosnących cen książek — warto i można kompletować sobie powoli ambitny domowy księgozbiór.

Nie jest to zadanie na jeden sezon. Jeśli zabraliśmy się za to zbyt późno, pomyślmy, że robimy to dla swoich dzieci, aby nie musiały zaczynać od zera Bowiem z biblioteką domową jest tak jak z owym angielskim trawnikiem. Może być bardzo piękna, ale trzeba ją pielęgnować przez wiele lat.

JERZY WILMAŃSKI ■

2 Kryzys i refor—ma

Te dwa słowa — kryzys i reforma — jak imiona postaci z najmodniejszej powieści, jak Schlagwort piosenki, którą mógłby napisać Krzysztof Drzewiecki zamiast opowieści (taka publicystyczna roman-fleuve) jak zrobić przebój, jak pomysł na tytuł jeszcze jednego tygodnika, odpowiadający całkowicie naszemu tu i teraz, otóż te dwa słowa stały się zastępczym lekarstwem na wszystko. Swoją drogą ciekawa byłaby historia naszego kraju po 1945 roku, gdyby chcieć ją zobaczyć poprzez semantykę słów-kluczy w słownikach społeczno-politycznych powojennej polszczyzny. Kryzysem — podobnie jak i stanem wojennym (zaklęcie o najwyższej randze perswazyjnej) można tłumaczyć wszystko, można siedzieć markując działanie i rozkładać ręce: Kryzys! Można bezmyślnie wykonywać zalecenia i rozporządzenia, rozgrywając przy okazji swoje partykularyzmy: przecież kryzys. „oni" i stan wojenny! Co się dziwić, że ów kryzys, tragiczny rozdział naszej współczesnej ekonomii, trafił w końcu do dowcipów (dobrych, ale nie śmiesznych), bo tę przewalającą się tu i ówdzie bzdurę zarządzania trzeba odśmiać, odmitologizować, znaleźć wobec niej dystans, aby nie popaść w szaleństwo, albo w nie daj Boże, ekstremę.

Jako tako, no — zgódźmy się — ciut, ciut unormowany rynek mięsno-wędliniarski jeszcze przed paroma tygodniami, kiedy można było coś tam kupić, po czymś się oblizać, jakoś te kartkowe porcje niedługo wystać, teraz popadł w chaos. I to zaraz potem jak poprzez gazety przewinęły się informacje o wzmożonym skupie, o pełnych chłodniach i o bezkartkowej wołowinie. A tak na marginesie: dobrze, że tegoroczny Mundial odbywał się w Hiszpanii, a nie gdzie indziej, to znaczy bliżej i z drugiej strony bo znów usłyszelibyśmy kolejkowych propagandzistów (jak podczas Olimpiady) — „Panie, wszystko idzie tam". Czyż nie jest paradoksem, aby Prezydent rozpytywał ekspedientkę o zamówienia i dostawy, czego nie omieszkały pokazać z namaszczonym (ach te tłuszcze!) komentarzem łódzkie „Wiadomości TV"? Czy oprócz rzeczywistego kryzysu, który jest przyczyną bardzo wielu rzeczywistych perturbacji w każdej dziedzinie życia, nasi zarządzacze i rozdzielacze, zabiurkowi decydenci nie cierpią na atrofię rzetelności i kompetencji, dobrej woli i urzędniczego rozsądku? Jednym słowem myślenia? W społecznym odczuciu chorobę tę składa się — taka jest prawda — na karb stanu wojennego.

Posłużyłem się przykładem mięsno-wędliniarskim, nie tylko ze względu na cytat z książki Neala Aschersona (wielce interesujące omówienie Daniela Passenta w ostatniej „Polityce"), który w rozdziale zatytułowanym „Mięso i nowa opozycja" (książka dotyczy naszej powojennej historii) pisze: „Polacy popadli w obsesję mięsa, irracjonalną, agresywną, nawet dropieżną (...) W podświadomię agresywny sposób społeczeństwo dosłownie przejadało podstawy struktury politycznej", ale także czyniąc zadość uczynienie tym co nas żywią, czyli naszym paniom, kolejkowym madonnom (Panie Krzysztofie, jeszcze jeden pomysł!). Parawan z nadrukiem „kryzys", jak wywieszkę „zaraz wracam", można znaleźć wszędzie, najczęściej jednak tam gdzie panuje bałagan, inercja i świadomość: „niech no który odważy się podskoczyć".

Kryzys i reforma — takie dzisiejsze Lelum-Polelum. Kryzys jako diagnoza — reforma jako próg świetlanej przyszłości. Nie mam prawa w słowa te nie wierzyć, tym bardziej, iż moje przygotowanie ekonomiczne zaczyna się i kończy w momencie, kiedy muszę wyjąć portmonetkę w której niewiele więcej ponad najwyższy nominał banknotowy NBP. Ale gdy czytam, iż przymusza się poszczególne przedsiębiorstwa, chrome na jedno S, aby przystępowały do „dobrowolnych" Zrzeszeń, to mam prawo powątpiewać w likwidację Zjednoczeń, a tym samym w możliwość reformy obciążonej kryzysem, tym rzeczywistym i tym parawanem zastawiającym rozrośniętą przez lata całe bzdurę: krok do przodu, dwa w tył.

Ale dosyć tej ekonomii dyletanta, który dopiero co rozpisywał się o Bońku. Ten felieton miał być poświęcony tym wszystkim, którzy zwłaszcza teraz, w okresie kanikuł i wakacji, zamiast łowić ryby, zażywać kąpieli, na czworakach szperać za borowikiem, siedzą w domu i podlewają pelargonie na balkonie. Bo tak naprawdę, to ów kryzys i reforma, dotknęła nas najboleśniej właśnie w okresie urlopów. Kryzys — bo ceny wywindowały się tak wysoko, że nasze drabinki płacowe skurczyły się do wymiarów lilipucich. Reforma — bo ceny wywindowały się tak wysoko, że... itd. Wczasy z zakładów pracy? Dla bardzo wielu, zwłaszcza zatrudnionych tam, gdzie „produkuje" się dobra niematerialne, gdzie fundusze socjalne są dotowane, wczasy stały się marzeniem (czyli jest jeszcze o czym marzyć). Wprawdzie można je kupić, tylko — jak mówi ludowe porzekadło — „trzeba psa ogłupić" (Proszę nie przysyłać listów z prośbą o wyjaśnienie tego porzekadła — nie wiem co tu robi „pies", ani dlaczego „trzeba go ogłupić"). Samofinansujące się przedsiębiorstwa turystyczno-wypoczynkowe — korzystając z reformy, a przezwyciężając kryzys! — oferują ceny całkiem bez sensu i wyobraźni. Wcale się nie zdziwię, gdy pod koniec roku okaże się, że poniosły milionowe straty na skutek małego zainteresowania — już dziś pisze się o wolnych miejscach, o pustych hotelach i braku chętnych. W przyszłym roku szefowie od turystyki albo zaczną myśleć, albo... podniosą ceny: straty trzeba będzie wyrównać.

Co jak co, ale pelargonie w tym roku możemy mieć piękniejsze niż w najzamożniejszych krajach drugiego obszaru płatniczego: nowe odmiany proponuję nazwać Kryzys i Reforma.

GRZEGORZ GAZDA ■

3 Nagłe zastępstwo

Nocne tete a tete

Jakiś facet wszedł nocą do sypialni królowej brytyjskiej i uciął sobie z nią pogawędkę, jak pisze prasa, dziesięciominutową. Potem poprosił o papierosa czy też ogień do papierosa, to dało królowej okazję, aby zawezwać lokaja i intruza wyrzucono z pałacu Buckingham.

Informacja ta zbulwersowała mnie niesłychanie i spowodowała ogromny żal do tzw. przekaziorów, że dają tak dalece niepełny obraz wydarzeń owej lipcowej nocy w pałacu królewskim. Ciśnie mi się na usta co najmniej kilkanaście pytań i — jak to zaraz czytelnik będzie miał okazję ocenić — wcale nie o zaspokojenie pustej ciekawości mi chodzi tylko o rzeczy wagi zasadniczej.

Pomijam pytania natury technicznej — Jak się tam dostał? Czy przekupił któregoś z tych dryblasów w piętrowych, futrzanych bermycach? Czy skoczył — ze spadochronem? Nieważne. Ważniejsze — po co to zrobił? Po co narażał się na aresztowanie, ba śmierć na miejscu! Przecież gdyby pozwolił sobie na pojawienie się — dajmy na to— w sypialni haremowej szejka Kuwejtu, obcięli by mu wszystko co można człowiekowi obciąć a może jeszcze więcej... Gdyby wlazł do sypialni Reagana, natychmiast spod łóżka wynurzyłby się goryl uzbrojony w colta kaliber 46 i wypalił mu z bliska w łeb.

Przecież nie wiedział, że mu się to uda! Musiał podjąć to ryzyko kierowany jakimś szczególnym posłannictwem? Wrócimy jeszcze do tego pytania. Póki co, drugie: Czy królowa spała i nocny gość ją obudził czy też zastał ją np. przy lekturze? Jeśli spała, to niezmiernie ciekaw jestem, jak dobrze wychowany wyspiarz budzi Her Majesty?

Czy pada na kolana i budzi swoją królową pocałunkiem w prawą dłoń czy też może figlarnie smyra ją pod podeszwą?

To pytanie zadaję nie bez kozery. Chciałbym wiedzieć, bo mogę np. znaleźć się niespodziewanie nocą w dobrze strzeżonej rezydencji powiedzmy ministra Urbana, który będzie sobie chrapał. Czy mam wtedy — aby ministra obudzić — ciągnąć go delikatnie za nosek lub lepiej za uszko, czy może raczej użyć ściszonego dźwięku klaksona?

Jeśli królowa nie spała, to jestem niezmiernie ciekaw czym się mianowicie zajmowała? Czy może była pogrążona w lekturze? Jeśli tak, to co czytała? Może biblię? Może chichotała nad stronicami „Puncha"? (taka angielska „Karuzela", tylko mniej śmieszna, nic nie można zrozumieć bo wszystko po angielsku.) A może wertowała najnowszy numer „Esquire'a"? (takie amerykańskie „Odgłosy", ale gorsze bo wychodzą tylko raz na miesiąc).

Wreszcie pytanie zasadnicze. O czym tajemniczy przybysz rozmawiał z królową przez całe dziesięć minut? Wbrew pozorom była to dość długa rozmowa. Dla przykładu — przeczytanie tego felietonu zajmie P. T. Czytelnikom około trzech minut. Przeczytanie całej kolumny (strony) tego tygodnika nieco więcej niż 10 minut. Zatem poddany Jej Królewskiej Mości pogadał sobie! Zanim nastąpił ten przykry moment, hańba okrywający prawdziwego Brytyjczyka, kiedy to nocny gość poprosił o ogień sama królowa! Zanim więc nastąpiło to fatalne faux pas odbyła się rozmowa, o której nic nie wiemy...

Gdyby oryginalny gość królowej chciał pogadać o polityce, o Falklandach choćby, złożyłby raczej wizytę pani Thatcher, gdyby chciał pogadać o boksie, mógłby zagadnąć w pierwszym lepszym pubie barmana. On jednak musiał odbyć rozmowę z Jej Wysokością! O czym, do diabła?

Eureka! Domyślam się! Nie chodziło mu ani o przyspieszenie przydziału mieszkania, ani o talon na dodatkową benzynę! On miał sprawę, którą mogła załatwić Ona i tylko Ona!

Nocny rozmówca, jak każdy Anglik jest kibicem piłkarskim. Porażka, jaką ponieśli jego rodacy w Hiszpanii musiała go natchnąć myślą jedynie słuszną: Wreszcie trzeba, na przekór tradycji, wystawić w kolejnym Mundialu wspólną reprezentację Wielkiej Brytanii! Połączyć najlepszych piłkarzy Anglii, Walii, Szkocji i Irlandii Północnej.

Tylko Ona może to załatwić!

ANDRZEJ KAROL ■

4 Spojrzenie znad szachownicy

O głębokiej słuszności bijania kobiet

Dzieci widzą świat po prostu, w całej jego bezwzględności, już w wieku przedszkolnym odkrywając zazwyczaj prostą prawdę, że nieźle jest przylać słabszemu, zaś silniejszych należy unikać, dlatego też chłopcy ciskają w dziewczynki śnieżnymi kulami, a nawet ciągną je za warkocze, szybko dając potem nura w bok, gdyż te w odpowiedzi potrafią drapać.

Potem dzieci głupieją, to jest dorośleją, chciałem powiedzieć, a jednocześnie stają się obłudne — były przedszkolak przynosi byłej przedszkolance kwiatki i czekoladki, prawi dusery, cały czas myśląc o takich rzeczach, że wprost wstyd przytaczać. Z zastanawiającą regularnością robią się z tego inne dzieci, a wraz z nimi wyż demograficzny i ogólne przeludnienie grożące katastrofą. Gdyby natomiast mężczyźni nadal bijali kobiety zgodnie z normalnymi, ludzkimi odruchami, zaś prokreacja odbywała się na kartki — świat byłby mniej zatłoczony, a być może i lepszy, pomysł ten przynależy wszelako do krainy Science Fiction, którą propaguję na innej kolumnie.

2.

W prostolinijnym świecie szachów skłonność do bijania, czy raczej ogrywania kobiet, nadal uchodzi za głęboko słuszną i wcale nie zdrożną. Gdy jakaś dama zaplącze się do męskiego turnieju, człowiek stolik gryzie, byle tylko wygrać, choć panie też starają się jak mogą, uparłszy się na całe te, jak mu tam, równouprawnienie.

Przed wojną w turniejach mistrzowskich grywała wprawdzie jedna jedyna Vera Menchik (urodzona w Moskwie z ojca Czecha i matki Angielki, w młodości mówiąca tylko po rosyjsku, a reprezentująca Czechosłowację), która koleżanki ogrywała bezlitośnie, natomiast między panami zajmowała zazwyczaj jedno z miejsc ostatnich, z zawziętością tygrysicy polując wszakże na „skalpy" co znakomitszych kolegów. Istniał nawet „klub Very Menchik" — był to klub arcymistrzów przez Czeszkę pokonanych.

Współcześnie takie kluby — i to ogromnie liczne — mogłyby śmiało założyć wspaniałe szachistki gruzińskie, Nona Gaprindaszwili, Maja Cziburdanidze, parę innych również. A dlaczego akurat Gruzinki, zapytajmy, grają tak dobrze? A dlatego — tę ciekawostkę dedykuję naszemu uroczemu redakcyjnemu koledze, miłośnikowi Gruzji, Igorowi Sikiryckiemu — że już przed wiekami istniał tam obyczaj włączania do posagu wychodzących za mąż dziewcząt egzemplarza „Witezia w tygrysiej skórze" Rustaweliego oraz... kompletu szachów. W kraju szachistek — zgodnie z prawem wielkich liczb i losowego rozrzutu — po prostu muszą wyrosnąć również szachistki genialne.

3.

W kraju dziennikarek — bardzo się bowiem polska żurnalistyka sfeminizowała — powinny analogicznie zrodzić się dziennikarki znakomite, że jednak równocześnie jesteśmy krajem ludzi leniwych, owa lenistwość bardzo niektórym paniom w rozwoju znakomitości przeszkadza.

I tu wyjaśnienie dla mojej jakże uroczej koleżanki, która pytając naiwnie, dlaczego ją na tych łamach szargam i wyeksportować pragnę, ofiarowała mi nawet książkę z przypochlebną dedykacją. Za książkę zrewanżuję się oczywiście książką, muszę tylko coś stosownego wyszukać, natomiast wykładnia jest taka oto: eksportuje się to jedynie, co znajdzie nabywcę, a więc rzeczy poniekąd wartościowe, zarazem na obczyźnie brat Polak robi się dziwnie pracowity, choć niekoniecznie w dziedzinie, którą uprawiał uprzednio, odkrywając w sobie talent, czy wręcz powołanie na przykład do zmywania kuchennych naczyń.

Osobiście zmywać nie lubię, zwłaszcza iż szlachetne porywy w tym kierunku zmroziła moja żona, twierdząc, że robię to fatalnie, gusta bywają wszelako różne, nadto — jak powiadają — każdy człowiek jest kowalem swojego losu.

4.

I tu historyjka dobra lub zła, lecz z całą pewnością prawdziwa, każde ze współuczestników wydarzenia opowiadało mi ją bowiem w tajemnicy i z osobna. Otóż dwie młode romansujące pary piły sobie wódeczkę w tak zwanym lokalu własnym, a że było to w czasach, gdy takową sprzedawano bez kartek i za grosze, poszło jej raczej sporo.

Jeden z panów, już w stanie wskazującym, zaczął w pewnej chwili wywodzić, iż kobiety należy bijać, wszelako głupie — wówczas tylko, gdy coś zawinią, inteligentne natomiast — ot, tak sobie, bez powodu, aby nie znały dnia ani godziny. Drugi z panów, również w stanie wskazującym, wstał na to z krzesełka, zdjął marynarkę, podszedł do swojej pani — a skądinąd mojej koleżanki po fachu — zaczem jak ją strzeli w buzię raz, jak strzeli drugi raz, aż się cała z tego zrobiła draka.

Była to doprawdy najbardziej mocna forma złożenia hołdu inteligencji kobiety, o jakiej kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć, a najśmieszniejsze, że romans kwitł potem jeszcze długo i bodaj szczęśliwiej, niż przedtem.

5.

Teraz pointa, w formie pytania ukształtowana. Co zrobi redaktor naczelny, gdy z braku materiałów nasze sympatyczne pismo będzie chyliło się ku plajcie? Z prostotą dziecka bijać zacznie — od pań zaczynając, bo chłopy mogą oddać — jak ja eksportem straszyć, czy też może zaangażuje parę Gruzinek, bo te wszystko potrafią? Tylko że wówczas musiałby zmienić tytuł na „Odgłosy sal turniejowych" albo jakoś podobnie.

JERZY P. ■

Mechaniczny pies

ANDRZEJ JÓŹWIAK

Można znieść nieszczęście — przychodzi z zewnątrz. Ale cierpienie spowodowane własnym błędem może zatruć całe życie.
(Oskar Wilde)

1 To był szok dla każdego samochodziarza. Stał tuż przy krawężniku, aerodynamicznie spłaszczony, lśniący srebrzystym metalikiem. Porsche 911 Turbo, sześciocylindrowy, 221 koni mechanicznych (300 PS — jak określają to w RFN), prędkość maksymalna 260 km na godzinę. Te szczegółowe dane uzyskałem od Bogusia, który z rozdziawioną japą nerwowo gładził karoserię tej turbosuperfortecy reklamowanej jako najlepszy sportowy samochód świata. Szok, sen, marzenie, cud, miód i ultramaryna.

— Uczę się pilnie niemieckiego. Wiesz dlaczego? — zapytał Boguś i nie oczekując mojej odpowiedzi dorzucił niby to żartobliwie mrużąc swoje sprytne ślepka. — bo kiedy tutaj w RFN będę siedział w moim Porsche i ktoś mnie zapyta czy to mój wóz, odpowiem krótko: ja, das ist mein Wagen! To będzie cudowne, prawda?

Boguś nie był jeszcze właścicielem Porsche, a dokładnie mówiąc nie groziło mu to ani teraz, ani później. W Polsce pracował w jakiejś instytucji, w której wszyscy udawali, że coś tam ważnego robią. Boguś też udawał. Potem rzucił pracę, sprzedał meble, wymalował na biało mieszkanie, na ścianie powiesił portret byłej żony i przez kilka dni nie wychodził z chaty pijąc na umór. Kiedy wszystkim krewnym i znajomym zaczęło się wydawać, że czas by oddać Bogusia do czubków, ten okazał dużo przytomności i sprytu: sprzedał nagle mieszkanie i wyjechał do RFN. Spryt okazał duży, bowiem przed wyjazdem zdążył jeszcze — jak mówią złośliwi — kropnąć parę anonimów do osób szczególnie niemiłych Bogusiowemu sercu. Boguś miał umysł subtelny, rączki małe, lecz do pracy doskonałe. W RFN ciężko harował przy rozbiórce starych domów, jako facio ambitny uczył się pilnie przez całe ranki ze swej niemieckiej pierwszej czytanki. Krew, pot i łzy.

Ale w ten sposób był przygotowany na to, że kiedy ktoś zapyta go — on dumnie odpowie: ja, das ist mein Wagen.

2 Rurka jest już w RFN cztery lata. Kilka miesięcy temu sprowadziła tu dziecko. Zrobiła to zupełnie legalnie. Na podstawie wyroku polskiego sądu (z ulicy Sterlinga w Łodzi) polskie dziecko rozpocznie edukację w niemieckiej szkole. Sześcioletnia córeczka Rurki, szczupła o bladej buzi i smutnych sarnich oczach, dorwała się do mnie i nie opuszczała przez cały wieczór. Dla niej byłem fragmentem zostawionego w Polsce nieba, podwórka, koleżanek z przedszkola.

— Wujku, czy Niemcy są dobrzy czy źli? — pytała Agatka siedząc mi na kolanach. Wychowana na czterech pancernych, Marusi, psie Szariku i Klosie, nie mogła pojąć, że nagle została przeniesiona w obce jej realia.

— Wujku, czy Sindbad i pszczółka Maja są jeszcze w telewizji?

— Czy masz tutaj jakieś przyjaciółki? — przerwałem ten potok pytań, a Agatka spojrzała niespokojnie na Rurkę i konspiracyjnie wyszeptała mi do ucha: nie lubię tych koleżanek z Kindergarten. Ale mam za to bardzo, baaardzo dużo zabawek... Mam nawet mechanicznego psa. Bardzo milusi.

Milusiego mechanicznego pieska nazwała Pusia. Tak nazywał się jej prawdziwy, żywy pies pozostawiony w Polsce.

— Idź na dwór — mówi Rurka do dziewczynki, ale ta wychodzi tylko na balkon — to nie jest dobre dziecko. Zaczepne, kłóci się z rówieśnikami. W Polsce nie była taka, a przecież ma tu wszystko. Nawet mechanicznego psa na tranzystorach jej kupiłam. Szczeka, merda ogonem, biega, a ta ciągle mówi tylko o tym swoim kundlu-mieszańcu. Niewdzięczne dziecko.

Rurka jest rozżalona. Przerzuca reklamowe prospekty biur podróży. Nalewa gin do szklanek i opróżnia szklanicę tak gładko, jakby gardło smarowała miodem z masłem.

— Jedziemy na Mallorcę. To będą wspaniałe wakacje. Posłuchaj tylko jak słodko brzmią nazwy miejscowości — i Rurka rozmarza się mówiąc Font de Sa Cala, Porto Cristo, Playa de Palma. Mamy mieszkać w hotelu Castell de Mar. Rozumiesz, basen, tenis, minigolf, pokój z widokiem na morze, a to niewdzięczne dziecko mówi mi, że chciałoby z babcią Zosią jechać do Wiśniowej Góry... A przecież Mallorca to moje roczne oszczędności.

Robię Rurce przyjemność i przeglądam zdjęcia prospektu. Eastmancolor morza, soczysta zieleń równo przystrzyżonych trawników, basen w kształcie nerki z nierealnie białymi kafelkami przeświecającymi przez wodę, zaś hotel Castell de Mar jak makieta obrazująca symbol cudu gospodarczego.

Agata wychyla się przez balkon i wrzeszczy do kogoś na dole: „dumme Afe, dumme Afe..." (głupia małpo). Rurka strofuje dziecko po niemiecku. Dziewczynka patrzy na nią złymi oczami. Nie trzeba być psychologiem, aby wiedzieć o tym, że ten tłumiony instynkt agresji zwróci się kiedyś przeciwko Rurce.

Ale Rurka jest zadowolona. Jeżeli istnieje możliwość popełnienia pomyłki, to wcześniej czy później ktoś ją popełni.

Ale nie Rurka.

3 Cabaret „Sexy" przy Schwanenmarkt 1 reklamuje się zwięźle. Na kolorowym plakacie trzy dokumentnie rozebrane, dorodne dziewoje w gościnnych pozach, a obok różnojęzyczne napisy. „On parle francais", „We speak english", „Se habla Espanol", „Se parlo italiano". Moim jednak zdaniem brakuje tu jeszcze napisu „mówimy po polsku". Co najmniej przy czterech stolikach słyszy się polską mowę handlową.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że jest interes do zrobienia?

— Jest interes do zrobienia.

— Jakie ryzyko?

— Prawie legalna transakcja...

— Może mi jeszcze powiesz, że zarobimy wielkie pieniądze?

— Zarobimy wielkie pieniądze. Przerzut do Polski dużej partii szamponów do włosów. Tutaj płacimy z rabatem po dwie DM za szampon. W Polsce sprzedajesz z sześciokrotnym zyskiem.

— Wkładam w ten sen pięćdziesiąt procent...

— Jesteś w tym śnie, ale włożysz całość. W zamian dopuścimy cię do 400 kilogramów włóczki.

— Do Polski?

— Tak.

— Nie wstyd ci zarabiać na rodakach?

— Wstyd. Wchodzisz do puli?

Świat pozornych, lub prawdziwych interesów. Wiele wyjaśnia mi obywatel X., były pracownik Okręgowego Zarządu Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej w Łodzi (tak mi się przedstawia). Obywatel inspektor D. „wybrał wolność" bodajże w 1989 r. Jest melancholijnie nastrojony wspomina kolegów i przełożonych. Wieczór wspomnień jak z bajki z 1001 nocy.

A obok wielki świat interesów do zrobienia: mydło, powidło, szampony, balony, raki, szpaki, widelce, kłaki, landzbery po cztery, pisz pan Hiszpan, trzy po trzy para piętnaście. Byznes po polsku. Siedzę lekko skołowany, a dyskretny urok papierosów Marlboro gęstą chmurą wiruje pod sufitem mieszając się z ekspresyjnymi dźwiękami popularnego przeboju „Woman in Love". Oślepiająco pulsują dyskotekowe, różnokolorowe światła. Podchodzi do mnie wysoka blondyna, krwawo wymalowana, o muskularnych udach wyraziście rysujących się pod obcisłą suknią i mówi pieszczotliwie:

— Zatańczysz?

Przyglądam się jej bliżej. Pod obfitą warstwą pudru ślady zarostu. To mężczyzna.

— W soboty nie tańczę — odpowiadam — obiecałem to mamusi.

4 Joachim, przez przyjaciół zwany Jogi, nie lubi kobiet. Mimo to, a może właśnie dlatego, jest wybitnym specjalistą od strip-teasu. Joachim jest deinil atny i potrafi mrugać rzęsami jak kobieta, co urzeka jego przyjaciela rodem z Polski. Joachim wrócił właśnie z Wiednia.

— Wiecie co się dzieje w Wiedniu? Setki polskich samochodów, na ulicach rodziny razem z małymi dziećmi. Na dworcu trzy razy pytałem o drogę i za każdym razem trafiałem na Polaka... Co się dzieje? Wypowiedzieliście wojnę Austrii, czy rozpoczęliście nową Wędrówkę Ludów?

Jest godzina 22, pogoda jesienna, silne wiatry w porywach dochodzące do... dokładnie nie wiem, bo tu zacisznie, spokojnie, a za chwilę rozpocznie się strip-teas. Milczę więc, a polski przyjaciel Jogiego zapala Dunhilla i radośnie patrząc na zalotnie mrugającego rzęsami swego pana, mówi krótko po męsku:

— Szekspir by tego nie wymyślił, kurwa.

Oto już rozpoczynają się występy. Reflektory skierowane są na smukłą, długonogą piękność. Gole plecy, obcisła spódnica, pośladki jak obietnica maratonu Wielkiej Kopulacji i zmęczonego, szaregu świtu wciskającego się przez niedomknięte balkonowe drzwi.

— Mein Gott — Joachim mruga długimi rzęsami, a jego polski przyjaciel potakująco wsłuchany jest w głos swego pana. Obaj lubią uchodzić za znawców kobiet. To taka prywatna zabawa dla niewtajemniczonych w ich prawdziwe hobby. — Ta dziewczyna ma budowę i gra na niej jak na wiolonczeli.

Długonoga Eurydyka swingowo tańczyła tego swojego zbójnickiego zrzucając z siebie co nieco. Teraz prowokacyjnie ściąga spódnicę i w krwistym paśmie punktowego reflektora stoi przez moment smukła, wyprostowana z odrzuconą głową do tyłu patrząc wyzywająco na publiczność. Odwraca się tyłem do publiczności. Widać kształtną pupę w kształcie odwróconego serca, gładkie jakby toczone uda, nogi z mocno naprężonymi pończochami koloru opalonego ciała, a kontrast między bielą ud, czernią podwiązek a jedwabnym błyskiem pończoch zapala śmielsze ogniki w oczach panów siedzących bliżej podium.

Eurydyka wyrzuca za kulisy buty jak szczudła i opiera nogę o białe krzesło stojące na środku sceny. Jedna pończocha leci już na salę. Łapie ją łysawy człowiek siedzący przy barze i kładzie ją tak jak chusteczkę do górnej kieszonki granatowej marynarki. Zbliżamy się do punktu kulminacyjnego, orkiestra sadzi już podniecającego rockowego sztajerka, światła reflektorów dostają nagłej epilepsji, a gole, sterczące jak u dobrze wykarmionej kozy, cycki Eurydyki powodują ślinotok u co wrażliwszych dżentelmenów.

A kiedy następuje wyzwolenie i Akt Skruchy, to ściany kabaretu trzęsą się od braw (Jogi prawie unosi się z fotela) a mnie przypomina się nagle mechaniczny pies sześcioletniej Agatki — córki Rurki. To co przed chwilą widziałem też było mechanicznym psem — ersatzem prawdziwej erotyki, seksem w kapsułkach. Porsche 911 Turbo to marzenie Bogusia o mechanicznym piesku na własność. Ale przecież tylko Agatka tęskniła za swym prawdziwym, żywym kundlem pozostawionym w kraju.

Widzę, że rozrzewniony i rozczulony polski przyjaciel Joachima nagle poważnieje. Być może przypomina sobie słowa świętego Pawła, że biedy bywają cięższe, upadki boleśniejsze, a plamy duszy trudniejsze do zmazania. Co z duszą Rurki? To Gogol podobno powiedział, że nie ma nic bardziej żałosnego od niespełnionych marzeń.

Nagle przyciemnienie świateł, znieruchomiały tłum na parkiecie i... fortepian przed chwilą jeszcze zapomniany instrument, nikomu niepotrzebny, zagubiony w elektronicznej artylerii moogów, Crumarów, registermischungów, wizgu oszalałych z bezsilności gitar, nerwicowej eksplozji perkusji i twórczej próby ukazywania piękna ludzkiego ciała. Kilka taktów fortepianowego melancholijnego i intymnego wstępu do utworu „In San Francisco". Skupienie na sali. Nawet potomkowie Janosików i Sobieskich zaprzestają na chwilę handlowego rozbioru Polski. Muzyka duszy.

W hallu kabaretu snują się cienie Homera, Szekspira, na twarzy wokalistki kropie potu, muzyka jak chandra sączy się między stolikami, pajęczyną oplata tancerzy, muska ich włosy, czerwienią podświetlonego mroku wypełza przez otwarte drzwi na zewnątrz na ulice miasta.
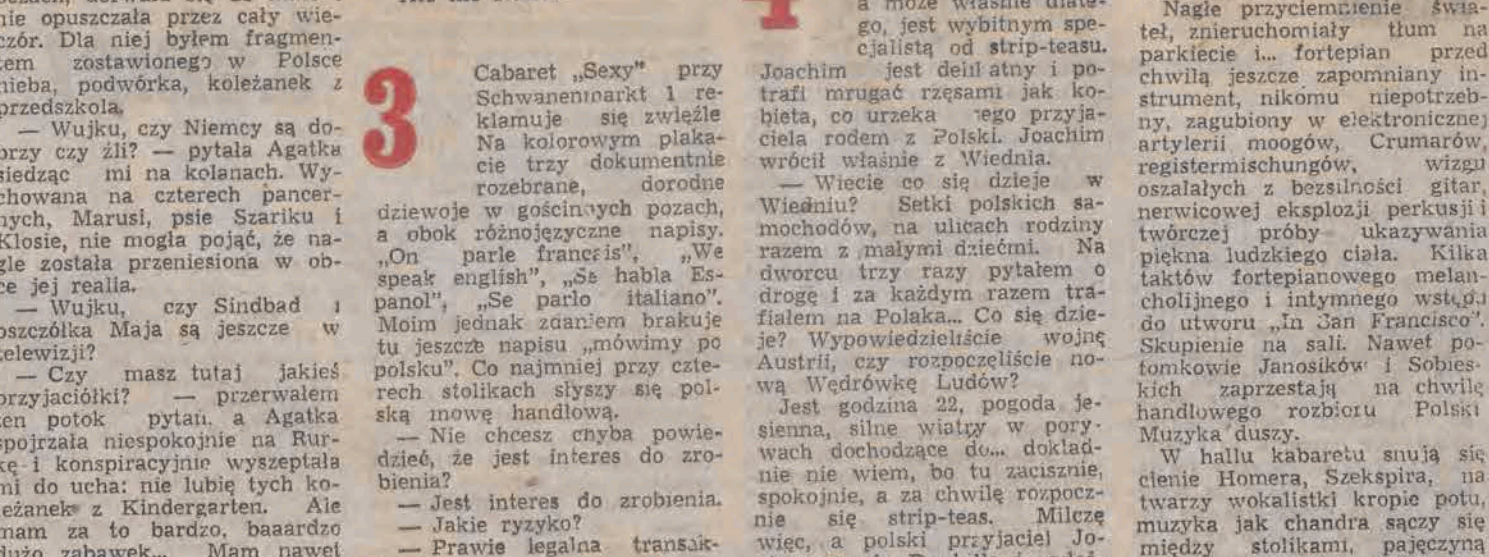
Muzykę tak jak duszę trzeba mieć w sobie. Ostatecznie każdy ma duszę, ale są ludzie którzy mają jej mniej niż inni...